

Anthony Burgess

MECHANICZNA POMARAŃCZA



Anthony Burgess

Mechaniczna pomarańcza
Część pierwsza

I

– To co teraz, ha?

Bytem ja, to znaczy Alex, i trzech moich kumpli, to znaczy Pete, Georgie i Jołop, a Jołop to znaczy po nastojaszczy Jołop, i siedzieliśmy w Barze Krowa zastanawiając się, co zrobić z tak pięknie rozpoczętym, a wieczór był chujnia mrok ziąb zima sukin kot choć suchy. W Barze Krowa dawali mleko z czymś, to była taka melina, a może wy już nie pamiętacie o braciszku moim, co to były za meliny, bo wszystko się teraz tak bystro zmienia i wszyscy raz dwa zabywają, gazet się też wiele nie czyta. Wiec w tym pabie sprzedawali mleko z dodatkiem czegoś jeszcze. Na spirtne nie mieli pozwolenia, ale jeszcze nie wyszedł ukaz, re nie zia robić tych nowych sztuczek, co je dobawiali do regularnego mlecza, więc mogłeś sobie w nim kazać na przykład welocet albo syntemesk, albo drenkrom, albo jeszcze jeden czy drugi taki maraset, że miałeś od niego rozkoszne, ujutne piętnaście minut sam na sam podziwiając Pana Boga i Wsiech Jego Aniołów i Świętych w lewym bucie i do lego błyski wybuchy na cały mózg, no po prostu horror szo! Albo mogłeś pić mleko z żyłtami w środku, tak się u nas mówiło, że się człowiek od niego naostrzy i jest gotów na niemnożko tego brudnego, co to dwadzieścia w jedno, i jak raz to piliśmy tego wieczora, od którego zacznę opowieść.

W karmanach mieliśmy spore dziengi, więc jeśli chodzi o zachwat szmalcu, to nie było potrzeby flekować żadnego dziada w ciemnej uliczce i patrzeć, jak on się maże we krwi, kiedy my liczymy urobek i dzielimy na czterech, ani też robić ultra kuku jakiejś starej siwej babuli w sklepie, a potem się udalać z rehotem i z bebechami jej kasy. Ale, jak to mówią, sama forsa nie daje szczęścia.

Wszyscy czterej byliśmy jak z żurnała wycięci, to znaczy według tamtej mody, czarne bardzo obcisłe rajtki z tak zwanym auszpikiem czyli odlewką dopasowaną w kroku, pod rajtkami, jako osłona i zarazem jako taki wzór, który było widać w odpowiednim świetle, u mnie w kształcie pajaka, Pete miał grabę (to znaczy rękę), Georgie bardzo elegancki kwiat, a ten bidny stary Jołop miał na odlewce taki bardzo na huzia ryj (to znaczy mordę) pajaca, bo on w ogóle nie oczeń chwycił i był niewątpliwie z nas czterech najgłupszy. Następnie mieli my wcięte pidżaki bez klap, tylko te ogromne wypchane ramiona (po naszymu: plecza), taka jak gdyby zgrywa, że ktoś może po nastojaszczy mieć takie szerokie bary. No i oprócz tego, braciszku mieliśmy te nie sawsiem białe halsztuki, co wyglądały jak piure z kartoszki z takim jakby deseniem od widelca. Kudły mieliśmy nie za długie i buty w sam raz takie do kopania.

– To co teraz, ha?

Przy barze siedziały w kupie trzy dziule, ale nas było czterech i mieliśmy tę pryncypialność, że jeden za wsiech, wsie za jednego. Te trzy psiczki też były jak z żurnała, miały peruki na baszkach, fioletową, zieloną i pomarańczową, a każda w cenie, no, ja bym powiedział, przynajmniej trzy albo czterotygodniowy zarobek takiej dziuszki, no i makijaż pod kolor (to znaczy tęcza wokół oczu i usto rozmalowane bardzo szeroko). Dalej miały czarne, długie, zupełnie proste kiece, a na nich przy grudkach wpięte srebrnego koloru znaczki, na których były imiona bojków: Joe, Mike i tak dalej. A to miało znaczyć, że niby z tymi malczykami się przedziobały, zanim im stuknęło czternaście lat. Krugom łupały na nas i już mi sie prawie zachciało bałaknać (normalnie kącikiem ust), żeby zrobić we trzech niemnożko seksu, a bidnego starego Jołopa spławić, bo do tego wystarczy kupić mu pół litra białego, tyle że z syntemeskiem i szlus, ale to by było nie fer. Bo Jołop był wyjątkowo nieatrakcyjny no i taki, jak się nazywał, ale w walce to był brudas po prostu horror szo! i bardzo

zręczny w butach.

– To co teraz, ha?

Ten członio, co siedział koło mnie, bo tam było długie wygodne siedzenie z pluszu wzdłuż całych trzech ścian, to był już nieźle w trakcie, oczy miał szklane i tylko z niego bulgotały takie słowa w rodzaju: – Arystotele morele że mu cieczka rododendron to już farfoklem prima bulba. – Rzeczywiście był daleko w tym kraju, no wprost na orbicie, i ja wiedziałem, jak to jest, bo też próbowałem tego jak każdy, ale na ten raz jakoś mi się podumało, że to tchórza robota, braciszku moi. Głotnąłeś sobie tego mleka i leżysz, i dostajesz takiej pyrdumki. że wszystko co cię otacza, już jakby przeszło. To znaczy wszystko widzisz dookoła o kej, bardzo wyraźnie, stoliki, lampy, stereo, dziobki i małyszów, ale wszystko jak gdyby już było i nie jest. I jesteś jakby zahipno na swój but albo pazur, co popadnie, i równocześnie jakby cię kto wziął za kark i trząchał niby koszkę. Tak cię trzęsie i trzęsie, aż niczego nie zostanie. Już straciłeś imię, płyc i samego siebie i masz to w rzopie, i czekasz, kiedy ci się ten but czy pazur zacznie robić żółty, a potem jeszcze bardziej żółty i jeszcze. Potem światła zaczynają się wzywać jak bombatomba i ten but czy pazur, czy ociupinka bloku na brzegu nogawki, co by nie było, zmienia się w ogromne ogromne miejsce, większe od całego świata, i jak raz masz się znaleźć ryło w ryło z Panem Bogiem, kiedy to się nagle urywa. Znów jesteś tu i taki więcej mizglący, buźka ci się wykrzywia do bu-hu-huu. Więc to jest fajne, ale tchórzliwe. Nic po to nas wywalili na świat, żebyśmy się obszczali z Bogiem. Takie sztuczki to mogą z człowieka wypruć całą ikrę i wszystko co dobre.

– To co teraz, ha?

Stereo było wkluczone i zdawało się, że głos tej syngierki lata po całym barze, do sufitu i apiać w dół od ściany do ściany. To Berti Laski chrypiała taki bardzo starychowski kawałek pod tytułem: *Opalasz mi farbę*. Jedna z trzech fifek przy barze ciągle wypaczała brzuch i wciągała go w rytmie tej tak zwanej muzyki. Czulem, jak te żyłety w mleku zaczynają mnie rypać i teraz już byłem gotów na niemnożko tego co to dwadzieścia w jedno. Więc dałem skowyt: – Aut aut aut raus! – jak psiuk i łomot tego członia, co siedział koło mnie i był tak daleko i coś bulgotał, w słuch czyli w ucho, horror szo! ale on dąże nie poczuł i wciąż posuwał swoje: – Telefonczyk mu tward że laz jak bulbetle go bang tara bum. – Ale jeszcze poczuje, kiedy ocknie się i stamtąd wróci.

– Raus a dokąd? – spytał Georgie.

– A tak byle się przejść – powiedziałem – i luknąć, co się hapanie i okaże, o braciszku moi.

Więc wytoczyli my się w te wielką zimową noc i paszli po Marghanita Road, i skręcamy w Boothby Avenue i widzimy jak raz to, co nam było nużno, mały figiel na otwarciu wieczoru. Szedł sobie taki trzęsący się stary drewniak w typie jakby psora, w oczkach na klufie i z ryjem odkrytym na zimny wozduch nocny. Miał knigi pod pachą i zafajdany parasol i wyszedł z za rogu od Publo Biblioteki, z której wtedy już mało kto korzystał. W ogóle po zmroku nigdy się nie trafiało dużo tych burżujów starego typu, no bo wciąż za mało policji a my, równe malczyki, w mieście i pod bokiem, tak że ten chryk w typie psora był sam jeden na pustej ulicy. Więc my podchodzimy do niego bardzo grzecznie i ja mówię:

– Przepraszam, braciszku.

On się na to niemnożko spuknął, widząc, że my czterej podchodzimy tak spokojnie i grzecznie i z uśmiechem, ale powiada: – Tak? O co chodzi? – takim bardzo gromkim, profesorskim głosem, jakby chciał nam pokazać, że nie ma pietra. A ja do niego:

– Widzę, że masz książki pod pachą, braciszku. To zaiste rzadka przyjemność w naszych czasach spotkać kogoś, kto jeszcze czyta, braciszku.

– O! – powiedział, cały się trzęsąc. – Ach tak? O! naturalnie! – I tak patrzył po kolei na

wszystkich czterech, znajdując się jakby w samym środku kwadratu z samych uśmiechów i uprzejmości.

– No właśnie – odrzekłem. – I byłbym niezmiernie ciekaw, bracie, czy byłbyś tak dobry pokazać mi, jakie to mianowicie książki masz pod pachą. Nic na świecie nie sprawia mi tyle radości co dobra i czysta książka, bracie.

– Czysta – powtórzył. – Czysta, e? – I na to Pete grabnął mu te trzy książki i bystro je rozdał. Ponieważ nas było trzech, potoczyliśmy każdy po jednej, prócz Jołopa. Moja nosiła tytuł *Podstawy krytalografii*, więc otwarłem ją i powiadam: Znakomite, po prostu świetne!

– i przewracam kartki. I nagle mówię jakby zaszokowanym głosem:

– A cóż to takiego? Co to za ohydne słowo, rumienię się, kiedy na to patrzę. Zawiodłem się na tobie, bracie, słowo daję.

– Ależ to – wykrztusił – to... to...

– No – odezwał się Georgie – to już jest według mnie zupełne świństwo. Tu jest takie słowo, które się zaczyna na p, i drugie na ch. – Miał książkę pod tytułem *Cuda i tajemnice płatka śniegu*.

– O! – wkluczył się stary bidny Jołop, zaglądając przez ramię do książki, którą trzymał Pete, i jak zwykle przesolił. – Tu jest napisane, co on z nią zrobił, i jest obrazek i w ogóle. – No – powiedział – ty to jesteś naprawdę stary i obleśny ptak sracz.

– Stary człowiek, bracie, i żeby w twoim wieku – powiedziałem i zaczynam drzeć tę moją książkę, a tamci swoje, przy czym Pete i Jołop urządzają zawody w przeciąganiu *Systemu romboedralnego*. Stary psor na to podnosi wrzask: – Ależ to nie moje książki, to dobro publiczne, ależ to czysta złośliwość i wandalizm! – albo coś w tym rodzaju. I próbuje nam odebrać te książki, co było po prostu, no, wzruszające. – Oj, zasłużyłeś sobie, bracie – powiadam – na małą nauczkę. – Ta książka o kryształach była bardzo solidnie oprawiona i trudna do podarcia w kawałki, bo naprawdę stara i z czasów, kiedy rzeczy się robiło na trwałe, ale jakoś mi się udało powyrywać kartki i kidać je garściami jak płatki śniegu, tylko duże, na tego chryka, co ciągle darł mordę, a potem tamci zrobili to samo, a Jołop tylko ich obtańcowywał jak błazen, bo też i był. – Proszę cię bardzo – zawołał Pete. – Na, masz tu swojego dorsza z kornfleku, ty brudny czytacz świństwa i paskudztwa.

– Ty stary, obleśny chryku, ty! – powiedziałem. I zaczęliśmy dopiero z nim igrać. Pete go trzymał za graby, a Georgie zahaczył i rozpachnął japę, i wtedy Jołop wyjął mu protezy, górną i dolną szczękę. Rzucił je na chodnik, a ja normalnie pod but, chociaż okazały się kurwa twarde, z jakiegoś nowego plajstyku. Drewniak wziął się coś gulgotać, ulch yłch ołch, więc Georgie puścił to jego rozdziawione japsko i tylko razik mu przysunął tą swoją piąchą w pierścionkach, to ten stary chryk normalnie stęknął i od razu krew, coś pięknego, bracie, po prostu horror szoł! Więc już tylko zwlekliśmy z niego łachy, aż do majki i długich gaci (bardzo starychowskich, Jołop zdychał ze śmiechu), po czym Pete kopnął go fajnie w brzuch i puściliśmy go. Polazł tak jakby kuśtykając, bo to nie był prawdziwy mocny kop, i robiąc: – O! o! o! – i nie wiedząc dokąd i co jest co, a myśmy się dali w chichot, a potem poszperali my w jego karmanach, tymczasem Jołop nas obtańcowywał z tym zafajdanym parasolem, ale dużośmy nie znaleźli. Kilka starych listów, niektóre datowane aż gdzieś w latach 1960-tych, z takimi słowami jak: Mój najdroższy najdroższy, i tym podobny szajs, i kółko z kluczami, i stare ciekające pióro. Jołop zaprzestał tańców z parasolem i oczywiście musiał wziąć się do czytania w głos jednego listu, jakby chciał dokazać wobec pustej ulicy, że potrafi czytać. – Moje kochanie! – wygłaszał tym strasznie wysokim głosem. – Będę myślała o tobie, kiedy ty się znajdziesz daleko stąd, i mam nadzieję, że nie zapomnisz włożyć coś ciepłego, jeśli będziesz wychodził nocą. – I zaśmiał się bardzo gromko: ho ho ho! udając, że wyciera sobie tym rzopsko. Dobra powiedziałem. – Kończymy z tym, bracie, moi. – W sztanach tego chryka znalazło się tylko ciut ciut szmalu (to

znaczy forsy), najwyżej trzy golce, więc ustroiłiśmy z tą jego drobną parszywą monalizą normalnie razbros, bo to była kurza kasza w porównaniu z tym kasabubu, cośmy już mieli przy sobie. Potem żeśmy potrzaskali parasol i z ciuchami też zrobili razrez i rzucili je na dmuch wiatru, o braciszkwowie, i skończyliśmy z tym belfrowatym chrykiem. Ja wiem, żeśmy nic wielkiego znów nie działali, ale to był tylko początek wieczoru i ja cię prze pieprzę praszał ani twoich za to nie będę. Żyłety w mleku z dobawką już cięty jak trza i w ogóle horror szoł.

Teraz pierwsza rzecz to skutecznie małe filantro, żeby z jednej strony spuścić niemnożko szmalcu i przez to mieć lepszą motywację do zachwatu w jakimś tam sklepie, a z drugiej kupić sobie zawczasu alibi, więc poszliśmy do Księcia Nowego Jorku na Amis Avenue i w tym cichym zakątku naturalnie siedziały ze trzy albo cztery stare babule i ciągnęły tę swoją czarną z mydlinami na koszt AZ (czyli Akcji Zasiłków). Więc my ładujemy się jako ci dobrzy malysze, uśmiechając się do wszystkich na dobry wieczór w kościółku, choć te stare pomarszczone chryczki wpadły od razu w dygot, aż im się stare żylaste grabki zatrzęsły na szklanach i mydliny zaczęły chlapać na stół. – Zostawcie nas, chłopcy, w spokoju! – prosi jedna z mordą całą jak mapa od tej tysiącletniej starości. – My jesteśmy biedne staruszki. – A my tylko kaliami błysk błysk błysk w uśmiechu, siadamy i na dzwonek, iczekamy na obra. Jak podszedł, cały w nerwach i trąc sobie szufle o brudny fartuch, zakazaliśmy każdy po weteranie, czyli rum z wiśniakiem, to było wtedy modne, a niektórzy jeszcze lubili w tym psiuk limonu, to był styl kanadyjski. A ja powiadam:

– Daj coś pożywnego tym biednym, starym babulkom. Dla każdej dużego szkota i coś na wynos. – I sypanąłem całą kieszeń monalیزی na stół i tamci trzej też, o braciszkwowie moi. Więc te ciężko spuknięte stare chryczki zaraz dostały każda jeden podwójny złotogniak i same już nie wiedziały, co robić i co bałaknąć. Jedna wydusiła z siebie: – Dziękuję, chłopcy – ale widać było, że czekają, co wrednego się teraz hapnie. Wsio taki dano im po butli Yank General, to jest taki koniak, na wynos i do tego zakazałem im jeszcze po tuzinie czarnej z mydlinami z dostawą do domu na drugi dzień, żeby każda z tych śmierdzących starych fif zostawiła w barze swój adres. Za ostatek szmalu wykupiliśmy, o braciszkwowie moi, wszystkie te paje z mięsem, serki na krakersach, precelki, chrupki i batony czekoladowe, ile ich tylko mieli w pabie, i to też dla tych babulek. A następnie powiedziałem: – Wrócimy tu za minutkę. – I te stare pudernice wciąż powtarzały: – Dziękujemy wam, chłopcy! – i: – Niech was Bóg pobłogosławi, chłopcy! – a myśmy wyszli bez jednego centa w karmanach.

– Aż się człowiek czuje charoszy, nie? – powiada Pete. A stary bidny Jołop widać że niezupęlnie poniał, ale nic nie bałaknął, bo się cykał żebyśmy go znów nie nazywali durak i cudowne dziecko bez baszki. No więc przeszli my za róg na Attlee Avenue i ten sklepik ze słodyczami i tabakiem był jeszcze otwarty. Nie ruszaliśmy ich prawie od trzech miesięcy i cała dzielnica była taka więcej spokojna, więc uzbrojone szpiki i patrole mało się tam pokazywały w tych czasach, a bardziej na północnym brzegu. Naciągnęli my swoje maski, to była sawsiem nowa sztuczka, naprawdę wunder bar, jak odrobione! twarze historycznych osobistości (jak się kupowało, to podawali nazwiska) i mój był Disraeli, Pete miał Elvisa Presleya, Georgie króla Henryka VIII, a stary bidny Jołop wziął poetę nazwiskiem Pebe Shelley. No przebranie jak drut, włosy i w ogóle, z jakiegoś bardzo fajnego plajstyku, tak że dały się zwijać, jak nie były już potrzebne, i schować w bucie: no i weszliśmy we trzech. Pete został na dworze za czasowego, choć tak prawdę powiedziawszy to nie było czego się bać. I ledwo żeśmy postawili nogę w sklepie, od razu lu na starego, a ten Slouse to była taka gromadna kucza jakby galaretki z portwajnu i z miejsca się kapnął i bryzg na zaplecze, gdzie miał telefon i nawierno też swoją fest naoliwioną armatę i w niej sześć wrednych pestek. Więc Jołop obkoczył ten kontuar bystro jak ptak, tylko paczki ryjków prysnęły na wszystkie strony i ruchnęła wielka, płasko wycięta dziobka szczerząca zęby do klientów i wywieszająca do nich grudziska dla

reklamy jakiejś tam nowej marki rakotworów. Potem było widno już tylko jakby wielką kulę, co się wtoczyła za firankę w głąb sklepu, a byli to stary Jołop i Slouse, że tak powiem, w zmaganiach na śmierć i życie. Potem dało się słyszeć sapanie i charkot i wierzganie za tą firanką i łubudu przewracające się graty i twojamać i wreszcie szkło brzdęk brzdęk zgrzyt. Tymczasem mama Slouse, jego zakonna fifa, stała jakby zamrożona za ladą. Widać było, że narobi morderczego wrzasku, jak da się jej szansę, więc obskoczyłem bystro ten kontuar i grabnąłem ją, a to był też kawał ciała horror szoł, cała pachnąca i z grudziskami wypiętymi jak banie i bując się! Położyłem jej grabę na ryju, żeby nie wrzasnęła śmierć i pogrom na cztery wiatry niebieskie, a ta damulka suka jak mnie kąchnie całą gębą, wredziocha, to ja wrzasnąłem zamiast niej, i jak się rozdarła za milicją! No, to wtedy już musiałem jej zrobić po nastojaszczy stuk odważnikiem, a potem doprawić łomem do odkrywania skrzynek, i tu się już pokazała czerwień, ta stara družka. Tośmy ją rozciągnęli na podłodze i ustroili razrez darcie kiecek, dla żartu, i tak z lekka a niemnożko buta, żeby przestała jęczeć. I widząc ją tak rozłożoną z grodziskami na wierzchu pomyślałem sobie, że może by tak? ale nieh to zostanie na potem. Wobec tego wygarnęliśmy kase i urobek tej nocy pokazał się całkiem horror szoł, i wzięliśmy każdy po kilka paczek co najlepszych rakotworów, no i poszliśmy sobie, o braciszkwie moi.

– Ale co był gromadny i ciężki, to był, ten skurwysyn – powtarzał w kółko Jołop. Nie ponraził mi się jego wygląd: był brudny i taki zmiętoszony, jak u muzyka, co się z kimś haratał, i oczywiście tak właśnie było, ale nie powinno się nigdy na to wyglądać! Po halsztuku jakby mu ktoś deptał, maskę miał rozdartą i ryło usmotruchane w brudzie z podłogi, więc wzięli my go w boczną uliczkę i doprowadzili co nieco do porządku, plując w halsztuki, żeby z niego zetrzeć to błoto. Czego my byśmy nie zrobili dla naszego Jołopa. Byliśmy z powrotem pod Księciem Nowego Jorku w try miga i według mego zegarka to nie trwało więcej niż dycha minut. Te stare babule jeszcze siedziały przy czarnej z mydlinami przy szkotach, cośmy je im zafundowali, więc my do nich: – No, dziewuszki. to co sobie każemy? – A one znów: – Jak to ładnie z waszej strony, chłopcy, niech Bóg was błogosławi, chłopcy! – i my na dzwonek i kelnera, teraz to już był inny, zakazaliśmy piwsko z rum bumem, bo się nam po nastojaszczy chciało pić, braciszkwie, i co tylko chciały te stare pudernice. Potem mówię do tych babuszek: – Myśmy wcale stąd nie wychodzili, no nie? Byliśmy tu przez cały czas, prawda? – A te bystro się połapały i mówią:

– Tak jest, chłopcy. Nie spuściłyśmy was ani na chwile z oka. Panie Boże wam błogosław – i piją.

Nie żeby to było aż takie ważne. Chyba z pół godziny minęło, zanim się pojawił jakiś znak życia ze strony polucyjniaków, i to też weszło raptem dwóch bardzo młodych szpików, całkiem jeszcze różowych pod tym wielkim hełmem. I jeden pyta:

– Wy coś może wiecie o tym, co się stało dziś wieczór w sklepie u Slouse'a?
– My? – powiadam niewinnie. – A co się stało?
– Kradzież i pobicie. Dwie osoby w szpitalu. A gdzie wyście dzisiaj byli?
– Ten wasz wredny ton mi się nie podoba – odrzekłem. – Mam gdzieś wasze insynuacje. To świadczy, że macie zbyt podejrzliwy charakter, moi mali braciszkwie.

– Oni byli tu przez cały wieczór, chłopcy – zaczęły wykrzykiwać te stare babulki. – Panie Boże ich błogosław! Nie ma na całym świecie lepszych niż oni chłopców, tacy mili, tacy uczynni! Byli tu przez cały czas. Nikt nie widział, żeby się stąd ruszyli na krok.

– My się tylko pytamy – powiedział ten drugi gliniarczyk – Wypełniamy swoje obowiązki, jak wszyscy. Ale jeszcze łypnęli na nas wrednie i z pogróżką, zanim się zmyli. Kiedy już byli przy wyjściu zrobiliśmy mi taki mały koncert na wardze: biribiri bibibi. Ale jeżeli o mnie chodzi, to

jednak byłem ciut rozczarowany, że tylko tak się to odbywa i co za czasy. Tak naprawdę to nie ma z czym walczyć. Wszystko łatwe jak całuj mnie w rzopsko. No, ale jeszcze noc była młoda.

2

Kiedy wyszliśmy z Księcia Nowego Jorku, w świetle padającym z długiej witryny głównego baru zobaczyliśmy starego, bełkoczącego rżęcha czyli też ochlapusa, co wrykiwał świńskie pieśni swych ojców i przy tym odbijało mu się bbe bbe, jakby taka świńska orkiestra w tych jego śmierdzących, zgniłych bebechach. Jak raz to, czego nigdy nie mogłem znieść. Po prostu ścierpieć ja nie mógł widoku, jak muzyk cały upačkany i schlany i bekający zatacza się, w jakim by nie był wieku, ale zwłaszcza kiedy to był po nastojaszczy drewniak, jak ten tutaj. Stał tak jakby rozplaszczony na ścianie i jego łachy to było jedno wielkie plugastwo, wymięte i rozmemłane i całe w błocku i w łajnie i w paskudztwie. No to wzięliśmy go i przyłożyli fest parę łomotów, a ten wciąż sobie śpiewał. Ta pieśń była o taka:

*Owszem, wrócę do ciebie, moja mila,
Jak ty już nie będziesz żyła.*

Ale kiedy Jołop mu kilka razy przyłożył piąchą w to brudne żłopackie ryło, przestał wyć i zaczął wrzeszczeć: – No, jazda, załatwcie mnie, wy tchórzliwe skurwięta, ja już i tak nie chcę żyć w takim cuchnącym świecie. – Więc kazałem Jołopowi, żeby się trochę wstrzymał, bo czasem ciekawiło mnie, co takie stare próchno ma do powiedzenia o życiu i o świecie. Zapylałem: – O! A co w nim tak cuchnie?

Krzyknął: – Ten świat jest śmierdzący, bo pozwala, żeby młodzi tak traktowali starych, jak wy w tej chwili, i nie ma już prawa ani porządku. Ryczał na całe gardło i wymachiwał grabami, i rzeczywiście co do słów to radził sobie zupełnie horror szoł, tylko mu nie w porę wychodziło to hyp hyp z kiszek, jakby coś latało w nim po orbicie, albo jak gdyby jakiś wyjątkowy chamajda wtrącał się i hałasował, więc ten stary chryk mu jakby wygrażał pięściami i wrzeszczał: – To już nie jest świat dla starego człowieka i datego ja się was wcale nie boję, wy pętaki, bo jestem taki zalany, że nawet nie poczuję bólu, jak mnie będziecie bić, a jeśli mnie zabijecie, to jeszcze lepiej, bo ja wolę już nie żyć – To my ryknęli ze śmiechu, a potem obszczerzaliśmy tylko zęby nie odzywając się, i on wreszcie powiedział: – Co to w ogóle za taki świat? Ludzie na Księżycu i ludzie krążą wokół Ziemi, jak te muszki koło lampy, a nie zwraca się już uwagi na ziemskie prawo i porządek.

Więc róbcie sobie najgorsze, co potraficie, wy tchórzliwe i brudne chuliganięta. – I zrobił nam koncert na wardze: prrr biribiri bibibi! tak jak my tym młodym gliniarzom, i znów zaczął śpiewać:

*Ojczyzno, w bitwie moje męstwo
Dało ci pokój i zwycięstwo.*

Więc myśmy władowali mu po nastojaszczy łomot, uśmiechając się całą gębą, ale on ciągle śpiewał. To się go podcięło, aż ruchnął ciężko na płask i rzygnęło z niego całym kubłem wymiocin z piwska. To było paskudne i szmucyk, więc wzięliśmy go pod but, wszyscy po kolei, no i wtedy już krew czyli jucha, nie pieśń i nie rzygowiny, popłynęła mu z brudnego starego ryja. No i poszliśmy w

swoją stronę.

Billyboy i jego pięciu kumpelków nawinęli nam się przy miejskiej elektrowni. W tych czasach, o braciszki moi, gangi łączyły się zwykle po czterech czy pięciu, jak do samochodu, bo czterech to była w gablocie udobna liczba, a sześciu to już górna granica. Czasem gangi się wiązały ze sobą, tworząc jakby małe armie do wielkiej nocnej wojny, ale przeważnie łuczsze było krążyć w niedużej liczbie. A ten Billyboy to było coś takiego, że mdliło mnie na sam widok tej tłustej a obszczerzonej mordy, i wsiegda czuć od niego było ten smród bardzo zjełczałego oleju, co to się na nim w kółko i w kółko smaży, nawet kiedy był odziany w swoje najlepsze ciuchy, jak siejczas. Przyłypali nas w tej samej chwili, kiedy myśmy ich przyłypali, i zaczęło się jakby takie bardzo spokojne kapowanie jedni na drugich. To będzie po nastojaszczy, to będzie jak trza, to będzie nóż, cepki, brzytew, a nie jakaś tam piacha i but. Billyboy i jego kumple przekrócili to czym akurat byli zajęci, bo właśnie się gotowali, żeby wykonać coś na młodej a płaksiwej dziuszce, którą sobie zgarnęli, nie starszej niż dziesięć lat, darła się na cały głos, ale ciuchy jeszcze miała na sobie, sam Billyboy dzierzył ją za jedną grabulę, a jego przychwost Leo za drugą. Pewnie byli jak raz na etapie świńskiego słowa i gotując się do następnego czyli niemnożko ultra kuku. Jak tylko nas zobaczyli z daleka, od razu puścili te małą psiczkę z jej bu-hu-hu, bo tam, skąd ją wzięli, jest przecież takich ile chcąc, i zaraz uciekła, tylko jej te cienkie białe giczki migały w mroku, ciągle robiąc to: – O! o! o! – A ja powiedziałem ułybając się bardzo szeroko i po przyjacielsku: – No, kogo ja widzę, to ten zatłuszczony śmierdzący cap Billyboy we własnej żalobie. Jak się masz, ty glu glu butlo najtańsza zjełczałego oleju po frytkach? No to chodź i weź po dzbukach, jeśli masz w ogóle dzbuki, ty wałachu z galarety odlany, ty! – I zaczęło się.

Było nas czterech na ich sześciu, jak już zaznaczyłem, tylko że stary bidny Jołop, niezależnie od swego jołopstwa, był wart ich trzech co do zaciekłości i w brudnej robocie. Nosił takie dość horror szoł cepki czyli łańcuch, owinięty dwa razy w pasie i odwinał go i zaczął ślicznie machać po głazach czyli oczach. Pete i Żorzyk mieli ostre jak trza noże, a co do mnie, to posługiwałem się starą, fajną i po prostu morderczą brzytwą, którą teraz już potrafiłem operować i migać artystycznie i wręcz horror szoł. I tak żeśmy się zrażali po ciemku, stary Księżyc z ludźmi, co go obsiedli, właśnie wschodził i gwiazdy też migały ostro jak noże, którym pilno się włączyć. I udało mi się chlasnąć tą brzytwą z góry na dół, z przodu, przez ciuchy jednego z kumpli Billyboya, no bardzo bardzo zręcznie, nawet nie zadrasnąwszy ciała pod odzieżą i ten drug Billyboya nagle znalazł się w walce otwarty niby strączek grochu, z gołym brzuchem i z jajami na wierzchu, no i bardzo się zdenerwował i zaczął tak machać i wrzeszczeć, aż przestał uważać i dał wejście pocziwemu Jołopowi z jego cepkami jak wąż: w-h-h-hiiiiisz-sz! tak że Jołop go zacepił po samych patrzalkach i ten drug Billyboya spłynął potykając się na oślep i wyjąc, że mało sobie serca nie wypruł. Dla nas wszystko dalej szło horror szoł i już wkrótce przychwost Billyboya walał się nam pod nogami, oślepiony przez cepki Jołopa i czołgał się w kółko i wył jak zwierzę, ale jeszcze raz wziął fest but w czaszkę i był aut aut i aut.

Z naszej czwórki Jołop, jak zwykle, tak na wygląd wyszedł najgorzej, to znaczy miał całe ryło we krwi i ciuchy upaprane i razrez ale poza nim wszyscy zachowaliśmy spokój i zdrowie. A teraz ten tłusty śmierdziel Billyboy, tego ja chciałem dostać! no i tańczę wokół niego z brzytwą niby jakiś golarz na statku podczas wielkiego sztormu i próbuję dopaść go na parę odlicznych cięć w to paskudne oleiste ryło. Billyboy miał nóż, taki długi sprężynowiec, tylko że był ciut za wolny i ciężki w ruchach, żeby mógł naprawdę zrobić komuś wredziochę. I z prawdziwą satysfakcją, braciszki, odańczyłem ja przed nim walczyka – w lewo dwa trzy, w prawo dwa trzy – i ciachnąłem go w lewy i w prawy policzek, tak że dwie firanki krwi spłynęły jakby w te samej chwili, z każdej strony jego tłustej, świńskiej, oleistej mordy jedna w świetle zimowych gwiazd. Ciekła ta jucha jak czerwone

płachty, ale widać było, że on nawet nie poczuł, tylko pchał się na mnie jak brudny i tłusty niedźwiedź, i wciąż tylko dźgał tym nożem i dźgał.

Potem usłyszeli my syreny i już było wiadomo, że to gliniarze pędzą z armatami wytkniętymi przez okna z wozów i gotowi do strzału. Ta płaksiwa dziulka dała im znać, oczywiście, bo alarmowa budka stali niedaleko za elektrownią. – Ja cię rychło dostanę, nie bój się! – zawołałem – ty capie śmierdzący! Utnę ci te dzbuki jak nic. – I pobiegli, z wolna i zdyszani, na północ ku rzece, tylko przychwost Leo został charcząc na ziemi, a my poszliśmy w swoją stronę. Tuż za rogiem była alejka, ciemna, pusta i na obie strony otwarta, więc tam odsapnęliśmy, najpierw prędko dysząc, potem coraz wolniej i w końcu normalnie. Jakbyśmy leżeli u stóp dwóch ogromnych gór, to były bloki mieszkalne, i w oknach wszystkich żyłyszcz migotało jakby niebieskie płasające światło. Na pewno ti wi. Dzisiaj był tak zwany program światowy, czyli każdy na świecie oglądał jedno i to samo, kto tylko zechciał, a przeważnie to wpychle w średnim wieku ze średnich klas. Jakiś tam wielki sławny szutnik albo czarny syngier się wygłupia i wszystko to jest odbite w przestrzeni od sputników ti wi, braciszku moi. Odczekaliśmy dysząc i słyszeliśmy, jak te wyjące poli mili cyjniaki przelatują na wschód, więc już kej o kej. Tylko bidny stary Jołop wciąż łypał na gwiazdy i planety i Księżyc z gębą tak rozdziawioną jak rybionek, co nigdy jeszcze nie widział tych rzeczy, i wreszcie powiada:

– Ciekawe, co tam na nich jest. Co też może być tam w górze na takich dingsach?

Szturgnąłem go fest pod żebro i mówię: – Ech, ty głupi skurwlu. Nie myśl o tym. Na pewno takie samo życie jak tu, że ktoś daje nożem, i drugi bierze. A na razie noc jest młoda, więc ruszmy się wreszcie, o braciszku moi. – Tamci na to ryknęli śmiechem, ale stary bidny Jołop tylko się na mnie tak serio wytrzeszczył i apiać zadarł oczy na gwiazdy i Księżyc. No i poszli my sobie alejką, a światowy program błękitniał z obu stron. Teraz był nam potrzebny wóz, więc skręcili my z alejki w lewo i okazało się, że jesteśmy na Priestly Place, bo rzuciła nam się w głazy ta wielka figura z brązu, jakiś starożytny poeta z górną wargą jak małpa i z fają wetkniętą w obwisły ryj. Idąc dalej na siewier doszli my do parszywego starego Filmodromu, który się łuszczył i sypał, bo już prawie nikt tam nie zaglądał oprócz takich malczyków jak ja i kumple, a i to tylko na zgiełk albo razrez, albo trochę tego ryps wyps ryps wyps po ciemku. Z afisza na froncie, oświetlonym parą upstrzonych przez muchy reflektorów, można było wyczytać, że leci jak wykle taki western, gdzie aniołowie są po stronie szeryfa z Usa, co rąbie z sześciopistołowca do koniokradów z piekła rodem na padbor, jak to na huzia produkował w tych czasach nasz Gosfilm. Pod kinem zaparkowane wozy nie były znów takie wunder bar, przeważnie stare zafajdane gabloty, ale znalazł się jeden Durango 95 i pomyślałem, że to się nada. Georgie miał na kółku tak zwany wsiotwieracz i władowaliśmy się: Jołop i Pete na zadnie, jak lordowie pykając sobie z rakotworów, a ja wkluczyłem stacyjkę i dałem zapłon i warknęło nawet zupełnie horror szoł, z tym fajnym ciepłym wibro i pomrukiem, co to czuje się w kiszkiach. Potem na but i cofnęliśmy się klasycznie, i nikt nas nie przyłypał.

Poigraliśmy sobie ciut po tak zwanym Centrum, strasząc drewniaków i babulki na przejściach, goniąc zygzakami koszki i te pe. A później szosą na zachód. Nie było wielkiego ruchu, więc wciskałem girę normalnie w dechę prawie że na wylot i Durango 95 siorbał drogę jak makaron. Wkrótce były już tylko zimowe drzewa i mrok, braciszku moi, taki wiejski mrok, i raz przejechałem po czymś dużym i z warczący zębata paszczą nagle w reflektorach, potem skrzyknęło i glamznęło pod nami i stary Jołop na zadku mało sobie łba nie odrechotał: ho ho ho! A potem przyuważyliśmy jakiegoś małysza z dziuszką pod drzewem na lib lib i przystanęli my, i wzniesli okrzyk na ich cześć, a potem daliśmy obojgu wycisk, ale tak niemnożko i od niechcienia, tylko żeby się popłakali, i znów pajechali. Co teraz było nam potrzebne, to normalnie wizyta z zaskoczenia. To dopiero podnieca, to jest coś! do śmiechu i do łomotu w ultra gwałt. Wreszcie dotarli my do takiego

osiedla i zaraz za nim była jakby mała osobna daczka z kawałkiem ogrodu. Księżyc już wzeszedł na balszoy i ten domek widno było dokładnie jak w dzień, kiedy odpuściłem gaz i po hamulcach, a ci trzej chichrali się jak z uma szedłszy, i widzieliśmy nazwę na furcie: DOMCIU... co za ponura nazwa. Wylazłem z wozu i kazałem kumplom ściszyć ten uśmiech i zachować powagę, odkryłem tę malutką furtkę i podszedłem do drzwi od frontu. Zapukałem delikatnie i nikt się nie zjawił, więc zapukałem ciut mocniej i na ten raz usłyszałem kroki, potem odciąganie zasuwy, potem drzwi się troszeczkę uchyliły, może na cal, tak że zobaczyłem oko patrzące na mnie, a drzwi były zakryte na łańcuch. – Kto tam? – Głos był jakiejś fifki, tak na ucho sądząc dość młodej dziulki, więc odezwałem się bardzo wytwornym głosem jak prawdziwy dżentelmen:

– Bardzo panią przepraszam, jest mi tak przykro, że państwa niepokoję, ale wyszliśmy na spacer i mój przyjaciel nagle zasłabł z takimi objawami, że teraz leży na szosie nieprzytomny i rzezi. Czy byłaby pani tak dobra pozwolić mi skorzystać ze swego telefonu i zadzwonić na pogotowie?

– U nas nie ma telefonu – powiedziała ta fifa. – Bardzo mi przykro. Musi pan niestety iść do kogoś innego. – Z wnętrza tego malutkiego żyłiszcza wciąż było słychać klak klak klakot-i-klak klak i klak klak klak-klak czyjejs maszyny do pisania, a potem zapadła cisza i rozległ się głos tego mudaka: – O co chodzi, kochanie?

– To czy byłaby pani tak dobra – powiedziałem – dać mu łyk wody? To jest coś w rodzaju omdlenia. Tak wygląda, jakby stracił przytomność.

Fifka się zawahała i powiada: – Proszę zaczekać. – I odeszła, a moi trzej kumple wysiedli z auta i przemknęli się do mnie horror szoł po cichutku, wciągając maski, potem ja naciąg naciąg swoją i wystarczyło już tylko wsunąć grabę i odhaczyć łańcuch, po tym jak udało mi się zmiękczyć tę psiochę swym dżentelmeńskim głosem, tak że nie domknęła z powrotem drzwi, jak powinna, skoro myśmy byli ci nocni nieznajomi. I wpadliśmy z rykiem we czterech, przy czym Jołop grał jak zwykle szutniaka, podskakując i wykrzykując brudne słowa, i faktycznie był to fajniutki mały domek, muszę przyznać. Z rechetem wbiegliśmy do pokoju, gdzie się paliło światło, i ta psiczka się tam jakby kuliła w sobie, i była to fajna młoda rzezucha z takimi grudkami, że horror szoł! i z nią był ten członio, ten jej zakonnik czyli ślubny, też dosyć młody w oczkach w rogowej oprawie, a na stole maszyna do pisania i wszędzie porozkidane mnóstwo bumagi, ale był też jeden stosik porządnie ułożony, jakby to, co on już wystukał, czyli ze znów taki w typie inteligenta od książek, w typie tego, cośmy z nim kilka godzin temu poigrali, tylko że ten tutaj był pisarz, nie czytacz. W każdym razie rzekł:

– Co to ma znaczyć? Kim jesteście? Jak śmiecie wchodzić do mojego domu bez pozwolenia? – A głos mu się tylko trząśł i grabki też. Więc powiadam:

– Nie lękaj się. Jeśli trwogę masz w sercu, bracie, oto cię zaklinam, zbądź się jej co rychlej. – Potem Georgie i Pete poszli zajrzeć do kuchni, a Jołop stał przy mnie z rozdziawionym ryjem czekał na rozkaz. – A to, co to jest? – zapytałem, biorąc ze stołu plik maszynopisu, a ten w rogowych pinglach mówi trzęsąc się:

– To właśnie chciałbym usłyszeć. Co to jest takiego? Czego tu chcecie? Wynoście się, zanim was wyrzucę. – Więc bidny stary Jołop w masce jako Pebe Shelley tak się obśmiał, że wprost ryczał jak zwierzę.

– To jest książka – powiadam. – Pisziesz tę książkę. – Tu zmieniłem głos na taki więcej niekulturny. – Bo ja zawsze miałem szaconek dla tych, co to piszom książki. – Spojrzałem na pierwszą stronę i tam był tytuł: MECHANICZNA POMARAŃCZA. Więc powiedziałem: – Co za głupi tytuł. Kto w ogóle słyszał o mechanicznej pomarańczy? – I przeczytałem kusoczek takim bardzo uniesionym głosem jak na kazaniu: – Próba narzucenia człowiekowi, istocie, która też rośnie i zdolna jest do słodczy, aby się w końcowym okrażeniu rozplýwał soczyście u brodatych warg Boga, próba

narzucenia, powiadam, praw i warunków odpowiednich dla mechanicznego stworu, przeciw temu wznoszę miecz mego pióra... – Na to Jołop dał koncert na wardze i ja się też musiałem roześmiać. Potem zacząłem drzeć te kartki na kawałeczki i razbros po podłodze, i ten członio pisarz jakby oszalał i rzucił się na mnie, szczerząc te żółte zagryzione kafle i z pazurami, jakby mnie chciał rozszarpać. To był sygnał dla starego Jolopa i on wszedł do akcji z ułymbką na ryju i robiąc uch uch i a! a! a! w drygające ryło tego mudaka, łup łup, z lewej piąchy i znów prawą, tak że nasz ukochany stary czerwony kumpel, wino czerwone z kranu z beczki wszędzie jednakowe, jakby z jednej wielkiej wytwórni, polało się i splamiło ten czysty, prześliczny dywan i strzępy książki, którą ja wciąż darłem razrez! razrez! A tymczasem dziulka, jego wierna i kochająca zakonnica, stała jak przymarznięta do kominka i zaczęła wreszcie tak z lekka niemnożko pokrzykiwać, jakby do taktu Jołopowi przy tej jego robocie. Potem z kuchni przyszli Georgie i Pete, obaj coś żywkając na całego, chociaż w maskach, nie sprawiało to wcale kłopotu, Georgie z zimnym udkiem czegoś tam w łapie i z połową buły przykrytej bryłą masła w drugiej, a Pete z butlą piwa z pieniającym się łbem i z potężną grudą czegoś w rodzaju ciasta ze śliwkami. Zrobili ho ho ho widząc jak stary Jołop obtańcowuje pisarza i daje z piachy, aż się ten mudak pisarz rozplakał, jakby dzieło jego życia poszło na marne i bu-hu-huu tą wykrzywioną w prostokąt bardzo krwawą bużką, ale to było takie ho ho ho zdławione od żarcia i było widno kęsy tego, co jedli. To mi się nie spodobało, bo świńskie i szmucyk, więc powiedziałem:

– Won z tym żarciem. Wcale wam nie pozwoliłem jeść. Złapcie tego mudaka, żeby wszystko widział i nie mógł się wyrwać. – Więc cisnęli tę tłustą piszczę na stół, między fruujące bumagi, i poczłapali do pisarza, którego rogowe pingle były już potrzask trzask, ale jeszcze się trzymały, a stary Jołop go furt obtańcowywał i w drzączkę wprawiał ozdóbki na gzymsie kominka (aż je zmiotłem i już się nie mogły trząść, o nie, braciszku moim) w igraszkach z tym autorem *Mechanicznej pomarańczy*, robiąc mu cały ryj na fioletowo i ociekająco, niby jakiś bardzo szczególny rodzaj soczystego owocu. – Już dobra, Jołop – odezwałem się. – Teraz ta druga rzecz, panie Boże dopomóż. – Więc on złapał się z tyłu za dziuszkę, która ciągle ach ach achiała w takim bardzo horror szoł rytmie na cztery, wykręcił jej grabki do tyłu, tymczasem ja obdzierałem z niej to tamto i owo, a ci bez przerwy ho ho ho! i faktycznie to się okazały bardzo horror szoł i fajne grudki, co spojrzwały na mnie tymi różowymi ślipkami, o braciszku moim, jak ściągałem rajtki i szykowałem się, żeby jej zapchnąć. A już zapychając słyszałem okrzyki bólu i ten krwawy mudak pisarz, co go trzymali Pete i Georgie, mało się im nie wyrwał, rycząc jak psych najbrudniejsze ze słów, jakie znam, i na dobawkę jeszcze inne, co sam wydumał. Jak już byłem fertyk, to przyszła kolej na Jołopa i on sobie posunął jak bydlak z chrapaniem, wyciem i charkotem, na co ta jego maska Pebe Shelley wcale nie zwracała uwagi, a ja trzymałem. Potem zmiana, Jołop i ja żeśmy dzierżyli tego zafajdanego członia, co właściwie się już nawet nie rzucał, tylko mamlał jakieś rozlazłe słowa, jak w tym kraju mołoczni z dobawką, a Żorzyk i Pietia robili swoje. Potem się zrobiło tak raczej cicho, a nas rozsadała jakby nienawiść, no to rozwaliliśmy, co jeszcze było do rozwalenia, maszynę, lampę, fotele, a Jołop (to typowe dla tego Jołopa) odlał się i zgasił ogień w kominku i chciał nasrać na dywan, bo papieru było dość na tym pojebowisku, ale ja powiedziałem stop. I: – Aut aut aut aut! raus! – dałem skowyt. Ten członio i jego psiocha byli tak jakby nieobecni, złachani w krwi i ledwie wydający jakieś odgłosy. Ale przeżyją.

Wsiedliśmy do wozu i pozwoliłem, żeby Georgie wziął kierownicę, bo sam czułem się niemnożko wymięty, i ruszyliśmy z powrotem do miasta, rozjeżdżając po drodze jakieś dziwne i piszczące paskudztwa.

Tak i dojechali my nazad do miasta, braciszku, tylko nie ze wszystkim, bo już prawie na Ukrainie, przy tak zwanym Kanale Przemysłowym, widzimy, że strzałka paliwa jakby oklapła, jak te nasze he he he strzałki, a maszyna kaszle khe khe khe. No i nie zmartwienie, bo stacja kolejki migiała sino łysk aut łysk aut zaraz tam niedaleko. Rozchodziło się tylko o to, czy zostawić wóz do zgarnięcia polucyjniakom, czy w tym naszym nastrojeniu na wred i zabój pichnąć go fest i w te zagwiazdzoche, aż chlupnie, póki wieczór nie umarł. To my się raz dwa zdecydowało na to drugie i wysiedliśmy, i z hamulca, i dopchnęliśmy go we czterech na brzeg tej śmierdzący niby syrop zmieszany z fekałem ludzkim, a potem r-r-raz go pych i po-o-szedł! Musieliśmy bystro uskoczyć, żeby ta paskuda nam nie chlupnęła na ciuch, ale on tylko spl-l-luw-sz-sz i potem glop! i paszol do dna i fajnie. – Żegnaj mi, stary towarzyszu! – zawołał Georgie, a Jołop znów uraczył nas wielkim rechotem: – Chu chu chu chu. – Potem ruszyliśmy na stację, żeby ujechać ten jeden przystanek do Centrum, jak nazywali środeczek miasta. Zapłacili my grzecznie za bilety i czekali jak dżentelmeni spokojnie na peronie, stary Jołop dokazywał przy automatach, bo miał w karmanach pełno drobnej monalazy i w razie czego był gotów rozdać te czekoladki biednym i głodującym, choć nie było takich pod ręką, a potem się wtarabanił stary ekspres torpedo i my do niego, a wyglądał prawie że pusty. Aby zająć się na te trzy minuty jazdy, powyglupialiśmy się z tak zwaną tapicerką, po niemnożku wydzierając sobie dość fajnie flaki z siedzeń, a Jołop wziął i przyłańcuszył w okno, że szkło bryzg i odmigotało w ten zimowy wozduch, ale byliśmy już tak więcej zrypani i wymiętoszeni, i spluci po tym wieczorze, bo się upuściło niemnożko tej energii, o braciszku moi, tylko Jołop, takie to już było szutniackie zwierzę, ciągle ta zgrywa i radocha, tylko że na wygląd cały uszargany i zanadto śmierdzący od potu, i to też była jedna rzecz u starego Jołopa wsiegda dla mnie przeciwna.

Wysiedliśmy w Centrum i wolno suniemy znów do Baru Krowa, a co i raz wszyscy uaaaa w rozziew i tylne plomby do kiężyca, gwiazd i do latami, bo jeszcze byliśmy malczykami, co rosna, i w dzień chodziło się do szkoły, a w Krowie okazało się jeszcze gorzej zatłoczone niż przedtem. Ale ten członio, co przedtem cały czas bulgotał, będąc na cyku, na białym i syntemesku albo czymś tam, wciąż zasuwał to samo: – Łobu za ułkamartwej że nie droszło hej hoglatonicznie pogoda z wietrzą. – Musiał to już być jego trzeci albo czwarty kurs tego wieczora, bo miał ten nieludzko blady wygląd jakby nie człowiek a rzecz i jakby ryło miał po nastojaszczy wyrżnięte z kawałka kredy. Jak mu się chciało spędzić tyle czasu na haju, to już faktycznie powinien wziąć osobny pokoik na tyłach, a nie siedzieć tu na dużej sali, bo tu zawsze jakieś malczyki ustrojają sobie z nim, niemnożko ubawu, chociaż nie za ostro, bo w starej Krowie zawsze mają utajonych gdzieś fest łamignatów, którzy dadzą radę każdej rozróbce! Mimo to Jołop wcisnął się koło tego członia i wydając ten swój szutniacki wrzask, aż pokazał w gardle dyndałki, żgnął go w stopę swoim wielkim, ubłoconym buciorem. Ale ten członio, braciszku, w ogóle nic nie słyszał, bo już był ponad ciałem.

Wokół nas tankowały i doiły, i dokazywały przeważnie nastole (po naszymu nastolami nazywało się seksolatki), ale było też nieco takich więcej drewniaków, muzyki i fifki też (ale żadnych burżujów) śmiali się i bałakali przy barze. Po fryzjerce i luźnych ciuchach (przeważnie wielkie swetry jakby ze sznurka) dało się poznać, że przyszli z prób w studio ti wi, zaraz za rogiem. Ich dziule miały te ożywione bardzo ryje i szerokie, ogromne usta, czerwone że horror szoł, z mnóstwem zębów, i śmiechały się i niczewo nie troszczyły się o zło świata. A potem płyta na stereo dźwiękla i zgasła (był to Johnny Żiwago, ten ruski kocur, a wykonywał *Tylko raz na dwa dni*) i w tej jakby

picredyszce, w krótkim małczaniu, zanim wpadła następna, któraś z tych fifek – bardzo krasiwa i z wielkim ustem w ułybce, chyba w latach już lak nieźle trzydziestych – nagle dała się w śpiew, nie więcej niż półtora taktu, jakby za przykład czegoś tam, o czym wsie bałakali, i to było jakby na chwilę, o braciszku moi, jakiś wielki ptak wleciał do tej mołoczni i poczułem, jak mi każdy jeden maleńki włoszek na ciele staje dęba i dreszcze po mnie polazły do góry jak powolne małe jaszczurki, a potem apiać w dół. Bo poznałem, co ona śpiewa. To ten kawałek z opery Friedricha Gitterfenstera *Das Bettzeug*, gdzie ona to pieje z poderżniętym już gardłem, a słowa są: *Może tak i lepiej*. W każdym razie aż mną zatrzęsło.

Ale stary Jołop, jak tylko usłyszał ten kusoczek śpiewu niby kęs czerwonego od zaru mięsa chłaśnięty na talerz, z miejsca rypnął jedno z tych swoich chamstw, na ten raz trąbkę z warg, po czym sobacze wycie, po czym dwoma paluchami podwójny sztos w górę, po czym wywrzask i w rechot. To ja się poczułem cały w gorączce i jakby mnie rozpalona krew zachłysnęła, na słych i na widok tej wulgarni Jołopa i mówię: – Ty skurwlu. Ty brudny zapluty nieokrzesany skurwlu. – Georgie siedział między mną a tym hadkim Jołopem, sięgnąłem przez niego i piąchnąłem Jołopa w usto. Jołop się zdziwił, japsko mu się otwarło i siedział ocierając sobie blut grabą z ryła, w oszołomieniu łypiąc to jak mu cieknie czerwone, to znów na mnie.

– Czego mi to za co zrobiłeś? – spytał jak to on, po ciemniacku. Mało kto zakapował, co zrobiłem, a kto widział, ten nie uważał. Stereo było znowu wkluczone i grało coś bardzo rzygotliwego na elektroniczną gitarę.

Odbałaknąłem mu:

– Za to, że jesteś skurwlem bez wychowania i bezjednej malejszej kroszki pojęcia, jak się zachowywać publicznie, o ty braciszku mój.

Jołop na to łypnął na mnie zęborożno złym okiem i gada:

– W takim razie ja nie lubię, że to zrobiłeś. I nie jestem już twój braciszek i nie mam życzenia – Wyjął z karmana wielki, zagлуony tasztuk i przytykał go sobie zbierając tę spływającą czerwień, ciągle zdziwiony, przy glądając się temu i marszcząc, jakby mu się widziało, że krew to dla innych muzyków, a tylko nie dla niego. Całkiem jakby wyśpiewywał tę krew, żeby nadrobić swoje wychamienie się, kiedy tamta dziuła śpiewała muzykę. Ale ta fifa chichrała się teraz ha ha ha przy barze ze swoimi družkami, jej czerwone usta były w ruchu i kafle błyskały, nawet nie zauważyła brudnej wulgarni Jołopa. Tak po nastojaszczy to mnie Jołop oskorbił.

Powiedziałem: – Jak tego nie lubisz, a na tamto nie masz życzenia, to wiesz, co zrobić, mój mały braciszku. – A na to Georgie ostrym tonem, tak że spojrzałem:

– O kej. Nie zaczynajmy.

– Dla Jołopa to czysty zysk – powiadam. – Jołop nie może być przez całe życie wciąż jak mały rybionek. – I łypnąłem ostro na Żorzyka. Teraz Jołop się odezwał, a czerwone mu już trochę mniej ciekło:

– Co za prawo naturalne on ma, że mu się zdaje, że może mi dawać rozkazy albo w ryło, jak mu się spodoba? Akurat, jajco! to mu powiem! Jeszcze mogę mu cepkami oczy wypuścić, u mnie to tyle co luknąć!

– Uważaj – powiedziałem tak cicho, jak było możebne przy tym stereo miotającym się po ścianach i suficie, i z tym członiem na trypie, co siedział przy Jołopie i teraz już gromko posuwał swoje: – Iskrzy bliź się, ultroptymalutka! – Powiedziałem: – Baczenie uważaj, o Jołopie mój, azali jednym z żywych na tym świecie pragniesz pozostać.

– Jaja – rzekł jadowicie Jołop – wielkie ci jajka śmajka, o! Nie miałeś prawa tak robić. Mogę się z tobą zejść na cepie, na nóż, na brzytwę, kiedy tylko zechcesz, a nie będziesz mnie bez powodu

szturgał i to czysta prawda i recht, że nie będę na to pozwalał.

– Nóż i podaj czas – odwarkłem.

Pete się wmieszał: – Ojej, przestańcie już wy dwaj, małyse! Jesteśmy kumple, nie? Kumple się nie mają tak chować. Luknijcie, tam już paru malczykom ryje się tak obluzowały, że rechczą z nas, jakby się nabijali. Musimy się trzymać jeden za drugiego.

– Jołop musi – odrzekłem – nauczyć się, gdzie jest jego miejsce. Recht?

– Zaraz – powiada Georgie. – Co to za mowa o miejscu. Pierwsze słyszę o uczeniu się, gdzie czyje miejsce.

Pete odezwał się: – Jak już ma być po prawdzie, Alex, to nie powinieneś dać Jołopowi tej lufy, one nie była słuszna. Powiem to jeden raz i kropka. Mówię ci to z całym szacunkiem, ale jakbyś mnie tak dołożył, to byś mi za to odpowiadał. Więcej nie powiem. – I utopił ryło w stakanie z mlekiem.

Czułem, jak rośnie we mnie w środku razdraż, ale starałem się to ukryć mówiąc spokojnie: – Musi być jeden wożaty. Dyscyplina być musi. Recht? – Żaden nie odkazał ani słowa, nawet baszką nie kiwnął. Mnie w środku wezbrał jeszcze gorszy razdraż, a po wierzchu spokój.

– Ja – powiedziałem – dowodzę wami od dawna. Wszyscy jesteście kumple, ale ktoś musi dowodzić. Recht? Recht? – Wszyscy tak jakby kiwnęli, ale z powściągiem. Jołop osuszył sobie resztkę juchy. To on się odezwał.

– Recht, recht. No i fajno fajno. Może wszystkie są trochę ustawszy. Lepiej już nie gadać. – Byłem zaskoczony i daże memnożko spuknięty, że Jołop nagle tak umno zabałakał. Jołop dobawił: – A tera bojki najlepiej do kojki, czyli że suniemy na chatę, recht? – Byłem naisto porażony. Tamci dwaj kiwnęli, że recht recht recht. Więc mówię:

– Ty poniał, Jołop, o co był ten stuk w usto. Muzyka, panimajesz. Mnie zawsze odbija, kiedy dziuszka śpiewa, a jakieś wpychle przeszkadza. No i tak wyszło.

– To idziem do nory i w kimono – powiada Jołop. – Jak dla malczyków, co rosna, to była dość długa noc. Recht? – Recht recht, kiwnęli tamci dwaj. Więc ja na to:

– Po mojemu to czas iść na chatę. Jołop to niepłochy przydumał – Jakbyimy się nie spotkali w dzień, o braciszku, to co, zawtra w tym samym czasie i miejscu?

– Owszem – powiada Georgie. – Da się zrobić.

– Ja się może niemnożko spóźnię – mówi Jołop. – Wsio taki w tym samym miejscu i prawie w tym samym czasie, natyrlik. – Ciągłe sobie przy tym obcierał usto, chociaż jucha mu już nie ciekła. – No i – powiada – mam nadzieję, że zawtra żadna psiocha tu nie będzie śpiewać – I dał to swoje wielkie ho ho ho ho ho, po szutniacku, jak to Jołop. Wyglądało na to, że jest za głupi nawet żeby się fest oskorbić.

Więc rozeszli my się, a mnie się czało brrr-l-hep? od tej zimnej koli, co ją wydoilem. Brzytew do grdyk miałem pod ręką na wypadek, jakby kumple Billyboya czekali koło bloku, albo w ogóle która bądź z innych band, jacejek czy gangów, co i raz bywało w borbie. Ja pożywałem na chacie ze starzykami, było to żyłiszcze w Bloku Muncypalnym 18A, między Kingsley Avenue i Wilsonsway. Do głównego wejścia dotarłem bez kłopotu, chociaż jak podchodziłem, to w rysztoke walał się jeden malczyk i wył, i jęczał, cały bardzo fajnie pokrajany w razrez, a pod latarniami też widne były gdzieniegdzie smugi krwi jak rozpiska, o braciszku moi, z ubawu tej nocy. Uświadczyłem też zaraz przy 18A rzucone truski jakiejś dziobki! widocznie zdarte z niej nasiliło w gorącej chwili, o braciszku moi! No i do środka. W holu na ścianach fajno stare malowidło w stylu muncypalnym, same dobrze rozwinięte muzyki i psiczki, w powadze i godności trudu przy warsztacie i maszynie, bez jednej nitki ciuchów na tych swoich odliczno mięśniatych cielskach. Ale oczywiście malczyki pożywające w 18A, jak się było spodziewać, upiększyli i na dobawkę ukrasili

ten wielki malunek padchadziaszczym kulkowcem i mazakiem, dopisując im kudły i stojące chojaki, i świńskie teksty w balonikach wyłazających tym gołoguzym (to znaczy nagim) członiom i rzeżuchom z dostojnych ust. Poszedłem do liftu, ale nawet nie trzeba było naciskać elektro knopki. żeby sprawdzić, czy to działa, czy nie, bo widać tej nocy ktoś tak horror szoł tutaj łomotnął, aż metalowe drzwi się zupełnie wgięły, rzeczywiście była to nielicha krzepa, więc przyszło mi się człapać piaskom dziesięć pięter pod górę. Kląłem i sapałem wdrapując się, umęczony gorzej na cielsku niż na mózgowiu. Wprost niewynosimo chciało mi się w ten wieczór muzyki, może mnie ta dziulka pod Krową tak ruszyła. Chciałem się nią tak jakby nażreć do syta, zanim ostemplują mi paszport, o braciszkwie, na granicy największego kimona i podniosą ten pasiasty szlaban, żeby mnie tam przepuścić.

Odkluczyłem drzwi numer 10-8 własnym kluczykiem i w środku nasze mini żyłiszcze pokazało się cichutkie, ojczyk i macica znajdowali się w krainie snu, a na stole maty mi położyła niemnożki przekąs, ot, parę kusoczków gąbczastej puszkowiny z jednym czy drugim buterbrotem i stakanczyk zimnego starego mleka. Ho ho ho, stare mleczko, a w nim ani żylet, ani syntemesku, ani drenkromu. Teraz to już najniewinniejsze mleko, braciszkwie, zawsze wyda mi się takie okrutnie złe. Jednak piłem to i żarłem aż charcząc, bardziej głodny niż mi się z początku zdawało, wziąłem też owocowego paja ze spiżarni, odrywałem z niego całe grudy i pchałem sobie w to żarłoczne usto. Później umyłem zęby i pocmokawszy, aby sobie oczyścić stare japsko chlipadłem (czyli jęzorem), udałem się do swojego pokoiku (czyli komnatki), ozwłócząc się po drodze z ciuchów. Tu było moje wyrko i tereo, pychota mojego życia, i moja szafa z płytami, i flagi i proporczyki na ścianach jak pamiątki mego żywota w poprawczakach od jedenastego roku życia, braciszkwie moi, wszystkie aż świecące się i z wypukłą nazwą albo numerem: *Południe 4. Szkoła Poprawcza Metro Sekcja Niebieskich. Chłopaki z Alpha.*

Małe głośniki mojego stereo były rozmieszczone po całym pokoju, na suficie, ścianach, podłodze, tak że wyciągnięty na łóżku i słuchając muzyki byłem jakby otoczony i splątany w sieciach orkiestry. Więc tej nocy leżał mi przede wszystkim nowy koncert skrzypcowy tego Amerykańca, Geoffreya Plautusa, który wykonuje Odysseus Choerilos z orkiestni filharmonii w Macon, Georgia, więc wysmyknąłem go z miejsca, gdzie był troskliwie rozpołożony, wkluczyłem na stereo i czekam.

No i – bracia – zaczęło się. Och, niebo w uszach, niebo i błogość. Leżałem całkiem nagi do sufitu, z grabami pod głową na poduszce, oczy mając zamknięte, usto rozdziawione z rozkoszy, zasłuchany w zalew krasiwych dźwięków. Och, co za ucieleśnione wspaniałstwo i przewspaniałość. Puzony mi pod łóżkiem kruszyły czerwone złoto, a za moją głową trąbki trojako srebrmieniące się, a tam u drzwi kotły toczą mi się po kiszkach i znów znikły chrupnięte jak grom z cukru. Och, kakoj cud wsiech cudów. A potem ten ptak niby z najwątłej uprzedzionych metali nieba, albo jak srebrzyste wino płynące w kosmolocie, ciężenie już czepucha i tyle, skrzypce solo wzbiły się ponad inne smyczki, a te inne struny jak jedwabna klatka wokół mojego łóżka. Potem flet i obój wkręciły się, jak robaki jak gdyby platynowe, w gęste ciągnące się toffi złota i srebra. Tak błogo mi byto, braciszkwie. Ojczyk i maciocha w swojej sypialni obok nauczyli się już nie stukać w ścianę o ten, jak oni to nazywali, hałas. Przyuczyłem ich. Teraz wolą pigułki na sen. Może już je zażyli, wiedząc, jaka to dla mnie radość ta nocna muzyka. Tak słuchając jej z zaciśniętymi głazami, żeby zamknąć w nich tę błogość lepszą niż jaki bądź God czy Gospod po syntemesku, zwidywałem takie lube widoki. W tych przywidzeniach muzyki i psiochy, młodzi i wapniaki, walali się po ziemi skrzycząc o litość, a ja rechotałem całą gębą i wkręcałem im w ryła swój but. I te psiczki obdzierane i krzyczące, przyparte do muru, a ja nic tylko zapycham w nie jak maczugą i rzeczywiście, kiedy ta muzyka, a było to całe w jednej części, wspięła się na sam szczyt swojej najwyższej wieży, to ja, leżąc na łóżku z

zaciśniętymi gałami i z łapami pod baszką, pękłem i zbryzgałem się wrzeszcząc aaaaaaach z tej rozkoszy. I tak doślizgała się ta przewoschodno krasywa muzyka do swego żarzącego się końca.

Później kazałem sobie fajnego Mozarta, *Jowiszowq*, i znów były nowe widoki innych mord, żeby je rozkwaszać i miażdżyć, a potem sobie przydumałem, że ma być jeszcze jedna płyta, zanim przekroczę granicę, i chciałem coś starychowskiego a mocnego, i bardzo zwartego, więc puściłem J. S. Bacha *Koncert brandenburski* na same średnie i niskie smyczki. I słuchając go z jeszcze inną rozkoszą niż przedtem, zobaczyłem apiać ten tytuł na bumadze, z którą uskuteczniłem razrez tej nocy, już jakby dawno temu, w tej daczce, co ją nazwali DOMCIU. Było w nim coś o mechanicznej pomarańczy. Słuchając J. S. Bacha zacząłem lepiej niż dotąd kapować, co to znaczy, no i przydumało mi się, chłonąc brązową wspaniałość tego starożytnego niemieckiego mistrza, że warto było im obojgu dać jeszcze gorszy łomot i rozdziargać ich na strzępy po ich własnej posiadzce.

4

Na zawtra obudziłem się o ósmej zero zero, braciszkwowie moi, a że wciąż czułem się zrypany i wymięty i skutty i spluty, i patrzalki mi się normalnie kleiły od tego śpiku, to pomyślałem, że nie pójdę dzisiaj do szkoły. Podumałem, że łuczsze pobarłożę sobie jeszcze ciut w łóżku, tak z czasik albo dwa, potem się ładnie i nie śpiesząc ubiorę, może się nawet popluskam w kąpiółce, zrobię tosta i posłucham co w radio albo żurnał poczytam, sam na samo gwałt i adzinoko. A dopiero na polanczu, jak mi się będzie chciało, to może wdepnę do starej rzygoły i popatrzę, co się kitlasi w tym przybytku nikudysznej do niczewo nie sposobnej nauki, o braciszkwowie moi. Słyszałem, jak mój tatata zrzędzi i tłucze się i wreszcie wybywa do tej farbiarni, gdzie pracolił, i zaraz maciocha zawołała, ale teraz już tak po nastojaszczy z szacunkiem, jak zacząłem rósć duży i krzepki:

– Już po ósmej, synu. Żebyś się znów nie spóźnił.

To ja odkrzyknąłem: – Baszka mnie ciut pobolewa. Jak nie będziesz mi jej zawracać, to spróbuję się przespać i na popołudnie będę git. – Usłyszałem jej tak jakby wzdych i rzekła:

– To zostawię ci śniadanie w piecyku, synu. Bo muszę już iść. – I faktycznie było to prawo dla wsiech, kto nie rybionek, nie z rybionkiem i nie chory, że musi iść i rabotać. Moja mać pracoliła w jednym Gosmarkecie, jak to nazywali, ładując na półki zupę i fasolę w puszkach i tym podobny szajs. Więc usłyszałem jak wstawia brzdęk talerz do gazowego piecyka, a potem włożyła buty, wzięła kapotę zza drzwi i apiać wzdychnęła, i powiedziała: – To ja wychodzę, synku. – Ale ja udawałem, że jestem abratno w kraju snów i naisto zaraz mi się fajnie zakimało i miałem taki dziwny i jakby całkiem nastojaszczy drzym, w którym przyśnił mi się mój drug Georgie. W tym przywidzeniu on zrobił się jakby dużo starszy i uch jaki twardziel i ostrzak, i bałakał o dyscyplinie i posłuszeństwie, i jak wszystkie malczyki pod jego rządami mają skakać i już, i raz, i salutować jak w wojsku, a ja stałem w szeregu jak wszyscy mówiąc: ta jes! s! i: nie! s! a potem uwidzialem wyraźnie, że Georgie ma te gwiazdki na plecach i jest normalnie generał. A potem wezwał starego Jołopa z batem, a Jołop był dużo starszy i siwy i nie dostawało mu paru zębów, co było widać, kiedy się dał w rehot na mój widok, a potem mój drug Georgie rzekł, pokazując na mnie: – Ten mudak ma na ciuchach sam fekał i brud!

i tak było faktycznie. Na to ja dałem krzyk: – Nic bijcie mnie, proszę was, braciszkwowie! i chodu. Ale uciekałem tak jakby w kółko i Jołop tuż za mną a obśmiewał się, że mało sobie łba nie

odrechotał, i trzaskał z bicia, a co mnie fest siepnał tym batem, to jakby dzwonek elektro dryn dryn dryn dryndał oczeń gromko, i od dzwonka też ból jakby mnie dziarzał.

Tak i obudziłem się wniezapano, a serce mi bach bach bach, i natyrluk faktycznie dzwonek brrrrr darł się, owszem, dzwonek do naszych drzwi. Udawałem, że nie ma nikogo w domu, ale to brrrrr nie ustawało, a potem usłyszałem głos wołający przez te drzwi: – No już dość tego, wyłaż z wyra! wiem, że się wylegujesz. – Od razu poznałem głos. To był P. R. Deltoid (jak można się tak nazywać), mój tak zwany Porehabilitacyjny Doradca, przeciążony robotą grzdyl mający setki takich na rozkładzie. Krzyknąłem recht rccht recht, głosem takim więcej zbolałym, i wstawszy z łóżka przyodziałem się, o braciszku moi, w bardzo fajny a długi podom jakby z jedwabiu, a wszędzie na tym podomie były wzory w takie jakby gromadne miasta. Potem giry wsadziłem w takie bardzo udobne puchate tufle, uczesałem bujny swój przepych i już byłem gotów dla P. R. Deltoida. Kiedy mu odkluczyłem, wtarabanił się wymięty z wyglądu, ze starą zeszmąconą szlapą na baszce, w zbrudłachanym deszczowcu. – A, nasz Alex – powiada. – Spotkałem twoją matkę, no tak. Coś mówiła, że ciebie gdzieś boli. Dlatego nie jesteś w szkole, no tak.

– Mam dotkliwy ból głowy, braciszku, proszę pana – mówię swoim wytwornym głosem. – Spodziewam się, że do popołudnia mi raczej powinno ulżyć.

– A już do wieczora na pewno, no tak – powiada P. R. Deltoid. – Wieczór to niezła pora, Alex, mój chłopcze, co? Siadaj – powiedział – siadaj, siadaj! – jakby to była jego chata, a ja u niego za gościa. I usiadł na tym starychowskim bujaku mojego facia i wziął się bując, jakby po to przyszedł.

– Może czaszkę starego czaju, proszę pana? – zapytałem. – To znaczy herbaty.

– Nie mam czasu – odrzekł. I bujał się, a na mnie brwi zmarszczywszy wciąż się spodełbił i błysk błysk, jakby wszystek czas na świecie był jego. – Czasu nie mam, owszem – powiada, no całkiem po duracku. Więc nastawiłem czajnik. A potem mówię: – Czemu zawdzięczam tę niezwykłą przyjemność? Czy coś się stało, proszę pana?

– Stało się? – odkazał, bardzo bystro i chytro, łypiąc na mnie jakby przyczajony, ale krugom bujając się. Potem przyuważył ogłoszenie w gazecie, co leżała na stole: krasywa i uśmiejnie patrząca młoda psiczka z grudkami wywieszonymi na cześć, o braciszku moi, Uroków Słonecznych Plaż Jugosławii. Po czym, tak jakby głotnąwszy ją na dwa kęsy, zapytał: – A dlaczego pomyślałeś w ten sposób, że coś miało się stać? Zrobiłeś coś takiego, co się nie należało, tak?

– To takie powiedzenie, proszę pana – odrzekłem.

– No to – rzekł P. R. Deltoid – ja mam dla ciebie też takie powiedzonko, żebyś uważał, Alex, mój malutki, bo za następnym razem, o czym bardzo dobrze wiesz, to już będzie rzeszotka, kraty, i cała moja fatyga na nic. Jak ci już nie żal tego ohydneho siebie, to przynajmniej na mnie miej wzgląd, zem się nad tobą napocił. Gruba czarna krecha, powiem ci w zaufaniu, za każdego nie zresocjalizowanego. Przyznanie się do klapy za każdego z was, co kończy w tej pokratkowanej dziurze.

– Nic zrobiłem nic złego, proszę pana – odpowiedziałem. – Mili cyjniaki nic nie maja na mnie, braciszku, to znaczy proszę pana.

– Tej mowy o miłych cyjniakach to mi nie wstawiaj – rzeki na to P. R. Deltoid, bardzo ustawszy, ale ciągle bujając się. Że policja cię ostatnimi czasy nie zwinęła, to nie znaczy, o czym ci doskonale wiadomo, że nie wdaleś się w jakieś łajdactwo. Zeszłej nocy było trochę harataniny, może nie? Poszły nieco w ruch majchry i łańcuchy od rowerów i tym podobne. Jeden z przyjaciół pewnego Tłuścioszka został o późnej godzinie zabrany przez pogotowie z okolic elektrowni i odwieziony do szpitala, bardzo niemile pokrajany, no tak. Padło twoje nazwisko. Wiadomość doszła do mnie tą drogą co zawsze. Wspomniano również paru z twoich przyjaciół. Wygląda na to, że ostatniej nocy

trafiło się całkiem sporo dość różnorodnego brutalstwa. Och, udowodnić to niczego nie może nikt i nikomu, jak zwykle. Aleja cię ostrzegam, Alex, jako ten dobry przyjaciel, którym zawsze byłem dla ciebie, mój malutki, jako jedyny człowiek w całym tym poharatanym i chorym społeczeństwie, który jeszcze chce cię uratować przed tobą samym.

– Wszystko to doceniam, proszę pana – odpowiedziałem szczerze i z głębi serca.

– Tak, doceniasz, co? – jakby skrzywił się i zaszydził. – Tylko uważaj, i to wszystko, no tak. My więcej wiemy, niż ci się wydaje, mój chłopcze. – I jeszcze powiedział głosem bardzo cierpiącym, ale wciąż bujając się buju buju: Co was opętało? Badamy ten problem i badamy już prawie od stulecia, tak, i nie posunęliśmy się o krok. Masz tutaj niezły dom i kochających rodziców, mózg też nie najgorszy. Czy to jakiś diabeł w ciebie wstępuje?

– Nikt na mnie nic nie ma, proszę pana – odpowiedziałem. – Już od dawna nie wpadłem w graby polucyjniakom.

– I to mnie martwi – westchnął P. R. Delloid. – Jak dla zdrowia to trochę za długo. Według moich obliczeń już czas na ciebie, I dlatego cię ostrzegam, Alex, żebyś przestał pchać swój przystojny młody ryj w błoto, mój malutki, no właśnie. Czy wyrażam się dość jasno?

– Jak tafla niezmaconego jeziora – odrzekłem – proszę pana. Jasno jak lazurowy błękit najgłębszego lata. Może pan na mnie liczyć. – I posłałem mu najładniejszy zębaty uśmiech.

Ale kiedy on uszedł, a ja robiłem sobie ten imbryczek mocnego czaju, to się obszczerzałem do siebie z tych rzeczy, co P. R. Delloid i jego kumple łamią nad nimi głowę. No i dobra, ja robię zło, niby cały ten zachwyt i łomot i krajanie brzytwą, i to stare ryps wyps ryps wyps, a jak mnie złapią, no, to tym gorzej dla mnie, o braciszku moi, no pewnie że nie można prowadzić kraju, gdyby w nim każdy jeden tak wyprawiał po nocy jak ja. Więc jeśli mnie chapną i dostanę trzy miechy tu a potem sześć tam, no i wreszcie – jak ostrzega mnie życzliwie P. R. Delloid – za następnym razem, już mimo tych moich młodziutkich latek braciszku moi, w samym gromadnym zwierzynku dla bydła nie z tej ziemi, no, to powiem: – Racja, panowie, tylko że niestety ja nie cierpię być zamknięty w klatce. I na przyszłość będę się starał, na taką, co wyciąga ku mnie swe śnieżnobiałe jak ta lilia ramiona, znaczy się przyszłość, zanim jakiś majcher dogoni mnie albo jucha wybryzga swój końcowy chór w poskręcanych metalu i rozprysniętym szkle na autostradzie, będę się starał, żeby więcej nikt mnie nie złapał. – To jest mowa jak trza. Ale to, obgryzanie sobie paznokci u nóg, braciszku moi, żeby dojść, jaka może być *przyczyna* zła, od tego ja się mogę tylko ześmiać. Nad przyczyną *dobroci* nie główkują, więc czemu na odwrót? Jeżeli wpychle są dobre to dlatego, że lubią, a ja wcale im tych przyjemności bym nie odbierał, i to samo na odwrót. A tak się złożyło, że ja właśnie wolę na odwrót. A w dodatku zło to coś w samym *sobie*, w tobie czy we mnie, sam na samo gwałt i adzinoko, a te siebie to wszystkie postwarzał stary God czy Gospod i w tym jego pychota i radość. Ale co jest niesobą, to zła nie ścierpi, znaczy że ci wszyscy z rządu i sądu i ze szkół nie mogą pozwalać na zło, bo by pozwalali być sobą. A czy nasza historia najnowsza, o braciszku moi, to nie jest o tym, jak dzielne małe każde sobie zrażają się przeciw tym gromadnym maszynom? To ja wam całkiem poważnie mówię, braciszku moi. Ale co *ja* robię, to robię, bo lubię robić.

Więc teraz, w ten uśmiechający się poranek zimowy, doję sobie ten bardzo krzepki czaj z mlekiem i do tego łycha za łychę cukru, bo jestem łasy na słodkie, a z piecyka dostałem śniadanie, co je dla mnie naszykowała moja bidna stara maciocha. Tyle co jajko sadzone, ale zrobiłem se tosta i mlaszcząc pożarłem to jajko z tostem i dżemem, czytając gazetę. W gazecie było jak zwykle o ultra kuku i napadach na banki i strajkach, i jak to piłkarze doprowadzają do tego, że strach wszystkich paraliżuje, bo ci odgrażają się, że nie będą grać w najbliższą sobotę jak nie połuczą za to więcej szmalu, te wredne malczyki byki. I że dalsze loty kosmiczne i stereo ti wi z jeszcze większymi

ekranami, i darmowe paczki mydlanych płatków za etykiety od zup w puszkach, niebywała okazja tylko przez jeden tydzień, aż się obśmiałem. I był wielki gromadny artykuł o Współczesnej Młodzieży (znaczy się o mnie, więc ukloniłem się w klasycznym stylu, obszczerzając kafle jak z uma szedłszy) jakiegoś tam bardzo umnego łysonia. Przeczytałem go i sobie uważnie, braciszku, żłopiąc ten stary czaj filiżana za taską za czaszką, siorb siorb i do tego chrup chrup kawałki czarnego tostu zanurzone w dżem ehem i jajko śmajko. Ten rozumniak pieprzył normalnie o braku rodzicielskiej dyscypliny, jak on to nazywał, o niedoborze uczycieli takich fest horror szoł, co by obłomotali tym krwawym łapserdakom ich niewinne rzopiątka, aż by zaczęli bu-hu-hu o litość. Wszystko to hojdy bojdy i do śmiechu, ale zawsze miło wiedzieć, o braciszku moi, że się nami ciągle interesują. Ani dnia, żeby nie było czegoś o Współczesnej Młodzieży, ale najlepsza rzecz, jaką dali w tej starej gazecie, to kiedy jakiś drewniak w psiej obroży napisał że jako sługa Boży i po głębokim przemyśleniu on uważa, iż *To Szatan Hula Po tym Padole Łez* i tak jakby się chytry zakrada w te młodziutkie niewinne ciała, i że to świat dorosłych jest temu winien przez te swoje wojny i bomby i absurdalność. No i git galant. Chyba on wie, co gada, skoro z niego ten zawodowy kapłon i bogusław? Czyli że do nas, młodych i niewinnych malczyków, nie można mieć o nic pretensji.

Recht recht recht.

Jak już dałem parę razy hyp hyp napchawszy ten mój niewinny żołąd, wziąłem się dostawać z szafy łachy na dzień, wkluczywszy radio. Szła muzyka, bardzo fajniutki kwartecik smyczkowy, o braciszku moi, Claudiusa Birdmana, co go niepłochy znałem. Tylko ażem się obśmiał od przydumki, jak w jednym takim artykule o Współczesnej Młodzieży kiedyś pisało, jaka ona byłaby, ta Współczesna Młodzież, lepsiejsza, tylko żeby ją pobudzać do Wrażliwości Artystycznej w Różnorodnych Dziedzinach Sztuki. Pod wpływem Wielkiej Muzyki, pisało tam, i Wielkiej Poezji ta Współczesna Młodzież normalnie uspokoi się i będzie taka więcej Kulturalna. Aha! Kulturalna, syf że mi w jaja! Mnie, o braciszku moi, muzyka zawsze tak naostrzyła, że poczułem się jak sam God Gospod, że tylko łomot tym piorunem i grzmotem, i żeby mi te muzyki i psiochy tylko wyły w mojej ha ha ha władzy. A jak sobie opluskałem niemnożko ryja i graby, i już odziawszy się (moje dzienne łachy były takie normalnie studenckie, no, ciemnosine kaloty i sweter z bukwą A jak Alex) pomyślałem, że przynajmniej mam czas (no i dziengi, bo w karmanach było u mnie dość tego kasabubu) zajrzeć do butikku z płytami po to stereo *Dziwiewiętej* Beethovena (znaczy się tej z chórami), co ją sobie przyrzekłem i zakazałem już dawno temu, na płycie Masterstroke w nagraniu Esh Sham Symphony pod batutą El Muhaiwira. No i wyczołgałem się, o braciszku moi.

Dzień bardzo się różnił od nocy. Noc to była moja i kumpli, i w ogóle nastolów, a stare burżuje zapierały się w środku i chłęptały ten idiocki program światowy w ti wi, ale dzień to był dla drewniaków i wsiegda w dzień szalało się jakby więcej szpików i poli mili cyjniaków. Wsiadłem na rogu w basa i pojechałem do Centrum, stamtąd cof się pieszo na Taylor Place i już byłem w butikku, który zaszczycałem dając mu łaskawie zarobić, o braciszku moi. Nazywał się głupio MELODIA, ale poza tym bardzo horror szoł i nowe nagrania mieli tam w try miga. Wchodzę i nie było poza mną klientów, tylko dwie młode dziulki obciążające loda na patyku (a było to, zauważcie, samo dno zimy) i tak sobie jakby grzebiące w nowych płytach z popem (Johnny Burnaway, Stash Kroh, The Mixers. Na Vremya Upokoyat Vas Ed Cum Id Molotov i cały ten szajs). Te dwie psiczki miały najwyżej po dziesięć lat i tak samo jak ja, nawierno, kazawszy sobie ranek wolny od rzygoły. Od razu było widno, że mają) się za całkiem dorosłe psiochy, po tym rzucaniu biodrem na widok Oddanego Wam Autora Tych Słów, o braciszku moi, i po wypchanych grudkach i jakie usto miały, całe w rozczzerwieni. Podszedłem grzecznie i kaflami cały w uśmiech do kontuaru, gdzie stary Andy (on też wsiegda

grzeczny, zawsze uczynny, po nastojaszczy drewniak na balszój, mimo że łysy i bardzo a bardzo chudoszczawy).

– Aha – powiada – chyba wiem, czego pan szuka! Mam dobre wiadomości, nawet bardzo dobre. Już przyszło. – I łapskami tak jakby u wielkiego dyrygenta wybijając takt poszedł mi to przyturlać. Dwie małe psiczki zaczęły się chichrać, jak to w tym wieku, a ja na nie łypnąłem dość chłodno. Andy wrócił się w try miga pomachiwując wielkim, błyszczącym, białym kitlem *Dziewiątej*, na którym, o braciszku moi, spodełbił się naburmuszoną jakby od piorunów mordą sam Ludwik Van. – Proszę – powiedział Andy. – Może przegramy na próbę? – Ale ja chciałem to już mieć w domu na moim stereo i posłuszać sam na samo gwałt i adzinoko, już napalony jak sam czort. Wygrzebałem dziengi, żeby zabulić, a jedna z tych małych psiczek odzywa się:

– Ty szczo dostał, brat? Kto taki wielki, taki adzinok? – Bo te małe psiczki bałakały znów po swojemu. – Boska Siedemnastka? Luke Sterne? Goglarz Gogol? – I obie się zachichrały, w kołys i w biodro. A mnie wtedy jak strzeli przydumka, mało nie padłem z tej udręki w rozkosz, o braciszku moi, aż dychnąć nie mogłem prawie przez dziesięć sekund. Przyszedłem w siebie, wykonałem do nich tymi świeżo na biało wyszorowanymi kaflami i mówię:

– A co wy macie w domku, siostrzyczki, na czym grać te swoje puchate szczebioty? – Bo przyuważyłem, że płyty, które one kupują, to taki pop chłam nastolowaty. – Nawierzno macie takie małe, ciupcie! uciulane portablo, jak te kręciołki na zielonią trawkę. – Im się na to dolna warga tak jakby obciągnęła. – Pójdziecie z wujkiem – zagajam – i posłuchacie, jak trza. Posłuchacie trąb anielskich i puzonów diabelskich. Czujcie się zaproszone. – I tak niby że się ukloniłem. Te obie znów rozchichrały się i jedna mówi:

– Ojej, ale my jesteśmy głodne. Ojej, ale my byśmy zjadły. – A druga wstawia: – Da da, już to ona może powiedzieć, a niby nie może. – Więc ja odkazałem:

– Wujek nakarmi was. Wybierzcie lokal.

Tu one się już poczuły oczeń wyrafino, co było po prostu, no, wzruszające, i zaczęły bałakać tonem wielkich dam o takich rzeczach jak Ritz, Bristol, Hilton, Il Ristorante Granturco i tym podobne. A ja przekrótłem to mówiąc: – Wujek was zaprowadzi. – I zaprowadziłem je za najbliższy róg do Pasta Parlour i dałem im napchać w te niewinne twarzyczki spaghetti i kiełbasek, i ptysiów, i banana splitów i gorącej czekolady, aż mało się nie porzygałem na sam widok, bo ja, braciszki, kazałem sobie tylko skromnie płat zimnej szynki i aż warcząca grudę paprykarza. Te małe psiczki były do siebie bardzo podobne, chociaż nie siostry. Miały całkiem identiko przydumki, albo ich brak, i włosy tego samego koloru: tak jakby wykraszone na słomkowo. Nu ładno, od dziś będą już po nastojaszczy dorosłe. Dziś daję sobie dzień i na balszój. Żadnej tam rzygoły na to polancze, ale przeszkolenie i owszem, z Alexem w roli profesora. Powiedziały mi, że wabią się Marty i Sonietta, całkiem z uma szedłszy imiona i sam szczyt mody w ich dziecięcym wieku, no to wtedy ja bałaknąłem:

– Fajno fajno, Marty i Sonietta. Już czas fest pokręcić. Spadamy. – Jak wyszli my na zimną ulicę, im się zwidziało, że basem nie pojedą, o nie, tylko taryfą, no to dałem im do humoru, czemu nie, a w środku się tak śmiechałem że po prostu horror szot, i zgarnąłem gablotę ze stojanki przy Centrum. Taryfiarz. stary wąsaty próchniak w uszarganym łachu, mówi do mnie:

– Tylko bez prucia. Żadnych zabaw z siedzeniami. Dopiero co kazałem dać świeżą tapicerkę. – Ukoilem jego idiockie obawy i pajechali my pod Blok Municypalny 18A, no a te nieustraszone małe psiczki nic tylko chichrały się i w szept szept. No i krótko powiedziawszy dojechali my, braciszku moi, i wtaszczyłem je na górę pod numer 10-8, a te cały czas wsio tylko zdyszane i rozchichrane, a potem chciało im się pić, to ja normalnie rozpachnąłem skarbczyk w mojej komnacie

i dałem tym dycholatkom po takim horror szoł szkocie, tylko że z niezłą dobawką sody takiej co w igły i szpilki. One siadły na moim wyrku (jeszcze nie posłanym) i buju buju nóżętami, a ja puściłem te ich wzruszające płyćki przez moje stereo. Jakby się pociągało jakiś napachniony słodki napoik dla dzieci, takie to było, jakby w ślicznych i tiu tiu i drogich złotych pucharkach. Ale one robiły och och och i pokrzykiwały: – Wierzhowe! – i: – Ale przeleśne! – i różne takie kopnięte słówka, co były sam szczyt mody w tej grupie młodziaków. Więc kręciłem dla nich ten szajs i zachęcałem do picia, i one były wcale nie od tego, braciszki. No i zanim ten ich wzruszający pop chłam przekreśliło się po dwa razy (to były dwie płytki: *Miodowy nasek*, śpiewał Ike Yard, i *Noc po dniu po nocy* wystękiwane do rzygania przez dwóch obezjajców, nazwisk już nic pamiętam), obie były jak to zwyczajnie takie małe psiczki prawie że u szczytu hysterii, aż chodzące po całym wyrku i po mnie, że jestem z nimi w tej komnacie.

Co się tam po nastojaszczy wyczyniało tego popołudnia, to ja wam nie muszę opisywać, braciszki, bo sami se możecie lekko rozgadnąć. Dycholatki były w try miga rozdżane i mało się nie ześmiały, bo im się to wystawiało jak frajda frojda i szutka nie z tej ziemi, że stary wujek Alex bez nitki gołoguzy stoi z dmuchawą jak rękojeść i psiuk ze strzykawki, niby taki rozdżany wracz, i potem ładuje sobie dziab w grabę, tego co warczy, hormonu kiciora z dżungli. Po czym wyjąłem cudowną *Dziwiałą* z jej koszulki, tak że Ludwik Van też był nagi, i puściłem igłę w syk na końcową część, co jest sama rozkosz. No i rozległo się, basowe struny jakby mi gadały spod łóżka z resztą orkiestry, a potem ludzki głos wszedł i mówił im wsiem, żeby się dać w radochę, a potem ta przekrasna błoga melodia cała o Radości, jaka to przewoschodna iskra z nieba, i zaraz poczułem, jak we mnie skoczyły w środku te stare tygrysy i rzuciłem się na te dwie psiczki. Teraz już nie widziało im się, że to figle, i nie z uciechy krzycząc przyszło im się zdać na cudackie i dzikie żądze Aleksandra Ogromniastego, a chuci te, przez *Dziwiałą* i dziab na dodatek, były wprost niesłychane i gromadne i nadzwyczaj wymagające, o braciszki moi. Tylko że obie dziuszki były już oczeń oczeń na cyku i nie mogły za wiele czuć.

Jak ostatnia część szła po raz drugi z całym tym gromem i krzykiem że Frojda Frojda Frojda, to te dwie dycholatki już wcale nie były wielkie damy i wyrafino. Tak jakby się obudziły od tego, co im się robi w te małe osóbkki, i że chcą do domu i że jestem ta wściekła bestia. A wyglądały jak po wielkim zrażaniu się, no i faktycznie były, całe obite i spuchnięte na ryju. Trudno, jak się nie idzie do szkoły, to trza się inaczej pouczyć. No i właśnie nauczyły się. A teraz krzyczały i robiły o! o! o! wciągając na siebie ciuszki, i ciupciały mnie tymi piąsteczkami, a ja leżałem rozwalony, brudny i goły na tym wyrku, zrypany i spluty. Ta mała Sonietta krzyczała: – Podłe zwierzę i bestia! Wstrętna ohyda! – Więc dałem im pozbierać swoje barachlo i spłynąć, i zrobiły to, jęcząc, że powinny się mną zająć polucyjniaki i cały ten szajs. No i podrałowały w dół po schodach, a ja odpłynąłem w kimono, ciągle przy tym Frojda Frojda Frojda Frojda na całego w grzmocie i wrzasku.

5

A faktycznie tak wyszło, że zbudziłem się późno (koło siódmej trzydzięści na moim zegarku) i pokazało się, że to nie było rozumne. Zrazu widać, jak wszystko liczy się na tym niecharoszym świecie. W try miga pajmiesz, jak jedno prowadzi do drugiego. Recht recht recht. Moje stereo już nie zasuwowało że Radość i że Uścisk Uścisk Wam Miliony, więc ktoś je musiał wykluczyć, czyli że ojczyk

albo maciocha, oboje teraz dawszy się odliczno słyszeć w bywalni (to znaczy stołowej) i sądząc po tym brzęk brzęk talerzy i siorb siorb czaju ze stakanów, siedzący przy swoim wymęczonym żarciu po całym dniu pracolenia on w tej farbami a ona w magazynie. Bidne chryki. Pieczalne drewniaki. Włożyłem podom i wyrząłem do nich, przebrany za kochającego jedynaka.

– Cześć cześć cześć – zagailem. – Opuściłem se ten dzionek i już mi git. Teraz mogę iść na wieczór popracolić, żeby ciut zarabotać. – Bo w tym czasie oni dowierzali, albo tak mówili, że ja się tym zajmuję. – Mniam niam, maćku! A mogę tego dostać? – To był taki jak gdyby paj w mrożonce, który ona rozmroz i potem odgrzała nie wyglądał zbyt apetycznie, ale wypadło to skazać. Facio łypnął na mnie tak jakby podejrzliwie i nie za oczeń mu coś ponrawiwszy się, ale milczał, bo już wiedział że morda i ani gu gu, a maciocha dała się w taki ustawszy jakby śmieszek, co to synu jedyny owocu mego żywota i te pe. Wytańczyłem ja do łazienki i dałem se bardzo skory prysk na całego, czując się brudny i klejaszczy, a potem do nory i w ciuch na wieczór. Po czym już świecący się, uczesany, wyszczotko i git galant z kiciorem, przysiadłem na kusoczek paju. Ojczyk zagailem:

– Nie żebym się chciał wtrącać, synu, ale właściwie gdzie ty chodzisz wieczorami do pracy?

– Ooch – zwyknąłem z pełnej gęby – różnie, tak pomagam i w ogóle. Tu i tam, jak się hapnie. – I pogłaziwszy mu tak szmucyk prosto w ślepie, jakby mówiąc, że niech uważa co jest jego brocha, a co moja to moja. – O pieniądze nigdy nie proszę, recht? Na łachy ani też na ubaw, nikagda, co? No to czego się rozpytywać?

Facio od razu grzeczniulko bubeł w kubeł. – Przepraszam, synu – powiada. – Tylko tak się czasami martwię. Czasem mi się coś przyśni. Możesz się z tego śmiać, ale mimo wszystko coś w tych snach jest. Zeszłej nocy przyśniłeś mi się i bardzo mi się ten sen nie podobał.

– O? – Teraz mię zainteresował, że tak śni o mnie. I lak mi się przywidziało, że ja chyba też miałem jakiś sen, ale nie mogłem go tak naisto wspomnieć. – No no? – zapytałem przestawszy zwykać tego klejącego się paja.

– To było jak żywe – powiedział facio. – Widziałem, jak leżysz na ulicy, a inni chłopcy cię biją. Wyglądali jak ci chłopcy, z którymi się zadawałeś, zanim cię skierowano ostatni raz do szkoły poprawczej.

– Tak? – Ześmiałem się z tego w środku, że mój ojczyk dowierza, że ja się faktycznie naprostowałem, albo stara się dowierzać w to, że dowierza. I tu przypomniałem sobie mój drzym, co go miałem dziś rano, jak Georgie wydaje te generalskie rozkazy, a stary Jołop się obśmiewa bez zębów i siepie batem. Ale mówiono mi, że w snach to idzie na odwrót. – Nie martw się o twego syna jednorodzonego i dziedzica, o mój zaprawdę ojczy! – rzekłem. – Zbądź się trwóg. On wždy poradziech sobie zdoli albowiem.

– A ty – snuje mój ojczyk – leżałeś całkiem bezradny we krwi i nie mogłeś się bronić. – To już było na huzia i na odwrót, więc apiać się w sobie po cichu z lekka obszczerzyłem, po czym wygrzebałem wsie dziengi z karmanów i dźwięknąłem je na zaświniony od sosów obrus.

– Na tu, faćku – powiadam – niewiele tego. Tyle co zarabotałem przeszłej nocy. Może starczy na jeszcze jednego szkota dla ciebie i maćki gdzieś w miłym zaciszu.

– Dziękuję, synu – odpowiedział. – Ale my teraz niedużo wychodzimy. Boimy się za dużo wychodzić, kiedy tak się zrobiło na ulicy. Ci młodzi chuliganie i tym podobne. Ale dziękuję ci. Jutro przyniosę jej za to jakąś butelczynę. – I zgarnął te nieuczciwie nabyte golce do karmanu w sztanach, bo mać zmywała jak raz posudę w kuchni. A ja wybyłem, cały krugom w kochających ułybkach.

Jak znalazłem się po schodach na dole budynku, to się nieco zdziwiłem. A nawet więcej. Bo stanąłem z japą szeroko rozpachniętą jakby mi ziewak w rozdziaw zaskoczył. Oni przyszli mnie spotkać. Czekali koło pogryzmołonego na gęsto municypalnego malowidła nagiej godności trudu,

gołoguzych muzyków i psioch z powagą u kół napędowych przemysłu, jak już mówiłem, z całym tym szajsem wypisanym z ich ust przez niegrzecznych malczyków. Jołop miał wieli gruby śryk z czarnej farby tłuszczowej i gwazdrał nim brudne słowa, duże i na balszój, po naszym fresku municypalnym i jak to Jołop dawał ten swój rechot – łuuu hu hu hu! – zatrudniając się tym. Ale obrócił się, jak Georgie i Pete dali mi stary cześ prywiet, oba w błysk błysk ukazując po drużeski kafle, i trąbnął: On jest, on przybywszy, ura! – i puścił się w kilka niełowkich piruetów.

– Już martwiliśmy się – powiada Georgie. – My tam czekamy i doimy se mleczko na brzytwach, a ciebie może to czy tamto oskorbiło, no to wpadli my do twojej katedry. Tak to rychtyk i było, Pietia, recht?

– Ano ja że recht! – mówi Pete.

– Prze pieprzę praszam – powiedziałem ostrożno. – Baszka mnie ciut poboliwała i musiałem przekimać. Nie zbudzili mnie jak przykazałem. Ale więc jesteśmy w kupie i gotowi połączyć, co ta stara noc nam przyniesie, tak? – Jak gdyby przejąłem to: tak? od P. R. Deltoida, mojego post kurwatora. Aż dziwne.

– To przykre, że cię bolało – wstawia Żorzyk, tak niby że oczeń troskliwie. – Może za dużo nadużywasz tej baszki, co? Na to rozkazywanie i dyscyplinę i te pe. A na pewno już ból ci przeszedł? A na pewno ci nie lepiej wleźć abratno do wyrka? – I wszyscy się z lekka obśmiali.

– Nu pagadi – odkazałem. – Lepiej zróbmy z tym na glanc porządek. Ten sarkazm, jeśli mi to wolno tak nazwać, nie przystaje do was, o drużkowie wymoi. Możecie wy ustroili za moimi plecami jakiś drobny a cichy bałach, takie sobie ciut małych zgrywoszutek i tym podobne. Jako wasz kumpel i wożaty chyba mam recht wiedzieć, co jest grane, nie? No więc Jołop, co wróży ten twój gromadny koński rozdział na ryju? – Bo Jołop miał uścisko roz pachnięte w taki jakby z uma szedłszy bez głosu rechot. Na to w try miga włączył się Georgie:

– No dobra, będzie tego przystawiania do Jołopa, braciszku. To jedna rzecz z nowego układu.

– Z nowego układu? – ja mu na to. – Co za mowa o nowym układzie? Tu nawierno był jakiś gromadny bałach i kwacz za moimi uśpionymi plecami. Niech ja więcej usłyszę. – I tak jakby założywszy graby oparłem się udobno do słuchania o potrzaskaną poręcz, ciągle jeszcze stojąc wyżej od nich, tych moich niby to drugów, na trzecim schodku.

– Bez urazy, Alex – rzekł Pete – ale chcieliśmy tak coś więcej demokratycznie. A nie że ty cały czas mówisz, co robić a czego nie. Tylko bez urazy.

Georgie wmieszał się: – Uraza czy nie uraza, to tu ni pry czom. Chodzi o to, komu tu przychodzą pomysły. Jakie on miał pomysły? – I wyślepiał się tak na mnie czelno i na całego. Wszystko to malutkie piwko i tyle tego, jak ostatniej nocy. A my dorastamy, braciszki.

– No dalej – mówię wciąż nie ruszając się. – Niech ja jeszcze posłyszę.

– Jak sam chcesz – powiada Georgie – to pażałusta, czemu nie. Szlajamy się w kółko, w zachwat po sklepach i te pe, żeby zarabotać po tej marnej grabuli szmalcu na ryło. A tymczasem Will Angliczanin w Kafe Pod Bychem jest gotów upłynnić wszystko, co jaki bądź malczyk się nie pokusi grabnąć. Błyskotki, lód – mówił dalej a wciąż z tymi zimnymi ślepiami we mnie. – Duże duże duże kasabubu leży i czeka, tak mi właśnie skazał Will Angliczanin.

– Aha – powiedziałem, cały na luzie, ale w środku już po nastojaszczy razdraż. – Odkąd to się zadajesz i ugadasz z Willem Angliczaninem?

– Tak od kiedy niekiedy – powiada Georgie – wypuszczam się sam na samo gwałt i adzinoko. Na ten przykład w ostatni szabas. Mam prawo na własne życie, mój drużku, recht?

Wszystko to mi się, braciszki, wcale nie ponrawiło. – A na co ci się nada – wstawiłem – to duże duże duże kasabubu czyli dziengi, jak to wielkolepno nazywasz? Czy ci brak jakiej bądź rzeczy z

tego, co trzeba? Jak ci trzeba auto, zrywasz je sobie z drzewa. Jak ci potrzebna monaliza, to se ja zgarniasz. Tak? No to skad ci przyszla wniezapno ta chuc, aby dzialac sie tym gromadnym i nadzianym kapitalista?

– E – odkazal mi Georgie – czasem to ty dumasz i balakasz jak drobny rybionek. – Jołop sie na to roz ho ho ho. Dzis w nocy – powiada Georgie – zrobimy taki zachwat po muzycku na kawal chłopa.

Wiec moj drzym sie sprawdzil. Georgie za generala i mowi, co bedziemy robic a czego nie, i Jołop z batem a bezumny jak szczerzacy sie buldog. Ale ja pogrywalem z czuciem a ostrozno, bardzo osrozno, mowiac i ulybajac sie: – Fajno fajni i git. Po prostu horror szol. Inicjatywa sie budzi w tych co umieja czekac. Sporo sie ode mnie naumiales, moj druzku. Teraz gadaj, co za blysk cie naszedl, moj Georgie bojku.

– Och – powiada Georgie, cwany i chytry w tej utybce – najpierw damy se mleka z dobawka i co ty na to? Zebyśmy sie naostrzyli, malyszku, a ty najbardziej, bo my juz nad toba mamy przewage.

– Wskazales jak raz to, co myslalem – ja na to, ulybajac sie na balszoj. – Wlasnie chcialem zaproponowac do naszej Krowy. Git git git. Wiedz nas do moloczni, Georgiutek. – I wykonalem ten jakby glęboki uklon, ulybajac sie jak z uma szedłszy, ale caly czas pracujac glówka. Tylko jak wykitrali my sie na ulice, to ja raz i uswiadczylem, ze dumać to dla bezumnych, a rozumniak to chwytal sie tego jakby natchnienia i co Bóg zesle. Bo jak raz przyszla mi z pomocą przednia muzyczka. Akurat przejezdzało auto i miało wlaczone radio, i dolecial mnie moze z takt albo dwa Ludwika Van (byla to ostatnia czesc *Koncertu skrzypcowego*) i od razu wiedzialem co robic. Balaknałem takim jakby grubym a niskim głosem: – Recht. Georgie, i juz! – i wyrwalem swoja brzytwę do grdyk. Georgie powiedzial: – He? – ale tez byl dosc prędko w nozu i ostrze mu szło z rukojatki, i juz byl jeden na drugiego. Stary Jołop wlaczyl sie: – Nie, zadne recht! – i chap sie za cepki w pasie, ale Pete balaknal i polozyl fest grabę na starym Jołopie: – Zostaw ich. Tak to jest recht. – No to Georgie i nizej podpisany wziewli my sie za te ciche kocie podchody, szukajac wejścia, a styl znajac jeden drugiego ciut az za horror szol, Georgie od czasu w czas doskakujac szuch szuch z tym luskajacym majchrem, ale nie mógł mnie siegnac. A caly czas wpychle przechodzili i widzieli to wszystko, ale nikt sie nie wluk, nie ich brocha i codzienny widok. Az odliczylem sobie raz dwa trzy i dalem normalnie ciach ciach ciach brzytwą, nie po ryju i nie po oczach, tylko po grabie, w ktorej Georgie mial noz i – o braciszku moi – upuscil. Wlasnie. Upuscil ten noz dzwiek dzwiek na twardy zimowy chodnik. Tyle ze go polaskotalem moja brzytwą po palcach i juz stal wybaluszylszy sie na to malutkie ciur ciur juchy wyczerwienijace mu sie w blasku latarni. – No – powiadam, i teraz juz sam zaczalem, bo Pete poradzil Jołopowi, zeby nie odwijal tych cepkow z pasa i Jołop sie posluszal – no, Jołop, to teraz my z toba zalatwimy te rzecz, no nie? Stary Jołop na to dal: Aaaaaarhgh! – niby jakies gromadne a bezumne zwierze i wysmignal te cepki z pasa fest horror szol i tak skoro, ze az na podziw. To dla mnie teraz byl padchadzaszczy styl zeby isc nisko jak gdyby w zabim podrygu, zeby chronic rylo i patrzalki, i tak zrobilem, braciszku, no i ten bidny stary Jołop zostal sie niemnozko zaskoczony, bo byl przywyklszy do prostego ryj w ryj siach siach siach. No musze powiedziec, ze mnie fest uzasno siepnal po grzbiecie i dziargnelo mnie wprost z uma szedłszy, ale i kazal mi ten bol spręzyc sie bystro i na calego i zalatwic sie ze starym Jołopem. Wiec mignalem brzytwą po jego lewej girze w tym oczen obcislym rajtku i chlasnałem tak na dlon ciucha i pusciłem niemnozko blutu psiuk psiuk, zeby stary Jołop dostal malpiego umu. A potem jak on dal sie w auuu auu auu jak psiuk, to ja poszedłem w ten sam styl co z Georgiem, stawiajac na jeden ruch – góra, blok i ciach – i poczulem jak brzytwa wchodzi jak trza i w sam raz glęboko w mięcho w nadgarstku starego Jołopa i uronil te cepki jak waz i uwrzasnal sie jak malý rybionek. Po czym probowal sobie

wypić cały bul z tego nadgarstka i równocześnie krzyczeć, ale jucha szło za mnogo żeby to wypić, więc zrobiło mu się tak bul bul bul bąbel i bluzgała ta jucha bardzo fajnie, ale nie za długo.

Ja znów bałaknąłem:

– Recht, o druzkowie moi, to już teraz będzie wiadomo. No słucham, Pete?

– Ja nic nie mówiłem – powiada Pete. – Daje ani słowa nie bałaknąłem. Słuchaj, stary Jołop się wyfarbuje na śmierć.

– Niemożliwe odkazałem. – Umiera się tylko raz. Jołop umarł jeszcze przed urodzeniem. A ten krasny krasny sok zaraz sam się zatrzyma. – Bo nie chlasnąłem go po głównych żyłach. I wydostałem osobiście czysty tasztuk z karmana, i owinąłem nim grabę bidnego, starego, umierającego Jołopa, a on wył i jęczał, i jucha zatrzymała się, tak jak skazałem, o braciszku moi. Więc już teraz wiedzą, barany, pomyślałem sobie, kto tu jest ich pan i wożaty.

Niedługo to zajęło, żeby ukoić dwóch rannych żołnierzy w cichym zakątku, pod Księciem Nowego Jorku, tyle co duży złotogniak dla każdego (za ich własne dziengi, bo ja swoje dałem ojczykowi) i utrzyć w tasztuki zamoczone w kuwszynie z wodą. Te pudernice stare, cośmy im ustroili przeszłej nocy filantro, znów tam były i nic tylko wstawiały: -- Dziękujemy wam, chłopcy – i: – Niech was Bóg błogosławi, chłopcy – jakby już nie mogły tego przekrócić, mimo że nie powtórzyliśmy tego filantro. Ale Pete zagaił: – To co sobie damy, dziewczuszki? – i kupił im czarną z mydlinami i wyglądało, że ma sporo tego kasabubu w karmanach, więc one się jeszcze głośniej rozdarły z tym swoim: – Niechaj was Bóg wszystkich pobłogosławi i zachowa w zdrowiu, chłopaki – i: – My nigdy byśmy na was nie powiedziały – i: – Wy jesteście najlepsi chłopcy na świecie.

W końcu zagailem: – No to jesteście, Georgie, apiac tam gdzieście byli, tak? Wsio po dawnemu i zabywamy o wszystkim, co było, recht?

– Recht recht recht – dał na to Georgie. Tylko stary Jołop ciągle wypadał jak gdyby ciut porażony i daże bałaknął: – Wiecie co, ja bym dostał tego wielkiego skurwla, ja bym mu przyłańcuszył, tylko że jakiś mudak wlaź mi w drogę. Całkiem jakby się nie ze mną zrażał, ale z jakimś obcym malczykiem. Ja się znów odezwałem.

– No Georgie bojku, to co miałeś na oku?

– E tam – powiada Georgie – to już nie tej nocy. Słuchaj, może by już nie dzisiaj, co.

– Jesteś ten duży krzepki muzyk – odkazałem – tak jak my wszyscy. Nie jesteście jakieś tam drobne rybionki, co, Georgie bojku? Cóż tedy na oku miałeś azaliż?

– Mogłem mu przyłańcuszyć fest po tych patrzałkach – gadał znów Jołop, a te stare babuszki wciąż posuwały swoje: – Dziękujemy wam, chłopcy.

– Bo to był widzisz ten dom – odrzekł Georgie. – Ten co ma na przedzie dwie lampy. Na którym jest taka głupia nazwa.

– Jaka głupia nazwa?

– A no ta Sadyba czy Siedziba, czy jakaś podobna głupota. Gdzie żyje ta starożytna próchniaczka, co ma koty i cale to kurewsko stare, a drogie barachlo.

– Na przykład?

– Złoto i srebro i różne takie biżuty. Will Angliczanin tak jakby nam o tym powiedział.

– Już ja poniał – odkazałem. – Poniał git i odliczno. – Wiedziałem, co ma na myśli. Stare Miasto, tuż za Blokiem Muncypalnym Victoria. A no cóż, po nastojaszczy dobry wożaty zawsze wie, kiedy ustąpić i pokazać się tak jakby wielkoduszny dla swoich podwłasnych. – Bardzo dobrze, Georgie – powiadam. – To jest git przydumka i ją trzeba wykonać. Spadamy nie mieszkając. – A jakżeśmy wychodzili, to te stare babuszki skazały: – Nic nie powiemy, chłopcy. Byliście tu cały ten czas, chłopaki. – A ja im na to: – Dobrze stare dziewczuszki. Wracamy za dziesięć minut jeszcze coś

wam dokupić. – I powiodłem moich trzech družków na swe nieszczęście.

6

Tuż na wschód za Księciem Nowego Jorku rozpołożyły się biurowce i ta stara, złachana biblioteka i za nią ten gromadny blok mieszkalny zwany Victoria od wiktorii, znaczy się pabiedy jakiejś, czy co, a potem się dochodziło do takich żyłyszcz jakby staromiejskiego typu w dzielnicy zwanej Stare Miasto. I zdarzały się tu po nastojaszczy fajne, horror szoł i starożytne domki, o braciszkwie, a w nich pożywały stare wpychle, różne tam chudoszczawe i szczekające pułkownicy z laskami w ręku i psiochy stare, owdowiałe, no i głuche stare damy z kotami, co przez cały swój prawiczny żywot nie poczuły, o braciszkwie moi, żeby muzyk jej dotknął. I dostawało tu, jest prawda, tych starychowskich rupów, za co na rynku można od turystów zgarnąć nieliche kasabubu: jak obrazy i klejnoty i różne takie starożytne gówna jeszcze sprzed ery plastiku. Więc podeszli my grzecznie i po cichu do tego żyłyszcz, co się nazywało Sadyba, i przed nim sterczały kuliste lampy na żelaznych badylach, jakby z dwóch stron pilnowały wejścia od frontu, i do tego jakby przytuszona światło w jednej z izbuszek na dole, więc my zaszli w taki fajny kawałek ciemnej uliczki, żeby luknąć w akoszko, co tam proischodzi. W oknie była rzeszotka, i to żelazna, jakby w mamrze (czyli więźniu) a nie w domu, ale co tam dzieje się, było nam i tak jawnie widno.

A działo się, że ta stara psiocha, w kudłach już bardzo siwa i z mordą całkiem pokreślona, z flachy mlecznej rozlewała to stare mleko w spodki, a potem stawiała te spodki w niz na podłodze, więc było poznać, że tam w dole kłębi się mnóstwo kotów i koszek dających jej miauk i miauk. Daje widzieli my kilku ich, gromadne i spaste bydlaki, jak prygają na stół i rozdziawiwszy się wydają z siebie mrrr mrrrmrrr. I jak ta zgrzybiała babulka im odkazuje, też widno, jakby za coś łajać te swoje kiciorki. Oprócz tego było widno w komnacie na ścianach mnóstwo starych obrazów i przedpotopowych, na podziw ozdobnych zegarów, i też jakby wazonów i ozdóbek, co wypadały oczeń stare i kosztowne. Georgie wyszeptał: – Za to da się połuczyć horror szoł jakie kasabubu, o braciszkwie moi. Will Angliczanin pali się do tego. – A na to Pete: – Jak wejść? – Teraz to polegało na mnie, i to raz dwa raz, nim Georgie zacznie nam dyktować, jak wejść. – Pierwsza rzecz – wyszeptałem – to spróbować normalnie od frontu. Pójdę bardzo grzecznie i powiem, że jeden mój kumpel tak jakby przymglał na ulicy. Georgie niech będzie gotów pokazać się za takiego, jakby otwarła. Potem jęk o wodę albo żeby dzwienknąć po doktora. I ładować się aby nie za szumno. – A na to Georgie:

– Może nie otworzyć. – A ja:

– Próba, nie? – Więc on jakby drygnął pleciami, czyniąc żabi pysk. A ja do Jołopa i Pieti: – Wy dwaj, braciszki, po dwóch stronach drzwi. Recht? – Kiwnęli po ciemku recht recht recht. – Dawaj! – to ja do Żorzyka i bez obciachu sunę prosto do drzwi. Był tam wcisk do dzwonka, ja go wpych i słyszę brrr brrrrrr w głębi. Potem jakby czuło się nasłuchiwanie, jak gdyby ta psiocha i wsie jej koszki w słuch na to brr brrrr i zastanawiały się. To ja ciut jakby natarczywiej na dzwonek. Po czym nakłoniłem się do szpary na listy i wołam takim jakby wytwornym głosem: – Proszę panią, błagam o pomoc. Mojemu przyjacielowi właśnie coś dziwnego stało się na ulicy. Czy mogę zadzwonić po doktora, bardzo bym prosił. – Po czym światło zapaliło się w holu i posłyszałem, jak ta stara babula człap człap tymi nogami w człapakach do drzwi frontowych i tak mi się zwidziało, nie wiem

dlatego, że ona pod każdą pachą ma tłustego, gromadnego kiciora.

I krzyknęła, aż mnie poraziło, jakie grube ma to głosisko:

– Wynocha. Jazda stąd, albo strzelam. – Jak Georgie to usłyszał, o mało nie zachichrał. A ja mówię po dżentelmeńsku, takim pilnym i cierpiącym głosem:

– Och, błagam panią, proszę pomóc! Mój przyjaciel tak ciężko się rozchorował.

– Wynocha stąd – odryknęła. – Znam te wasze parszywe sztuczki, żeby otworzyła drzwi, to już mi wepchniecie, czego wcale nie mam ochoty kupić. Jazda mi stąd, powiedziałam. – No, to była cudowna po nastojaszczy niewinność. – Proszę się wynosić – ona znów – albo koty na was wypuszczę. – Że jest niemnożko z uma szedłszy, to się dało powiedzieć, od tego życia sam na samo gwałt i wciąż adzinoko. Spojrzałem w górę i widzę nad wejściem suwane okno i że rychlej będzie wspiąć się normalnie po ramionach i wleźć tamtędy. Bo tu będziemy aż do rana stać i przepychać się. Więc mówię do niej:

– No trudno, skoro pani nam nie chce pomóc, to muszę zwrócić się z moim cierpiącym przyjacielem do kogo innego. – I odmigiałem precz moich druzków po cichutku, tylko sam zakrzyczawszy: – Nie martw się, mój przyjacielu, na pewno znajdzie się dla ciebie gdzie indziej dobry samarytanin. Do tej starszej pani chyba nie można mi pretensji, że jest podejrzliwa, jak po nocy kręci się tyłu łobuzóz i urwipołci. A skądże. – Potem odczekali my znów po ciemku i ja szepnąłem: – Recht. Z powrotem do drzwi. Ja się wespnę Jołopowi na plecza. Odkryję w górze akoszko i włożę, braciszki. A tam przymknę tę starą picz i wam otworzę. Nie ma sprawy. – Tak normalnie im dokazywałem, kto tu z nas wożaty i od błysku. – Ino luknąć – powiadam. – Całkiem horror szoł to wyrobione w kamieniu, o, nade drzwiami! będzie o co nogi zahaczyć. – Więc przyjrżeli mi się, widno z podziwu, pomyślałem, i bałaknęli wsie kiwnąwszy mi po ciemku recht recht i recht.

Na paluszkach i znów pod te drzwięta. Jołop u nas był za mocnego i normalnie wydźwignęli mnie Pete i Georgie na jego krzepkie i po muzycku gromadne plecza. A cały ten czas, o! dzięki ci, światowy programie w tej ocipiałej ti wi! a tym bardziej, że wpychle czują nocny lęk z niedostatku policji nocnej, tak martwa była ulica. Już u Jołopa na pleczech zobaczyłem, że to kamieniarstwo nade drzwiami fajnie mi uchwyci but. I kolano w górę, braciszku, i już! Okno było, jak się spodziewałem, zakryte, ale sięgnąłem brzytwą i trach delikatnie szkło jej kościaną rukojątką. W niżu druzkowie moi tylko sapali. Więc ja grabę w rozpęk i jak pichnąłem, tak dolna połowa śmignęła w górę, pięknie i gładziutko. I raz dwa jakby w kapiótkę, dostałem się. A moje owieczki z dołu gapią się, rozdziawione, o braciszku moi.

I dawaj obijać się ja po ciemku, nic, tylko łóżka i komody i gromadne ciężkie fotele i stopy pudeł i książek. A ja po męsku szagom marsz ku drzwiom pokoju, w którym się znalazłem, a gdzie szparka pod nimi przeświecała. Drzwi uczyniły kwiiiiiiiiik i oto zakurzony korytarz z innymi drzwiami. Tyle się tu marnuje, braciszku, znaczy się wszystkie te komnaty i tylko jedna stara picz i jej kici kici, ale może te kiciory i koszki mają dla każdego po jednej sypialni? i pożywają se tak na śmietance i rybich łbach jak te królowe udzielne i kniazie. Z dołu szedł jakby przytuszony głos tej starej psiochy: – Tak tak tak, dooobrze! – ale widać musiała bałakać do tych miauczących z bokowca maaaaaa że chciałyby jeszcze mleka. I przyuważył ja schody idące w niz do holu i błysnęło mi, żeby pokazać tym kapryśnym i nie oczeń spolegliwym, tym nikudysznym kumplom, że jestem wart ich trzech i jeszcze ponadto. Że wszystko to zrobię sam na samo gwałt i adzinoko. Jakby trza, to zdziałam ultra kuku sam dla tej chryczki starożytnej i jej kiciorów, a potem zgarnę ile w grabach się zmieści barachła, co mi się wyda poleżne i walczyka! do tych drzwi od frontu i rozpachnąć je, i sypnąć złota i srebra po wyczekujących mnie druzkach. A niech wiedzą, co się znaczy istne wożactwo.

Tak i zszedłem ja z wolna po cichu, dziwując się po schodach w niz, jakie to starożytne porno w lanszaftach: że dziuszki długo i prostowłose w kołnierzu wysokim i jakby wiocha, w niej drzewa i konie, i jakiś grzdyl świętojebliwy, gołoguzy i obwisły na krzyżu. Woniało tam aż pleśniawie od tych koszek i od kocich ryb i murchłego żyłiszca w starym brudactwie, inaczej niż w blokach. I już byłem na dole i widziałem światło w tej komnacie z frontu, gdzie ona mlekiem obkarmiła te swoje koty i koszki. Oraz jak ta wielka i opasła szkacina to włazi, a to wyłazi, a chwost im się wołnuje i jakby się czochrały u spodu drzwi. Na wielkiej drewnianej skrzyni w ciemnym holu zobaczyłem fajniutką, drobną figurkę, co świeciła w blasku od komnaty, więc ją zgarnąłem sam dla własnego siebie, a była to młoda i chuda dziuszka, stała na jednej nodze z wyciągniętymi rękoma i widno, że cała ze srebra. I z nią już w oświetlony pokój i zagaiwszy: – Hej hej hej. To wreszcie spotkaliśmy się. Nasz krótki bałach przez szparę do listów nie dał nam, że tak powiem, do izbytku satysfakcji, nieprawdaż? Należy to przyznać, o! zaiste nie dał, ty stara i smrodliwa raszplo. – I tak jakbym się przyszczurzył i zamrugał w osłep do tej komnaty i starej psiochy. Pełno tu było kotów i koszek snujących się tam i nazad po dywanie, a w powietrzu nisko unosiły się kłaki kociego futra i były te opasłe bydlaki różnego kształtu i barwy, czarne, białe, szarobure i marmurkowane, rude i w każdym wieku, czyli że i figlu miglu ze sobą kociątka i dorosłe kiciory, i takie po nastojaszczy śliniace się, stare i bardzo złe. Ich pani, ta stara psiocha, rypnęła na mnie wściekle niby chłop i odezwała się:

– Jak tu wszedłeś? Nie zbliżaj się, ty płazie, ty zasmarkany łobuzie, bo zmuszona będę cię uderzyć. .

Obśmiałem się z tego po prostu horror szoł widząc, że ma w żyłastej łapie zafajdaną laskę, no, kij, i podniosła go na mnie z pogroźką. To ja błysk dając kaflami podszedłem do niej, wcale nie śpiesząc się, i po drodze przyuważyłem na takim jakby kredensiku coś malutkiego a ślicznego, co tylko malczyk rozkochany w muzyce, niby ja, mógł się spodziewać że uświadczy na własne dwoje oczu, taki jakby łeb i plecza samego Ludwika Van, co się nazywa popiersie (czyli biuścisko) niby że kamienne z długimi włosami, ze ślepyimi oczyma i w gromadnym a fiu iuu halsztuku. To ja do niego ze słowami: – No, ale pięknota i całe moje. -- Tylko że tak szagając na prałom i tylko on w gładkach, nic więcej, z grabą łapczywie wyciśniętą, nie baczyłem tych spodków z mlekiem na podłodze i w jeden, i straciłem niemnożko równowagi. – Uups powiadam, starając się udzierzać, a ta fifa zgrzybiała jak chytro doskoczy z tyłu i oczeń bystro na swój wiek i trach! trach! mnie po baszce tym swoim kusztyczkiem laski. Aż ruchnąłem na graby i kolana, chcę się pozbierać i zagajam: – Nieładnie, oj, nieładnie! A ta znów trach trach trach i powiada: – Ty nędzna, ty mała pluskwo z rynsztoka, będziesz mi się włamywał do *prawdziwych* ludzi! – A mnie się nie ponrawiła ta zabawa w trach trach no i grabnąłem za czubek tej lagi, jak na mnie leciał, i znów ona straciwszy równowagę i chciała się oprzeć na stół, a tu obrus pojechał i z nim ten dzban mleka i flacha zachybotnęły się, jak fest upite, i bryzg to białe na całość i krugom, a ta wyłożywszy się na podłodze, tylko stękla i znowu swoje: – A do licha, ty smarkaczu, no, pożałujesz. – Teraz już i koszki wzięły się spuknięte biegać i prygać, cale to szamrajstwo, koci popłoch i tyle, niektóre znów miały zgryz do koleżków i aby im przyłożyć khaaa po kociemu i dać ze starego pazura i ptf ptf i grrrr! i khaaaaark. A ja się podniosłem i leży ta wredna stara pizga zajadła, ta bzdrenga i tylko faflami dryga i stęka, jakby się starała dźwignąć, to przyłożyłem jej malutkiego, fajnego kopa w ryło i jej się to czegoś nie spodobało, bo skrzyknęła: – Uaaaa! – i widno było, jak jej pożyłkowana i kropczata morda robi się purch purch purowa w miejscu, gdzie ja przykarbowalcm jej ze starego giczoła.

Jak odstępowałem po tym kopie, to musiałem nadepnąć na chwost jakiemuś z tych zrażających się ze skrzykiem kociątek, bo usłyszałem gromkie jaauuuuu i stwierdziłem, że coś jakby z futra i zębów i pazurów okręciło mi nogę, a ja w to mięchem klnę i próbuję otrząchnąć w jednej łapie z tą

srebrną figurką i do tego chcę przestąpić to fifskona podłódze i grabnąć Ludwika Van tak cudnie sępiącego się jakby w kamieniu. I bryzg w następny aż po brzegi spodek mleka śmietankowego i znów mało nie pofrunęło mnie, owszem, bardzo to wszystko uśmiejne, jakby sobie wystawić, że trafiło na kogo innego, a nie na Pokornego Sługę i Autora Tych Słów. A ta stara z podłogi jak sięgnie przez kotłujące się i drące kociska i chaps mnie za giczoł, nie zaprzestając tego: – Uaaaaaa! – na mnie, a bywszy już trochę z równowagi, na ten raz wykonałem po nastojaszczy bach trach i lubudu, w mleko chlups i w rozwrzeszczane koty, a ta stara bzdrega mnie piąchami po ryju, bo już oba my na podłódze, i w skrzyk: – Huzia na niego, bić go, powyrywać mu te pazury z łap i brać go, jadowitego gnojka! – wszystko do tych kociątek: i jakby się posłuszały tej starej chryczki, parę ich dorwało mnie i wzięły się dziargać jak z uma szedłszy. Aż i ja z uma wyszedłem, braciszku, i wziąłem je łomotać, a babuszka na to: Uch ty ropuchu, nie waź się tknąć moich kociątek! – i dziarg mnie po mordzie. To ja w skrzyk: – Oż ty brudny, stary torbiszonie! – i zaniósłem się tą małą jakby srebrną figurką i raz ją normalnie w łeb i dopiero się tak bardzo horror szoł i fajnie przymknęła.

Wstałem ja z tych rozjarganych kotów, z podłogi, i co ja słyszę w oddaleniu, jak nie stary wóz policyjny, pędzący na sygnale i zrazu mi błysnęło, że ta kocia bzdrega już truła w telefon do gliniarzy, kiedy ja myślałem, że woła na te swoje miauczydła i mruczydła, a w niej podejrzliwość już zakipiała, ledwie zadzwoniłem, że niby o pomoc. Więc teraz, posłyszawszy ten użasny wyj glinowozu, rzuciłem się do frontowych drzwi: no i po nastojaszczy uszarpałem się, co by odkluk odkluk te wszystkie rygle i zamki i łańcuchy i wszelkie zabezpieczenia. Wreszcie odkryłem i kogo ja widzę na dworze, w progu, jak nie starego Jołopa! a tamci dwaj niby moi druzkowie tak spruwają, że już ledwie ich widno. – Raus! – dałem krzyk do Jołopa. – Glina! – Jołop na to: – A ty zostaniesz się ich przywitać hu hu hu i dopiero ujrzałem, że on ma cepki w grabie i zamachnął się i one whiiiisz! jak waź i z lekka zacepił mnie artystycznie po samych powiekach, tyle co je zdążyłem przymknąć. Aż zawyłem i w kółko, starając się dojrzeć coś w tym do wycia okropnym bólu, a Jołop mi wstawia: – Nie lubię ja żebyś mi robił to, co zrobiłeś, mój stary braciszku. To nie było recht, żeś mi tak zrobił, druzku. – I dobiegło mnie, jak udalają się jego ciężkie buciory z tym jego hu hu hu w ciemność i najwyżej po siedmiu sekundach usłyszałem, jak zajeżdża glinowóz w tym wrednie opadającym wyciu syreny jak bezumno i dziko wężący zwierz. Ja też wyłem i jakby zatoczywszy się i łbem trach! o ścianę w holu, z głazami zaciśniętymi fest i sok je zalewał, oczeń boleśnie. I macałem tak w przejściu w holu jakby na oślep, kiedy wpadło gliniarstwo. Nie widziałem ich, oczywiście, ale słyszałem i prawie że poczułem, jak zacuchły te skurwle i zaraz ich dotyk, jak dorwali mnie ostro i za grabę, wykręcili, no i wywlekli mnie. Posłyszałem też głos jednego szpiku jakby z tej komnaty, co ja wyszedłszy, gdzie te kociska: – Jest ciężko pobita, ale oddycha – i wciąż ten gromki miauk i miauk.

– To dopiero przyjemność – odezwał się jakiś inny gliniarz, kiedy mnie wrzucali, raz dwa i żestoko, do wozu. – Nasz malutki Alex i cały dla nas. – To ja krzyknąłem:

– Jestem zupełnie ślepy, żeby was Bóg skarał i wykrwawił, wy brudne skurwle!
– Uważaj, mowa, mowa – śmiechnął się czyjś głos i dostałem jakby na odlew grabą w tych pierścionkach albo czymś podobnym w samego ryja. Więc ja do nich:

– A żeby was Bóg miłosierny ukatrupił, wy cuchnące bękarty niedomyte. A gdzie reszta? Gdzie moi druzkowie, ci szajsowaci zdrajcy? Jeden z tych braciszków moich, skurwiel ponury, tak mi przyłańcuszył po ślepiach. Łapcie ich, bo uciekną. Wszystko to ich sprawa, braciszki. Przymusili mnie. Jestem niewinny, żeby tak was Bóg pomordował. – Teraz wszyscy już porechotali się ze mnie na całego, bez kroszki tej wrażliwości, no i wrypali mnie lup lup na tył wozu, a ja wciąż posuwałem o tych niby to druzkach moich, aż dotarło do mnie, że nic z tego nie wyjdzie, bo już dawno siedzą se ujutno pod Księciem Nowego Jorku i ładują te czarną z mydlinami oraz podwójne szkoty w chętnie

gardziołka tych starych śmierdzących fif i te wykrzykują: – Dziękujemy wam, chłopcy. Boże was pobłogosław. Byliście tu przez cały czas, chłopaki. Nie spuściliśmy z was ani na chwilę z oka.

W tym czasie gnali my pod sygnałem na komisariat (znaczy się uczastek) poli mili, ja wklinowany między dwóch gliniarzy i co raz przypadkiem biorąc to stuk, to łomot od tych śmiejaszczych byków. Aż pokazało się, że już mogę ciut po niemnożku odkryć te powieki i przez cieknące łzy dojrzeć coś jakby miasto, ale zamglone i rozplątne w biegu, a światła jakby najeżdżały wciąż jedno na drugie. I przez te bolesne patrzaki widziałem już koło siebie dwóch szpików rechoczących i z przodu szafiora z chudą szyją i przy nim drugiego wybladka z grubą, co zagajał do mnie tak jakby w przekąs: – No co, Alex bojku, to czeka nas z tobą przyjemny wieczór, co? – Więc ja mu na to:

– A skąd wiesz, jak się nazywam, ty gnojny śmierdzący byku? Żeby cię Bóg siepnął do piekła, ty brudny skurwlu ty, łachmyto. – Ci apiać na to w rechot i jeden z tych obok zafajdanych łapsów mało mi ucha nie ukrecił. A ten z byczym karkiem nie prowadzący tak mi posunął:

– Każdy zna małego Alexa i jego družków. Już sławnym chłopięciem stał się nasz Alex.

– To nie ja – krzyknąłem. To tamci. Georgie i Jołop i Pete. To są istne skurwysyny, a nie moi družkowie.

– No cóż – mówi ten karczasty – będziesz miał cały wieczór na opowiadanie, jakich to czynów bohaterskich dopuścili się ci młodzieńcy i jak sprowadzili na złą drogę małego Alexa, to niewinne biedactwo. – Tu rozdało się wycie drugiej, jakby policyjnej syreny i minęli nasz wóz, tylko w przeciwną stronę.

– To po tych skurwli? – zagabnąłem. – Czy to wasze skurwle jadą ich zgarnąć?

– To była – odkazał mi z byczą szyją – karetka pogotowia. – Niewątpliwie po tę starszą panią, po twoją ofiarę, ty makabryczny i wredny łajdaku.

– Wszystko to ich wina – dałem skowyt i zamrugąłem tymi bolesnymi głazami. – Te skurwle nawierno siedzą i trąbią pod Księciem Nowego Jorku. Zgarnijcie ich, wy śmierdziele i niech was szlag trafi. – Znów rozległ się rechot i znów połączyłem niemnożko łup, o braciszku moi, w to biedne, zbolełe usto. A potem zajechali my pod ten zafajdany uczastek i pomogli mi wysiąść, kopiąc i szarpiąc, i co stopień to ładując mi łup łup w górę po schodkach i już wiedziałem, że nie będą ze mną pogrywać fer te zafajdane podłe niemyte skurwle, żeby ich tak Bóg skarał.

7

Zawlekli mnie do cyrkułu jasnego aż oślepie, wybielonego, w którym to aż zatykała woń jakby zmieszane w jedno rzygowiny i sracz i z mordercy od piwka i dezynfekalia, wszystko jakby z tych klatek obok przez rzeszotki. W celach część zakluczonych robiła zgiełk to pizgając mięchem, to wyśpiewując i wydało mi się, że słyhać, jak jeden ryczy po żłopacku:

Owszem, wrócę do ciebie, moja mila.

Jak ty już nie będziesz żyła.

Ale i gliniarze pokrzykiwali na nich, żeby się zamknąć i daże było słyszno, jakby ktoś brał horror szoł po nastojaszczy łomot i wizgał uujjjj głosem uchlanej starej psiochy, a nie muzyka. Ze

mną było w tej stróżówce czterech łapsów i wsie na balszój gromko trąbili sobie czaj, na stole gromadny imbryk, a ci siorb siorb i bekają na sto dwa z tych wielkich brudnych kutasów. Mnie wcale nie poczęstowali. Jedno co połączyłem od nich, braciszku moi, to stare i zafajdane lustro, żebym się przejrzał: i naisto już nie byłem ten przystojniak Wasz Młody Gawędziarz i wygląd mój budził trwogę: usto spuchnięte i gładki do imentu czerwone i kluf też obtłuczony jak bulwa. Poryczeli się wprost horror szoł zobaczywszy, jak mnie to nie wkusno i jeden powiada: – Zły sen zakochanego i tyle. – Wszedł jakiś wysoki bonziak z gwiazdkami na plecach, żeby pokazać, jaki to on duży duży duży! i zobaczył mnie i zrobił: – Hm. No i zaczęło się.

Ja skazałem:

– Nie powiem ani jednego słowa jedyne, póki nie ujrę tu mego adwokata. Znam się na prawie, wy skurwiołki. – A ci się normalnie dali w rehot oczeń gromko na balszój i ten gwiazdzisty ober gliniarz powiada:

– Ależ recht i rychtyk, chłopaki, zaczniemy od pokazania mu, że my też się znamy na prawie i że jednak nie tylko w tym rzecz. – Miał taki dżentelmeński głos i bałakał jakby oczeń ustawszy i kiwnął jakby po družeski na jednego tłustego i gromadnego szpika. I ten gruby dziarmaga zdjął kurtkę i było widno, że ma stare po nastojaszczy wielgachne brzuch i podszedł nie śpiesząc się i poczułem cuch wydudlonego czaju z mlekiem, jak rozdziawił się do mnie i obszczerzył w tym oczeń chytrym a wymęczonym uśmiechu. Nie był za dobrze ogolony jak na gliniarza i miał pod pachami takie plamska od wyschniętego potu, i jak się przybliżył, to zajechało jakby woskowiną z niemytych uszu. I zwinął to parszywe czerwone grabsko w kułak i dogitarzył mi w sam żołądek, co było nie fer, a reszta miłych cyjniaków o mało se łbów nie odrechotała za wyjątkiem tego najważniejszego, co wciąż ustawszy i jakby znudzony obszczerzał się i tyle. Aż musiałem się oprzeć o wybieloną ścianę i ta bielizna cały ciuch mi usmotruchala, jak pytałem się apiać dychnąć w okrutnym bólu, a potem wyrzynać tego paja klejaszczego się, co zjadłem, nim wieczór się zaczął. Ale tego bym nie zniósł, żeby wziąć i zarzygać podłogę, więc się udzierzałem. I patrzę, a ten tłusty dziarmaga odwraca się do swoich kumpli, do cyjniaków, aby się z nimi fest obśmiać, że mnie tak załatwił, no to uniosłem prawy giczoł i zanim krzyknęli, aby uważał, ja mu fajnie przyładowałem horror szoł kopa jak raz w piszczel. A ten wziął prygać w kółko i wrzeszczeć na zabój.

Ale potem flekowali mnie już kolejno, szwyrgając mnie jeden drugiemu jak tę krwawą, zeszmakoną piłkę, o braciszku moi. z piąchy mi ładując to w jaja, to w ryj, to w brzuch i przy tym z buta, aż nareszcie przyszło mi się rzygnąć na tę podłogę i daże skazałem na to jak z uma szedłszy: – Ja winowat, oj, braciszki, tak że nielzia! Ja winowat winowat i winowat. – A ci dali mnie odrywki ze starych gazet i kazali, żebym wytarł, i na ostatku przymusili mnie, że mam uładzić do czysta trocinami. A potem zagaiwszy no po prostu jak serdeczni moi przyjaciele kazali siad na zad i że wreszcie sobie grzecznie porozmawiamy. I na to wszedł zobaczyć się ze mną P. R. Deltoid, bo miał biuro w tym nastojaszczym budynku, z wyglądu bardzo ustawszy i zbrudłachany, i zaczął od słów: – No i stało się, Alex, mój chłopcze, co? Toczka w toczkę jak przewidywałem. No i proszę proszę, no tak. – Po czym zwrócił się do miłych cyjniaków: – Cześć, inspektorze. Cześć, sierżancie. Cześć i dobry wieczór wszystkim. No, to ja mam tę sprawę z głowy, no i tak. Proszę proszę, jak ten chłopak wygląda? Coś wydaje mi się że nie za bardzo.

– No cóż, gwałt się gwałtem odciska – zagał ten najważniejszy jak święty baranek. – Bo stawiał czynny opór zatrzymującej go legalnie policji.

– No i sprawa z głowy, no tak – powtórzył – P. R. Deltoid. I wyślepił się na mnie tak całkiem zimno, jakbym ja teraz już był rzecz, a nie zakrwawiony, pobity i bardzo ustawszy człowiek. – Chyba muszę jutro pokazać się w sądzie.

– To nie ja zrobiłem, braciszku, proszę pana – odezwałem się tak ciut płakawie. – Bardzo proszę za mną przemówić, bo nie jestem taki doszczętnie zły. To inni zdradziecko wciągnęli mnie, proszę pana, i doprowadzili.

– Rozśpiewał się jak makolągwa – zaszydził ten bonziak. – Aż dach się unosi od jego śpiewu.

– Przemówię – rzekł chłodno P. R. Deltoid. – Nie bój się nic, będę jutro w tym sądzie.

– Gdyby pan miał chęć mu przyłożyć po mordzie – włączył się najważniejszy – to proszę się nie kępować. My go przytrzymamy. Dla pana to chyba znów ciężkie rozczarowanie.

Na to P. R. Deltoid uczynił coś, o co nigdy bym nie posądził takiego jak on, co ma obowiązek społeczny ratować i wychowywać nas, niegrzecznych małyszów na takich po nastojaszczy horror szol małyszów, a zwłaszcza przy tych gliniarzach. Postąpił się bliżej i napluł. No tak, napluł. W ryja mi napluł tak fest, na całego, potem wytarł se ten mokry, zapluty pysk wierzchem dłoni. A ja wziąłem swój zakrwawiony tasztuk i tarłem, i ocierałem, i wciąż tarłem sobie oplute lico, powtarzając: – Dziękuję panu, bardzo panu dziękuję, to bardzo szlachetnie z pana strony, ogromnie panu jestem wdzięczny. – Po czym P. R. Deltoid wyszedł ani słowem się już nie odzywając.

A polucyjniaki wzięli się za to długie zeznanie, co je miałem podpisać, to ja podumałem sobie: a niech was piekło i szlag trafi, a jeżeli wy wszyscy jesteście po stronie dobra, to ja cieszę się, że po tej drugiej. – No i fajno – skazałem – wy zafajdane skurwysynki, o, tym jesteście, wy gnojne łachmytki. Bierzta, czemu nie, wszystko se bierzta. Nie idę się więcej czołgać na brzuchu, wy parchate kundle. Od czego chcecie zacząć, wy zacuchłe szajsowate bydlaki? Jak ostatni raz byłem w poprawczaku? A to horror szole pażalusta, horror szol. – I posunąłem im wszystko jak leci, a ten mili stenograf, bardzo cichy i spuknięty członio, po prawdzie to sawsiem nie w typie gliniarza, bazgrał tej rozpiski stronę za stroną za stroną za. Wszystko im posunąłem, i ultra kuku, i stary zachwat, i łomot, i ryps wyps tam i nazad, wszystko, aż do tej nocy u starej bogatej psiochy z jej miauu miauu kiciorami. I postarał się ja, żeby moi tak zwani druzkowie tkwili w tym aż po szyję. A jak przekopałem się przez to wszystko, ten mili stenograf robił takie wrażenie, jakby mu było trochę słabo; nieszczęsny mudak. I ten ważniak mu skazał tak więcej miłosiernie:

– Już dobrze, synu. teraz idź napij się czaju i przestukaj cały ten brud i plugastwo, tylko przedtem ściśnij sobie nos klamerkami do bielizny, w trzech kopiach, żeby nasz miody przystojniaczek mógł to podpisać. A ciebie – zwrócił się do mnie – już można odprowadzić do ślubnych apartamentów z wszelkimi udogodnieniami i z wodą bieżącą.

W porządku – tym ustawszym głosem do dwóch gliniarzy z tych zaiste najtwardszych – zabierzcie go.

Więc odprowadzili mnie na kopach i z piąchy i na twojamaci do tych klatek i zakluk zakluk w celi, gdzie było już pewnie z dziesięciu albo dwunastu zakluczonych, w tym wielu pijanych. Było wśród nich po nastojaszczy unter bydło, użasna trwohyda, jeden z klufem do imentu wyżartym i gębą rozdziawioną jak wielka czarna dziura, jeden chrapiący na podłodze, rozwalony, a glut mu z ryja cały czas wyciekał i jeden, co jakby cały fekał se normalnie dawał w kaloty. Było także dwóch jakby dupodajnych, obaj napalili się na mnie i jeden mi prygnął na grzbiet i przyszło mi się z nim fest poharatać i tak śmierdział jakby denaturką i tanią perfumą, że o mato się znów nie porzygałem, tylko już nie miałem czym, o braciszku moi. A potem drugi z łapami do mnie i ci dwaj zaczęli się szarpać z charkotem, obaj napaleni na moją pływ. I tak wzięli się rozrabiać, aż paru gliniarzy wpadło i pałami dało im obu taki łomot, że im przeszła zadyma i już całkiem spoko usiadłszy zagapili się w przestrzeń, a po mordzie jednemu z nich stary blut kap kap i kap. W celi były daże i prycze, ale zapełnione. Wdrapawszy się po jednej na sam wierzch (a spiętrzone były po cztery) znalazłem starego chryka, jak chrapał, nawierno pizgnięty tam na górę przez łapsów. Tak czy siak zwałem go

w nisz (nie był znów taki ciężki) i ruchnawszy na jakiegoś tłuszciocha, złopaka, co kimał na podłodze, obaj zbudzili się i w skrzyk, i zaczęli się tak wzruszająco łomotać. A ja leżąc na tym zacuchłym barłogu, o braciszku moi, zapadłem w oczeń ustawszy i wymęczony i obolały sen. Ale nie był to właściwie sen, tylko jakby przeprowadzka do innego, lepszego świata. W tym innym, lepszym świecie, o braciszku moi, znalazłem się jakby na wielkim polu, gdzie najrozmaitsze kwiaty i drzewa, i był jakby kozioł z mordą jak u człowieka, grający na takim flecie. A potem się wydźwignął jak słońce sam Ludwik Van z mordą jakby z pioruna i grzmotu, w halsztuku i z rozwianymi dziko włosami, no i usłyszałem *Dziwiątkę*, jej ostatnią część, ze słowami ciut pomieszanymi, jakby wiedziały, że wypada się tak pomieszać, bo to jest we śnie:

*Z pręta, i noża są twe radości,
Bojku, mordujący świat,
Z ogniem w sercu, więc powiem coś ci,
Ty żarłaczu, że wziąć masz kop
W ryja i w śmierdzący zad.*

Ale melodia się zgadzała, co wiedziałem, jak mnie zbudzili dwie minuty później albo dziesięć, albo dwadzieścia godzin albo dni, albo lat, bo zegarek mi odebrali. Stał przede mną gliniarz, jakby na wiele wiele mil i jeszcze mil w głąb i szturgał mnie długim kijem zaopatrzonym w kolec i mówił:

– Budź się, synu. Budź się, ty przystojniaczku. Czekają cię dopiero prawdziwy kłopot.

A ja na to: – Dlaczego? Kto? Gdzie? Co takiego? – A melodia *Ody do radości z Dziewiątej* wypiewkuje gdzieś we mnie naisto wunder bar i horror szoł. A policjant:

– Złaz i dowiesz się. Mamy dla ciebie, synu, naprawdę wspaniałe wiadomości. – No to wykarabkałem się zeszytniały i obolały i tak naprawdę jeszcze nie ocknięty, a ten szpik, roztaczający silną woń sera i cebuli, wyszturgał mnie z brudnej, chrapiącej klatki, aby dalej po korytarzach, a przez cały czas ta stara melodia *Piękna Boża skro, radości*, aż iskrzyła się we mnie. I weszliśmy jakby do bardzo eleganckiej stróżówki z maszynami do pisania, kwiatami na biurkach, i przy tym jakby najgłówniejszym biurku siedział ten ważny gliniarz i wgapiał się we mnie bardzo serio i przygważdżał mnie zimnym wzrokiem, który wbił w moje wciąż senne ryło. Więc ja do niego:

– Proszę proszę. Co jest, braciszku. Co się połączyło w tym jasnym środku nocy? – Odpowiedział:

– Daję ci dokładnie dziesięć sekund na to, ażebyś starł ten głupawy uśmiech ze swego ryja. A następnie posłuchasz.

– Co takiego? – ześmiałem się. Nie wystarczy ci, że pobito mnie prawie na śmierć i opluto, i zmuszono, abym przez wiele godzin wyznawał swe zbrodnie i w końcu wepchnięto mnie pomiędzy psychów i śmierdzących zbrodnieców w tej zafajdanej celi? Masz dla mnie jakieś nowe męczarnie, ty skurwlu?

– Sam je sobie zadasz – stwierdził jak najpoważniej. – Jak mi Bóg miły, spodziewam się, że twoje własne tortury doprowadzą cię do szaleństwa.

I nagle, zanim jeszcze zdążył powiedzieć, już wiedziałem. Ta stara chryczka, właścicielka tych kotów i koszek przeniosła się do lepszego świata w jednym ze szpitali miejskich. Widać ją ciut za mocno stuknąłem. No no, to byłby szczyt wszystkiego. Przywidziały mi się te wszystkie koszki, jak miauczą, żeby im dać mleka i figę, więcej go nie połączą od tej starej bzdrety, swojej paniusi. To już koniec i aut. Popełniłem wszystko, co tylko można. A dopiero mam piętnaście lat.

Część druga

1

To co teraz, ha?

Podejmuję w tym miejscu i dopiero zaczyna się po nastojaszczy płaksiwa i jakby tragiczna część tej opowieści, o braciszkwowie i jedyni družkwowie moi, w tej Wupie (czyli Więzieniu Państwowym) numer 84 F. Nie ochotno wam będzie służyć ten szajsowaty i użasny razkaz, jak to mój ojczyk w szoku obtłukiwał i juszył sobie grabki na tym poniekąd oszukany Bogu w Niebiesiech i jak maciocha usta w prostokąt rozdziawiała do tego ouuuu ouuuu ouuuu w matczynej rozpaczy, że jedyna latorośl i syn piersią jej wykarmiony rozczarował wszystkich ach jak horror szoł i do takiego stopnia. Po czym stary i kurewsko cięty chryk sędziola z niższego sądu jak wziął i obsmarował od najgorszych waszego Brata i Piszącego Te Słowa, co mi jeszcze wpierw łajnem i brudnymi kalumniami przyłożyli P.R. Deltoid i polucyjniaki, a żeby ich Bóg pokarał. I znów do tego zacuchłego kicia, między tych smrodliwych zwyrodnialców i przystupników. A potem się odbył wyższy sąd ostateczny i nastojaszczy sędziola, i ława przysięgłych, i znów ten bałach na mnie od samych najgorszych i z trąbami uroczysto w zadęciu, a potem: winien! i maciocha w bu-hu-huuuu! jak mi rąbnęli: czternaście lat! o braciszkwowie moi. No i uszły co do dzionyszka dwa lata, jak się znalazłem na kopach i szczęk brzdęk w tej Wupie 84 F, ubrany w szczyt mody więziennej, czyli w brudny jednocześnie łach w kolorze jak fekał, z naszytym na grudzi tuż powyżej cyk cyk cykacza numerem i tak samo na plecach, więc czy idę czy przydę, zawsze jestem 6655321 i już: a nie wasz malutki stary družoczek Alex.

– To co teraz, ha?

Nie żeby to było wychowawcze, o nie! siedzieć dwa lata w tej gnojni piekielnej i jakby w zwierzyńcu dla szkaciny ludzkiej, a te ciurmaki łamignaty nic tylko ładują z buta i z piąchy i krugom te przystupniki, zbrodniarze, nieraz to całkiem zboczone i śliniace się od stóp do głów, że taki przyjebny malczyszka: jak niżej podpisany. I dzień w dzień rabotać na warsztacie przy proizwodztwie pudełek na spiczki, no i na podwórko i szagom marsz w kółko i w kółko i w kółko, niby dla zdrowia i czasami wieczorem jakiś starożytny chryk w typie psora z dokładem o żuczkach albo Drodze Mlecznej lub o Cudach i Tajemnicach Płatka Śniegu, co już mi zupełnie dawało w rechot, bo przypominał mi się ten chryk, co wyszedł z Publo Biblioteki w zimową noc i jak ustroili my z nim łomot i Czysty Wandalizm, kiedy moi družkwowie jeszcze nie zdradzili mine i tak jakby szczęśliwy byłem i swobodny. O tych družkach tylko jeden raz usłyszałem, jak faty i maty przyszli na widzenie i skazali mi, że Georgie nie żyje. A tak, nie żyje, o braciszkwowie moi. Po prostu martwy jak psi fekał na drodze. Powiódł mój Żorzyk tych dwóch do chaty jakiegoś oczeń bogatego członia i dali mu fest kop i łomot na podłodze, a potem Georgie wziął się razrez do poduszek i zasłon, a stary Jołop wziął się łup cup za jakieś bardzo drogie ukraszenia, figury i tym podobne, aż ten bogaty i złomotany mudak wściekł się jak z uma szedłszy i na nich z ważącą po nastojaszczy sztabą żelazną. I takiej siły nadzwyczajnej dostał przez ten razdraż, że Jołop i Pete ledwie mu zdołali ubryknąć w akoszko, a Georgie potknął się o dywan i jak wziął tą żelazną sztabą z rozmachu łup i bryzg po starym czerepie, tak i skończył się zdradziecki Georgie. A ten stary ubijca wykręcił się, że w Obronie Koniecznej i git

galant. Więc jak na Żorzyka przyszła czapa, chociaż w rok i dłużej po tym, jak mnie chapnęło gliniarstwo, to wszystko już widziało się fajno fajni i przednio, tak jakby Wyrok od Samego Losu.

– To co teraz, ha?

Byłem jak raz w Kaplicy Blokowej, bo niedziela rano i kapłon więzienny truł normalnie Słowo Boże. Moja robota była przygrywać na stereo, puszczać te zafajdane muzyki świętojebliwe przed i po i w trakcie również, jak piali hymniszcza. Znachodziłem się w tyle Blokowej Kaplicy (było ich cztery w tej Wupie 84 F) tam, gdzie klawisze (znaczy się ciurmaki) czuwali stojąc przy wintowkach i z nabuchanymi sino w ryj mordzielami na pogotowiu i widziałem, jak wsie zakluczone siad na rzop i zasłuchali się w Słowo Boże, w tych więziennych ciuchach koloru łajna, i tylko ten cuch brudacki od nich zajeżdża, nie żeby po nastojaszczy z nieumycia się, nie od istnego brudu czy fekału, ale taki własny zaprzały śmiard co to od przystupników, o braciszkwowie moi, ta woń jakby kurzu zjełczała, tłusta i beznadziejna. Aż uwidziało mi się, że może i ja tak cuchnę skoro już zrobił się ze mnie nastojaszczy pryzner, mimo że taki młodziak. Więc było to dla mnie oczeń ważne, braciszkwowie, żeby się co najrychlej wydostać z tego smrodliwego zwierzyńca. I jak sami uświadczycie, jeżeli to będziecie dalsze poczytywać, za niedługo mi się udało.

– To co teraz, ha? – odpytał trzeci raz nasz więzienny bogusław. – Ano teraz już będziecie włącz i wylaz, włącz i wylaz po takich zakładach, jak ten, ale dla większości was to dłużej włącz niż wylaz, chyba że posłuchacie Słowa Bożego i pojmiecie, co za kary czekają zatwardziałego grzesznika na tamtym świecie, a na tym co: figa! może nie? Jesteście banda zadziobanych idiotów i tyle – większość! – żeby tak opchnąć pierworódlwo za miskę wyslygłej owsianki. Ta podnieta kradzieży, gwałtu i przemocy, ta durna chuć, aby żyć za frajer: czy to warto, skoro mamy całkiem pewne dowody, tak tak, niewzruszone świadectwo i pewność, że piekło istnieje! Ja to wiem, wiem, przyjaciele moi, miałem te wizje i pokazano mi, co to za miejsce, ciemniejsze niż więzienie, gorzej palące niż jaki bądź ludzki ogień, gdzie duszyczki takich zatwardziałych grzeszników i kryminalistów jak wy – nie ma co się obszczerzać, szlag by was trafił, wy łotry, to nie podśmiechujki!

– jak wy, powiadam, wrzeszczą w nieznośnej i wiecznej męczarni, nos im zatyka smród, ryj pełen gorącego łajna, skóra gnije i płatami obłazi, we flakach aż do kwiku wierci się jakby kula ognista! A tak tak, macie to jak w banku, wiem ja coś o tym.

W tym punkcie, o bracia, któryś tam pryzner czy inszy jakby w tylnych rzędach dał koncert na wardze – Prrrrrp! – i te ciurmaki od razu hej ho! i pędzą, ale jak! tam gdzie wydał im się szum: i łup łup. i trach na lewo i prawo, całkiem na padbor. Grabneli jednego bidaka, trzęsącego się, chudziutkiego i drobnego pryznera, starego chryka, i potaszczyli go, a ten krugom skrzyczał: – To nie ja, no wiecie, przecież to on! – ale co za różnica? Fest mu przydziarmażyli, a potem wywlekli z kaplicy, chociaż mało sobie łba nie odwrzeszczał.

– A teraz – powiada kapłon – posłuchajcie Słowa Pańskiego.

– I dźwignął wielką książkę i przewarkotał kartki, śliniąc te paluchy spluwsz spluwsz. A był z niego wielki, gromadny bych i chamajda z mordą aż aż czerwoną, ale mnie dość lubiał, że taki młodziak i ostatnio tą książką tak interesujący się. Ustroiło się jakby za część mojego wychowania znaczy się na przyszłość, że czytam z tej wielkiej książki, do tego muzyka leci z kaplicowego stereo, a ja czytam. Uch, braciszkwowie moi! to było po nastojaszczy horror szoł. Zakluczali mnie i że niby mam słuchać tej świętojebliwej muzyki J. S. Bacha i G.F. Händla, a ja się rozczytywałem, jak te stare Żydłaki robili jeden drugiemu łomot i ultra kuku, po czym doili to jęwejskie wino i dawaj na tapczan jak leci z żonami, ze służankami, po prostu horror szoł. To mnie trzymało, braciszkwowie. Tej książki ostatnia część już nie oczeń była mnie paniatna, więcej tego jakby kaznodziejstwa i wzniosłego bałachu niż łomotu i starego ryps wyps. Ale jednego dnia kapłon zagaja do mnie, tak jakby miętosząc

mnie tym wielkim, potężnym łapskiem: – Och, zastanów ty się, 6655321, nad męką Boską. Rozważ to sobie, mój chłopcze. – A krugom jechała od niego ta po muzycku zawieszista woń szkota i paszoł do swojej dyżurki jeszcze se chlapnąć. Więc ja przeczytałem dokładnie o tym biczowaniu i cierniowej koronie i tak zwanym krzyżu i całe to ichnie gówno, i łuczsze jak dotąd upatrzyłem, że coś w tym jest. Na stereo leciały fajne kawałki Bacha i wtedy mnie, oczy zakluczywszy, увидziało się, jak pomagam dawać łomot i przybijając na krzyż, a nawet rządę tym jako dowódca, ubrany jakby w togę, czyli w taki szczyt mody rzymskiej. Więc nie sawsiem zmarnował się ten mój pobyt w kazonnej Wupie 84 F i sam naczałnik bardzo się obradował, jak usłyszał, że mnie wciąga ta jakby religia: i właśnie z tym wiązałem pewne nadzieje.

Tej niedzieli z rana kapłon wziął i wyczytał z książki o takim, co słyszał, a nie załapał się na to słowo, że jakby dom budował na piachu i zaczęło lać, i deszcz, i grom z nieba łubudu, i dom poszedł w cholere. To ja podumałem, że tylko nastojaszczy durak budowałby na tym piachu i że taki chleborak to musiał lepszych mieć sąsiadów i družków jechidnych, co tylko by się obszczerzali, a żaden mu nie bałaknie, że tak budować to głupiego robota. I dał skowyt nasz kapłon: – To recht, ferajna! I na zakończenie odśpiewamy hymn 435 ze śpiewniczka. – Rozdał się stuk i bach i szt szt, jak obecni wzięli się za te małe uswinione *Śpiewniczki więźnia*, temu leci z rąk, ci znów liżą i przewracają ćp ćp stroniczki, a wściekle ciurmaki powrzaskują: – Nie gadać tam, skurwle. Widzę cię, 920537. – Ja płytę, ma się rozumieć, już gotową miałem na stereo i puściłem tę łatwiuchną muzykę organową z jej grouuu ouuu ouuuuuu i zeki się wkluczylili w śpiew, coś okropnego:

*Jesteśmy świeżą i słabą herbatką,
Lecz jak zamieszać, to mocy przybywa.
Chleb anielski jadamy rzadko,
Sprawiedliwość jest nierychliwa.*

Robili z tych durackich słów istny wyj i bek, a bogustaw ich popędział, jak batem siepnąć: – Głośniej, do cholery, śpiewać! – a do tego ciurmaki: – No, czekaj ty, 7749222 – i: – Łeb ci rozwałę, gnojku! – Wreszcie było z tym aut i kapłon zakluczył: – Niechaj was Trójca Przenajświętsza ma w opiece i uczyni dobrymi, amen – i wszystko poszurgało do drzwi przy takim fajnym kawałku II symfonii Adriana Schweigselbera, wybranym, o braciszku moi, przez Niżej Podpisanego. Co za ferajna, myślałem, stojąc przy tym naszym stereo w kaplicy i patrząc, jak ten szajs ludzki człapiąc wygruża się i robi jaaaaurrr i beeeea jak zwierzęta, i pokazuje mi zafajdanymi paluchami cha ci w de! że niby ja tu mam przywileje. Kiedy się ostatni wyczołgał z grabami obwisłymi jak u goryla i potoczywszy fajnie gromko łup w tył czaszki od jednego ciurmaka, co jeszcze się został, a ja wykluczyłem stereo, podlaźł do mnie ten kapłon, pykając rakotwora, jeszcze w tym ciuchu bogusławskim, w koronkach i cało na biało, no jak dziewczuszka.

I zagaił w te słowa: – Jak zwykle dzięki ci, mój mały 6655321. Co też dzisiaj nowego? – Bo ten kapłon, wiadomo, chciał się zostać za oczeń ważnego świętojebliwca w tym ich świecie Religii Penitencjarnej i do tego było mu nużne oczeń horror szoł dobre świadectwo od Naczalnika, więc łaźił i kiedy niekiedy zakapował Naczalnikowi. co za mrocne spiski knują się u przyznerów, a tego szajsu dużo połuczał ode mnie. Sporo było tak tylko wydumane, ale bez tego, żeby coś po nastojaszczy, się nie obeszło, na przykład jak do naszej celi doszło po rurach kanalizacyjnych puk puk puk-i-puk-i-puk puk-i-puk że duży Harriman ma się wyłamać. W czasie żarcia miał stuknąć klawisza i wypsnać się przedziawszy w jego ciuch. A potem jak na stołówce miało się ustroić wielkie rzucanie tą szajsowatą piszczą, co ja też wiedziałem i doniosłem. A bogusław podał wiadomość do

góry i zarobił pochwałę od Naczelnika za Społeczne Podejście i Czujne Ucho. Więc na ten raz odkazałem i to nie była prawda:

– Owszem, tak jest, proszę księdza, doszło po rurach, że przybył nielegalny transport kokainy i będzie ją rozprowadzać jakaś cela na 5 kondygnacji. – A wsio przydumałem w lot bałakawszy, jak i przedtem dużo tych opowiastek, a bogusław był wsio taki wdzięczny i mówił: – Fajno fajno fajno. Ja to przekaże Samemu – bo tak mianował Naczelnika. Więc ja mu na to:

– Postarałem się, proszę księdza, nieprawdaż? – Do tych z wierchuszki ja zawsze odzywałem się moim grzecznym i dżentelmeńskim głosem. – Wszak staram się regularnie?

– Myślę – na to kapłon – że tak na ogół biorąc to i owszem, 6655321. Wiele nam pomagasz i sądzę, że wykazujesz się szczerą chęcią poprawy. Tylko tak dalej, a nie wątpię, że uzyskasz bez większego trudu przedterminowe zwolnienie.

– Ale – powiadam – proszę księdza, a co z tą nową sztuczką, co krążą pogłoski? Że ta nowa jakby kuracja, po której zaraz się wychodzi z więzienia i z gwarancją, że nigdy więcej?

– O – powiedział, nagle cały w czujność. – A gdzie to słyszałeś? Kto ci takich rzeczy naopowiadał?

– Te rzeczy krążą, proszę księdza – powiadam. – Przypuśćmy, że dwaj strażnicy rozmawiają i człowiek nie da rady, musi dosłyszeć. A znów ktoś na warsztacie złapie kawałek gazety i wszystko to jest w niej detalicznie opisane. Może ksiądz by mnie, proszę księdza, polecił na ten zabieg, że ośmieliłbym się zasugerować?

Widać było, jak on główkuje, pykając ze swego rakotwora i mózgołac, ile mi opowiedzieć z tego, co sam wie, a o co ja zagabnałem. Nareszcie zagaił: – Domyślam się, że ci się rozchodzi o technikę Ludovycka.

A wciąż chował się bardzo czujnie.

– Nie wiem, jak się nazywa, proszę księdza – odkazałem. – Tylko wiem, że to pozwala szybko wyjść i zapewnia gwarancję, że więcej człowieka nie posadzą.

– Owszem – powiada, a brwi mu się tylko nasepiały, jak się na mnie z góry wyślepił. – Tak to i wygląda, 6655321. Na razie oczywiście w stadium eksperymentu. Bardzo proste, ale też i bardzo drastyczne.

– Ale już się wprowadza u nas, proszę księdza, nieprawdaż? – zapytałem. – Te nowe, takie więcej białe budynki, proszę księdza, przy murze południowym. Jak była gimnastyka na wybiegu, to widzieliśmy, kiedy je stawiali.

– Jeszcze się nie wprowadza – odkazał – nie w naszym więzieniu, 6655321. Sam nie ma do tego przekonania. Muszę przyznać, że podzielam jego wątpliwości. Chodzi o to, czy technika Ludovycka rzeczywiście może kogoś uczynić dobrym? Albowiem dobroć, 6655321, bierze się z ludzkiego wnętrza. Dobroć to kwestia wyboru. Kiedy człowiek nie może wybierać, to nie jest już ludzkie. – Jeszcze długo by ubijał ten szajs, ale dało się słyszeć, że już następny oddział zakluczonych starabania się brzdęg brzdęg po żelaznych schodach na swój kawałek religii. Wiec rzekł: – Pogadamy o tym kiedy indziej. A na razie bierz się za program dowolny. – Więc poszłem do naszego stereo i puściłem J. S. Bacha preludium na chór *Wachet auf* i władowała się cuchnąca kucza tych brudnych skurwli, bandziorów i zбочeńców szłop szłop jak przegrane jakieś małpoludy obszczekiwane i pędzone batem przez ciurmaków. I za chwilę więzienny kapłon już pyta ich:

– To co teraz, ha?

Na to miejsce żeście się włączyli.

Tego ranka były u nas cztery porcje tej religii więziennej, ale bogusław już nie odezwał się do mnie, jak chodzi o technikę Ludovycka, co by to nie było, braciszku. Odrabotałem swoje przy

stereo i bałaknął mi tylko dzięki dzięki i odwiedli mnie apiać do celi na 6 kondygnacji, gdzie miałem ja swoje cuchnące i tłoczne żyłiszcze. Ten ciurmak nie był akurat najgorszy i nie przyładował mi dąże w łeb ani kopa, jak mnie wpuszczał, tyle co bałaknął: – I znajdujemy się z powrotem, synku, w naszej kałuży. – No i faktycznie oto moi druzkowie nowego typu, sam kryminal i przystupniki na sto dwa, jeszcze chwala Bogu, że nie zboczeni. Na swojej pryczy Zophar, bardzo chudoszczawy i śniady, jak zawsze truł i truł tym głosem jakby rakowatym, że nikomu się nie chciało słuszać. Teraz jakby do nikogo posuwał o taki razkaz: – A że w tym czasie nie szło dostać kluka (co by to nie znaczyło, braciszkwie) nawet za melona pierdolców i za dziesięć, to co ja robię, no, poszłem do Indora i mówię, że mam jutro to siupsko i czy on by czegoś nie skombinował? – Cały czas ta po nastojaszczy kryminalna starożytna grypsera. I był Murko bez jednego oka, co jak raz obdzierał sobie paznokcia u nóg po kusoczku, że w niedzielę od święta, I był też Wielki Żyd, bardzo prędkie muzyk i pocący się, wyciągnięty w kojce na wznak jak truposz. A prócz nich Jajasio i Doktor. Jajasio był na balszój zły i cięty i żylasty, specjalista od przemocy seksualnej i te pe, a znów Doktor udawał, że potrafi wyleczyć syfa i trynia i różne upławy, a tylko zastrzykiwał wodę: no i tak uśmiercił dwie dziuszki zamiast, jak się zobowiązał, usunąć im czego nie chciały mieć. Była to sawsiem brudna przeciwna i użasna ferajna i nie miałem ja przyjemności co by obszczać się z nimi, jak i wy w nastojaszczy moment, o braciszkwie moi, ale to już niedługo.

Otóż musicie wiedzieć, że ta cela była ustrojona dla trzech, a popadło w nią sześciu i wsie na kupie, spotniawszy i ciasno. Tak przedstawiały się w tych czasach wszystkie cele we wszystkich mamrach, o braciszkwie, wstyd i hańba po prostu zafajdana, że nie było gdzie nóg porządnie wyciągnąć. I nie uwierzycie, co powiem, że tej niedzieli wpichnięto nam jeszcze jednego zeka. No tak, przegłotnęło się jakoś tę rzygotliwą piszczę, niby że gulasz z kluch i śmierdzącego mięsochłapu, i każdy na swojej pryczy kopciał normalnie rakotwora, jak wrzucili między nas tego mudaka. Był to stary pyskаты grzdyl i od razu wziął się wyrzaskiwać, ani my się połapali, co jest, różne tam skargi. Nawet jakby kratami pytał się trząchać i darł mordę: – Ja domagam się moich dziobanych praw, tu jest przepelnione, to przemoc kurewska, tak jest! – Na co jeden z czasowych zawrócił i powiedział mu, żeby sobie radził, jak może i na wspólnej pryczy z kimś, co go wpuści, bo jak nie, to przyjdzie mu się na podłodze kiblować. – I będzie – dobawił ten klawisz – gorzej, nie lepiej. Przecież to wy się staracie, wy łajdaki, ustroić taki do imentu parszywy bandycki świątek.

2

No i od wpuszczenia tego nowego zaczęło się, tak po nastojaszczy moje wydobywanie się z młyna, bo z niego był taki wredny i zjadliwy poprzeczniak a nie więzień, z brudem na mózgu i samo plugastwo w myślach, że jeszcze tego dnia się zaczęły kłopoty. Niemożebnie się chełpił i do każdego z nas wziął się przydzierać z tym szyderstwem na ryju i gromko a z pyszna. Że on jedyny w całej wupie jest horror szoł po nastojaszczy przystupnik i że wykonał to i tamto, i zabił rrraz i dziesięciu gliniarzy jedną ręką i cały ten szajs. Ale nie zaimponował tym nikomu, braciszki. Wiec przysrał się do mnie, że byłem najmłodszy, i starał się wcisnąć, że jako ten najmłodszy to ja mam kimać na podłodze, nie on. Ale wsie postawili się za mną i krzyknęli: – Zostaw go, ty zimny łobuzie! – wiec on dał się w ten stary skowyt, że nikt go nie kocha. I tej samej nocy zbudziłem się i patrzę, a ten ohydny zek już leży ze mną na pryczy co była dolna z trzech pięter i wążiutka, i truje mi jakiś brud miłosny i głach głach głaska mnie! To ja się dopiero wściekłem i łomot! choć nie za bardzo horror szoł było

widno, tylko ta malutka czerwona lampka w przejściu na zewnątrz. Ale wiedziałem, że nikt inny, tylko ten cuchnący skurwysyn, a potem, jak wybuchła już po nastojaszczy zadyma i światła się zapaliły, to zobaczyłem ten jego przeciwny ryj cały we krwi cieknącej z pyska, gdzie mu przyłożyłem z rozcapierzonej graby.

No i potem co się stało, wiadomo, że ci w mojej celi zbudzili się i dawaj mieszać, łup lup i w półmroku trochę na dziko, cała kondygnacja się rozbudziła od zgiełku i już słysząc na balszój krzyk i walenie blaszanymi kubkami o ściany, jakby wszystkim zakluczonym we wszystkich klatkach przywidziało się, że idzie na gromadny wyłom, o braciszku moi. Wtedy zapalili te światła i ciurmaki wlecieli w koszulach, sztanach i czapkach, wymachując pałami. Dopiero uwidzieli my swoje czerwone gęby i rozlatane piąchy, a skrzyku co niemiara i twojamaci. To ja wniosłem skargę i wsie ciurmaki oświadczyli, że i tak czy siak, o braciaż wy moi, wszystko to nawiernie zaczął Wasz Pokorny i Piszący Te Słowa, bo wyszedłem daże nie draśnięty, a ten w mordę dziobaty zek juchą krasno i przekrasno farbował z pyska od mojej rozcapierzonej graby. Dopiero poczułem się z uma szedłszy. I powiadam, że ani nocy dłużej nie spędzę w tej celi, skoro Dyrekcja Więzienia pozwala, żeby mi jakiś ohydny prześmiardły woniejący zboczeniec i przystupnik na płyt rzucał się, kiedy ja śpię i daże bronić się nie mogę. – Wytrzymaj aby do rana – odrzekli. – Czy osobistego apartamentu z łazienką i telewizją życzy sobie Wasza Wysokość? Oczywiście! z rana to się załatwi. A jak na razie, drużku, to kładź ty swój dziobany czerep na tej słomianej poduchnie i żeby nam więcej nikt nie podskoczył. Zrozumiano i recht recht recht? – Po czym udalili się z poważnym ostrzeżeniem dla wsiech, po czym zaraz światła pogasty i ja oświadczyłem, że przesiedzę ostatek nocy, a najpierw jeszcze powiedziałem temu ohydnemu przystupnikowi: – No jazda, bierz tę moją prycz, jak ci pasuje. Mnie ona już obrzydła. Uczyniłeś z niej brud, smród i fekał, żeś położył na niej tę płyt swoją szajsowatą. – Ale tu reszta się wkluczyła. Wielki Żyd, jeszcze spocony od tej drobnej harataniny w ciemnościach, zagaił sepleniąc jak następuje:

– Już co to, nie, bracia, tak się nie robi. Nie dawaj dla tego karypla. – A ten mu na to:

– Hałt pysk i bubeł w kubeł, uś, ty parchu! – czyli przymknij się, ale niegrzecznie. Na to już Wielki Żyd rozmachnął się, żeby mu przydziarmażyć.

A Doktor się odezwał:

– Ależ panowie, po co nam tu awantura, nieprawdaż? – tym głosem z najwyższych sfer towarzyskich. Ale ten nowy przystupnik się po nastojaszczy dopraszał i krugom pokazywał, jak uważa się za gromadnego i wielkiego flimona i że to ubliża jego nadzwyczajnej godności, aby dzielił celę z sześcioma i spał na podłodze, aż ja wykonałem ten gest. Więc postarał się jechidno po swojemu zażyć Doktora i tak się odezwał:

– Euuuu, więc nie ouudpouuwiada ci już awantuuura, czyż nie taaak, Archijajcu? – A na to włączył się Jajasio, zły i cięty i żylasty, jak następuje:

– Skoro już nie można spać, to można zająć się edukacją. Naszemu przyjacielowi, który się od niedawna wśród nas pojawił, przyda się lekcja. – Mimo że specjalizował się Jajasio w napaściach seksualnych, ale przemawiał kulturalnie, z cicha i tak jakby starannie. Więc nowy tylko się obszczerzył:

– Łap i łup i łup, ty małe fizdejko! – I dopiero zaczęło się po nastojaszczy, ale tak po cudacku i jakby z lekka, że po prawdzie nikt nie podniósł głosu. Ten nowy z początku ciut niemnożko pokrzykiwał, ale jak Murko wziął i piąchnął go w usto, podczas gdy Wielki Żyd stojącego udzierzał przy kratach, aby go było widno w tym czerwonym światelku z przejścia, to już tylko wydawał o! o! o! Nie był to za mogutny członio, bardzo słaby w tym, jak pytał się oddać łup za łup, i wydaje mi się, że to właśnie nadrabiał przez ten oczeń huczny głos i chełpliwość. Tak czy siak, ale zobaczywszy, jak

ta stara czerwien płynie krwawo w pur pur purowym świetle, poczułem, że mi jakby podchodzi do góry po staremu w kiszkach ta radocha i odezwałem się:

– Zostawcie go dla mnie, no już, niech ja go dostanę, o braciszku moi. Na co Wielki Żyd wyseplenił:

– Tak, tak, chłopaki, to jest fer. Załatwiał go, Alex. – I stanęli tak w kółko, a ja łomotałem tego flimona prawie po ciemku. Z piąchy mu dawałem, ile weszło, i tańcowałem z buta, mimo że bez sznurowadeł, a w końcu go podciąłem i ruchnął bach bach łubudu na podłogę. To dałem mu jeszcze raz po nastojaszczy horror szoł fajnego kopa w czaszkę i on zrobił oooch-ch-ch i tak jakby odchrapał się w głęboki sen, i Doktor powiedział:

– W porządku, sędzę, że ta lekcja będzie wystarczająca – i szturzył się, aby dojrzeć tego powalonego i zdiarganego członka na podłodze. – Niech mu się przyśni, jak to w przyszłości będzie może lepszym chłopakiem. – No i weszliśmy apiać na swoje kojki, już bardzo ustawszy. Co mi się przyśniło zaś, o braciszku moi, to że byłem w jakiejś oczeń gromadnej orkiestrze, liczącej się na setki i setki, a dyrygent jakby skrzyżowany z Ludwika Van i G. F. Händla, widział się całkiem głuchy i ślepy i mający już dość tego świata. Ja w dętych bywszy instrumentach, ale to, na czym grałem, to jakby na biało niby różowawym fagocie z ciała i wyrastającym z mojej płyty, akurat pośrodku brzucha i jak w niego dmuchałem, to musiałem się ześmiać ha ha ha bardzo głośno, bo tak jakby mnie łaskotało, i na to Ludwik Van G. F. pokazał się razdraz i całkiem z uma szedłszy. Po czym dawaj bliżej do mordy i uwrzasnął mi się gromko w same ucho, i zbudziłem się cały spotniawszy. Oczywiście ten gromki szum to faktycznie był więzienny budzik z tym brrrrr brrrrr brrrrr. Zimowy poranek i oczy moje sawsiem klejaszczce od tego śpiku, a jak je rozwarłem, to rozbolały mnie w tym elektrycznym świetle, co je włączyli w całej wupie. Po czym luknąłem w dół i uwidziałem tego nowego zeka, jak leży na podłodze, na balszój krwawy i pobity i ciągle aut aut i aut. Przypomniała mi się ubiegła noc i zaśmiałem się ciut kusoczek.

Ale jak wylazłem z kojki i pichnąłem go bosą nogą, poczułem jakby sztywny chłód i podszedłem do pryczy Doktora i potrząłem go, bo rano zawsze się powoli rozbudzał. Ale na ten raz wyprygnął z kojki dość rychło, inni też, a wyjątkiem był Murko, który spał jak kawał martwego mięcha. – Bardzo niefortunnie się stało – powiedział Doktor. – Niewątpliwie byt to atak serca. – Po czym rozejrzał się po nas wszystkich i rzekł: – Doprawdy nie powinniście go aż tak dekować. To było doprawdy nieroztropne.

Rzekł na to Jajasio:

– No no, doktorku, też nie byłeś całkiem do tyłu, jak mu przyszło dać chytrze co nieco z piąchy. – A potem Wielki Żyd obrócił się do mnie i wyraził:

– Alex, ciebie za bardzo poniosło. Ten ostatni kop to był bardzo bardzo niecharoszy. – Więc ja przez to wszystko poczułem się już oczeń razdraz i powiadam:

– A kto zaczął, co? Ja włączyłem się dopiero pod koniec, może nie? – Wskazałem na Jajasia i mówię: – To była *twoja* przydumka. – Murko zachrapał tak więcej gromko, więc powiadam: – Czas obudzić tego smrodliwego wybladka. To on wciąż ładował mu w usto, kiedy ten Wielki Żyd dzierzał go stać przy rzeszotce. – Doktor na to powiada:

– Nikt się nie wyprze tego, że mu trochę przyłożył, aby mu dać że tak powiem nauczkę, ale nie ma dwóch zdań, że to ty, chłopcze, z rozmachem i – powiedziałbym lekkomyślnością młodego wieku zadałeś mu gnadensztosa. I wielka szkoda.

– Zdrajcy – wymówiłem. – Zdrajcy i zakłamańce – bo już mi się zrobiło wsio widno, jak przedtem, dwa lata w tył, kiedy moi tak zwani družkowie wydali mnie w żestokie łapska polucyjniaków. Już na nic uczciwego w tym świecie nie można liczyć, braciszku moi, na ile ja to

widzę. No i Jajasio wziął i zbudził Murka, a Murko był jak najbardziej gotów przysięgać, że to Niżej Podpisany dopuścił się tego najgorszego brudnego łomotu i okrucieństwa. Jak się pokazały ciurmaki, a później Sam Naczalnik, już ci moi druzkowie z celi aż się rozlegało, tak zeznawali, czego to ja nie zrobiłem, aby ukatrupić tego nikudysznego zbrodźcę, którego zakrwawiony trup leżał jak worek na podłodze.

Bardzo to był cudacki dzień, o braciszku moi. Wynieśli to martwe cielsko, a potem w całej wupie wsie zostali się zamknięci aż do rozporządzenia i nie wydawano żadnej piszczy, dąże i kubka gorącego czaju. Tylko siedzieli my i czasowi (znaczy się ciurmaki) tak jakby szagali tam i nazad po kondygnacjach, od czasu do czasu wydając krzyk: – Zamknij się! – albo: – Zawrzyj ten loch! – jak dobiegł ich aby tylko szept z jakiejś celi. Potem koło jedenastej rano jakby zeszywniało wszystko i podniecenie, i jak gdyby strachem zaśmierdziało poza celą i zobaczyli my, jak Naczalnik i Główny Ciurmak jeszcze z kilkoma ważnymi na wygląd bonziakami szagają co rychlej, wygadując jak z uma szedłszy. Doszli jakby do końca tej kondygnacji, a potem dało się słyszeć że abratno szli, już wolniej, i było słyszeć jak Naczalnik, taki oczeń tłusty pocący się blondyn, truje coś w rodzaju: – Ale dopraszam się – i: – Cóż na to poradzić, ekscelencjo? – i tym podobne. Wreszcie cała ta banda zatrzymała się przy naszej klatce i Główny Ciurmak odkluczył. Zaraz było widać, który tu najważniejszy: taki bardzo wysoki z niebieskimi oczyma i w ciuchu naprawdę horror szół, w najpiękniejszej garniturze, braciszku moi, jaki widziałem w życiu, absolutny szczyt mody. Przejierał jakby na wylot nas, bidnych zeków, i posuwał tym krasiwym, po nastojaszczy edukowanym głosem: – Rząd nie może już dłużej polegać na przestarzałych teoriach penitencjarnych. Stłoczyć razem przestępców i co z tego wynika? Kwintesencja zbrodni, legnąca się w centrum kary przestępczość. Już niebawem cała pojemność naszych więzień może się okazać potrzebna dla więźniów politycznych. – Nie wszystko chwytałem, o braciszku moi, ale w końcu nie do mnie się zwracał. Po czym tak się wyraził: – Pospolitych przestępców, jak ta odrażająca gromadka (znaczy się ja, braciszku moi, i ta reszta, złożona z istnych przystupników i do tego zdradzieckich), najlepiej da się załatwić na bazie czysto leczniczej. Zabić w nich zbrodniczy odruch i tyle. Pełne wdrożenie w przeciągu jednego roku. Dla nich kara nie odgrywa roli, to widać. Z tak zwanej kary oni czerpią satysfakcję. Zaczynają się pomiędzy sobą mordować. – I zwrócił na mnie surowe błękitne oczy. Więc ja śmiało się odezwałem.

– Za przeproszeniem, proszę ja szanownego pana, sprzeciwiam się stanowczo temu, co pan powiedział. Nie jestem pospolitym przestępcą i nie jestem odrażający. Może inni są tu odrażający, ale nie ja. – Na to Główny Ciurmak zrobił się aż purpurowy na mordzie i wrzasnął:

– Zawrzyj ten pieprzony loch, ty! Nie wiesz, do kogo się odzywasz?

– Dobrze, dobrze – powiedział ten ważniak. Po czym zwrócił się do Naczalnika i rzekł: – Możecie go użyć do przetarcia drogi. Jest młody, zuchwały, zły i niebezpieczny. Brodzki jutro się nim zajmie, a wy bądźcie przy tym i przyglądajcie się. To się sprawdza, możecie być spokojni. Jak ten młody, groźny i zwyrodniały zbir się przeobrazi, to go w ogóle nie poznacie.

Te jego nie patyczkujące się słowa, o braciszku moi, to był jakby początek mojej wolności.

3

Jeszcze tego wieczora powlokły mnie grzecznie i jak należy te żestokie łup łup ciurmaki na widzenie się z Naczalnikiem w jego świętym i przenajświętszym ze świętych przybytku czyli

dyżurce. Naczelnik przyjrzał mi się tak oczeń ustawszy i zagaił: – Chyba nie wiesz, kto to był dzisiaj rano, co, 6655321? – I nie czekawszy kiedy powiem, że nie, sam rzekł: – To był we własnej osobie Minister Spraw Wewnętrznych – jak to mówią – całkiem nowa miotła. Otóż te nowomodne, po mojemu dość humorystyczne pomysły w końcu przeszły i przykaz to jest przykaz, chociaż powiem ci w zaufaniu, że mnie to nie odpowiada. Wcale a wcale mi nie odpowiada! Ja uważam, że oko za oko. Jak cię ktoś bije, to mu oddasz, nie? W takim razie dlaczego państwo, tak dotkliwie bite przez was, rozbestwionych łobuzów, nie ma wam oddać? Ale według tej nowej koncepcji tak ma nie być. Bo nowa koncepcja jest taka, że będziemy złe przemieniać w dobre. A mnie się zdaje, że to wszystko jest nadzwyczaj niesprawiedliwe. Hm? – Więc ja odkazałem, starając się, żeby oczeń uprzedzająco i z całym szacunkiem:

– Tak jest. – A na to Główny Ciurmak, co stał, mogutny i czerwony bych, tuż za fotelem Naczelnika, jak nie ryknie:

– Zawrzyj no ten brudny loch, ty gnojku!

– Dobra, dobra – powiada jakby spluty i ustawszy Naczelnik. – Więc ty, 6655321, będziesz poddany, resocjalizacji. Jutro zaprowadzą cię do tego Brodzkiego. Przewiduje się, że będziesz mógł opuścić areszt po upływie nieco ponad dwóch tygodni. Za dwa tygodnie z kawałkiem wyjdiesz z powrotem w ten wielki i wolny świat, już nie jako numer. Myślę – tu się z lekka uczmychnął – że ta perspektywa ci się podoba? – Nic na to nie odpowiedziałem, wobec tego Główny Ciurmak znów ryknął:

– Odpowiadaj, ty gnojku, świni szajsowata, kiedy pan Naczelnik cię pyta! – Więc odpowiedziałem:

– Och, tak, proszę pana! Bardzo panu dziękuję. Staralem się tu, jak mogłem, naprawdę. Jestem za to wszystkim państwu niezmiernie wdzięczny.

– Więc nie bądź – tak jakby wzdychnął Naczelnik. – To nie nagroda. Bynajmniej. A tu jest formularz do podpisania. Stwierdza on, że zgadzasz się na zamianę reszty wyroku, jaki miałbyś odsiedzieć, na poddanie się tak zwanej – komicznie to nazwali – Kuracji Resocjalizacyjnej. Podpisujesz?

– Ależ naturalnie, że podpisuję – odrzekłem – proszę pana. I wielkie, przeogromne dzięki. – Więc dali mi atramentowy pisak i machnąłem nim krasiwo i płynnie swe nazwisko.

– W porządku – rzekł Naczelnik. – To chyba wszystko.

Na to Główny Ciurmak się odezwał:

– Jeszcze ksiądz Kapelan chciałby z nim pogadać, panie Naczelniku. – Więc wyprowadzono mnie i dawaj korytarzem do Kaplicy Blokowej, a po drodze jeden z ciurmaków co i raz mnie stukał jak nie w kręgosłup, to w łeb, ale tak nudno i jakby do rozziewu. I przemaszerowali mnie przez kaplicę do małej stróżówki bogusława i wpichnęli do środka. Tam siedział nasz kapłan przy biurku, gromko i wyraźnie zajeżdżając tak fajnie po muzycku wonią drogich rakotworów i szkota. Przemówił do mnie:

– A, to ty, mały 6655321, siadaj. – I do ciurmaków: – Poczekalibyście za drzwiami, nie? – Tak i zrobili. A on wtedy zagaił tak sieriozno: – Jedno co chcę, chłopcze, to żebyś nie miał wątpliwości, że ja z tym nic nie miałem wspólnego. Gdyby to coś dało, to bym nawet zaproteutował, ale nic nie da. Również i o karierę moją się rozchodzi, również i o to, że głos mój za słaby jest naprzeciw krzyku pewnych dość potężnych czynników w administracji. Czy jasno się wyrażam? – Bynajmniej się jasno nie wyrażał, o braciszku moi, ale pokiwałem, że tak. – Zamieszane są tu bardzo trudne kwestie natury etycznej – pociągnął dalej. – Mają z ciebie zrobić dobrego chłopca, 6655321, Już nigdy ci się nie zechce dokonać aktu przemocy ani też w jakikolwiek sposób zakłócić Spokoju Państwowego.

Mam nadzieję, że do ciebie to wszystko dociera. Mam nadzieję, że w umyśle swoim co do tego masz zupełną jasność.

Więc ja mu odkazałem:

– Och, jakie to będzie fajne, proszę księdza, być dobrym. – A w środku po prostu horror szoł mało się nie ześmiałem, o braciszku moi. A on dalej posuwa:

– Być dobrym to wcale nie musi być fajne, 6655321. Może to być okropne. Mówię ci to z pełną świadomością, jakkolwiek paradoksalnie to może zabrzmieć. Wiem, że będzie mnie to kosztowało wiele bezsennych nocy. Czego chce Bóg? Czy Bóg woli od ferworu dobroć z wyboru? A może człowiek wybierający zło jest w jakiś sposób lepszy od takiego, któremu narzuca się dobro? Głębokie to i trudne pytania, mój mały 6655321. Ale teraz chciałbym ci tylko jedno powiedzieć: jeśli kiedykolwiek w przyszłości obejrzyś się poza siebie na te obecne chwile i przypomnisz sobie mnie, najpodlejszego i najbardziej pokornego ze sług Bożych, błagam, nie myśl o mnie źle w głębi serca i nie myśl, że przyłożyłem ręki do tego, co się z tobą niebawem stanie. O to się modlę. A skoro już mowa o modlitwie, to uświadomiłem sobie właśnie ze smutkiem, że modlić się za ciebie nie będzie już miało większego sensu. Przechodzisz bowiem w rejony, gdzie nie dosięgnie cię potęga modlitwy, Aż mi straszno! straszno o tym pomyśleć. A jednak, w pewnym sensie, wybierając to, że pozbawiony będziesz możliwości etycznego wyboru, w pewnym sensie faktycznie wybrałeś dobro. Chciałbym w to uwierzyć. O, jakże chciałbym w to – o Boże, dopomóż nam wszystkim! – 6655321, chciałbym w to uwierzyć. – I popłakał się. Ale ja nie oczeń zważałem na to jego bu-hu-huuu, o braciszku moi, tylko się po cichu obśmiałem w środku, bo zrazu widno, że obciągnął na balszój tego łyskacza, i apiać wy dostał flachę z szafki w biurku i zaczął sobie nalewać wielkiego fest horror szoł głębszego do stakana, tak brudnego i zatłuszczonego, aż mi było przeciwnie. Chlapnął se go i powiada: – Kto wie, a może tak będzie najlepiej? Niezbadane są ścieżki Boskie. – I wziął się pisać hymn świętojebliwy takim po nastojaszczy gromkim i postawionym głosem. Na to drzwi się otworzyły i weszli ciurmaki, żeby mnie doszturgać z powrotem do mojej śmierdzącej klatki, a ten stary bogusław nic tylko dalej wyśpiewywał to swoje hymniszcze.

No i tak nazajutrz od rana przyszło mi się powiedzieć cześć cześć starej wupie i poczułem się ciut pieczalno, jak zawsze, kiedy porzucasz miejsce, do którego już byłeś przywykły. Ale nie przeprowadziłem się za daleko, braciszki. Prze kopa i szturgali mnie do nowego białego budynku tuż za podwórkiem, gdzie dawali nam te ciut gimnastyki na wybiegu. Gmach był zupełnie nowy i miał ten świeży zimny jakby klejowy zapaszek, co człowieka dreszcz od niego przechodzi. Stałem ja w tym okropnym gromadnym pustym holu i łapałem te nowiutkie wonie, i niuchałem jak trza niuch niuch przez mój oczeń wrażliwy ryj czyli też kluf. A wonie podchodziły takie więcej szpitalne i członio, któremu ciurmaki mnie przekazali, okazał się w białej lejbie, też jakby szpitalnik. Pokwitował, że mnie odebrał, a jeden z tych wrednych ciurmaków, co mnie przywiedli, jeszcze mu bałaknął: – Niech pan dobrze uważa na tego żulika. To był jadowity skurwysyńczyk jak rzadko i niech tylko się uda, znów taki będzie, to nic, że Kapelanowi włazi bez wazeliny i udaje ciekawość do Biblii. – Ale ten nowy członio miał po prawdzie nieliche gładki błękitne i w nich mówiąc taki jakby uśmiech.

I odkazał tamtemu:

– Och, nie przewidujemy żadnych kłopotów. Wszak będziemy przyjaciółmi, nieprawdaż? – I jak się uśmiechnął gładzi i jeszcze tą szeroką czerwoną gębą, pokazując w niej pełno białych kafli, tak od razu mi się jakby ponrawił. Tak czy siak zaraz przekazał mnie drugiemu i też w białej katanie, a ten również był fajny, i zaprowadzili mnie do bardzo fajnej białej czystej sypialki z firankami i z lampą przy łóżku, a kojka stała tylko jedna, i wsio dla Waszego Pokornego Sługi Niżej Podpisanego. Aż obśmiałem się horror szoł w środku i podumałem, że naisto szczęśliwy ze mnie młody malczyk

palczyk. Powiedzieli mi, ażebym zdrucił te użasne łachy i ciuchy więzienne i dali mnie oczeń przekrasną dwuczęściową piżamę, o braciszkwowie moi, gładka zieleń, no sam szczyt mody łózkowej. I dali mi też fajny ciepły podom i niepłochy tufle, żebym nie latał bosy, i podumał ja: No, Alex bojku, mały 6655321 już bywszy, ale nam się przewoschodno trafiło i wunder bar. Tu będziemy się dopiero czuli jak w niebie.

Na koniec połączyłem ja fajną czaszkę horror szoł nastojaszczej kawy i do tego niemnożko starych gazet i żurnałów, żebym je sobie przejrzał popijając, i dopiero wszedł ten pierwszy członio w białym, ten co mnie pokwitował, i skazawszy: – Aha, jesteś! – co było po duracku, ale nie wypadalo durno, bo taki był fajny. – Nazywam się – zagał – doktor Branom i jestem asystentem doktora Brodzkiego. Zrobię ci, jeśli pozwolisz, rutynowo krótkie i ogólne badanie. – I wyjął z prawego karmana steto. – Musimy upewnić się, że jesteś całkiemzdrów, nieprawdaż? No tak, musimy. – Więc położywszy się ja bez góry od piżamy, jak on się tym zatrudniał i robił mi to, tamto i owo, zapytałem:

– A właściwie, proszę pana, co mi zrobicie?

– Och – rzekł doktor Branom i w tym czasie jego zimne steto wędrowało mi w dół po całych plecach – właściwie to bardzo proste. Pokażemy ci trochę filmów i tyle.

– Filmów? – powtórzyłem. Prawie wydawało mi się, że mnie słuch myli, sami rozumiecie, braciszki. – Znaczy się – powiadam – że tak jakbym chodził do kina?

– To będą takie specjalne filmy – powiada ten doktor Branom. – Nawet bardzo specjalne. Pierwszy seans będziesz miał dzisiaj po południu. No tak – powiada i prostuje się, jak był nade mną pochylony – chyba całkiem zdrowy i sprawny z ciebie chłopiec. Może troszkę niedożywiony. To na pewno przez ten pokarm więzienny. Załóż tę górę od piżamy. Po każdym posiłku – oświadczył, siadając na brzegu łózka – dostaniesz zastrzyk w ramię. Na pewno pomoże. – Więc poczułem gromadną wdzięczność dla tego sympatycznego doktora Branoma i zapytałem:

– Witaminy, panie doktorze, nieprawdaż?

– Coś w tym rodzaju – odkazał ułybając się oczeń horror szoł i po drużeski. – Raz dziab w ramię po każdym posiłku. – I wyszedł. Ja leżałem na łózkę czując się po nastojaszczy jak w niebie i poczytywałem niektóre z żurnałów, co mi dali: *Sport na Świecie*, *Kręcimy* (to był filmowy żurnał) i *Gola*. Po czym wyciągnąłem się na tej kojce i zakluczywszy głązy podumałem sobie, jak fajnie będzie znaleźć się apiać na wolności, że w dzień Alex, już za stary do tej starej rzygoły, może się zaczepi o jakąś fajną i lekką robotę, a potem sobie zgarnie, a nuż, kto wie, taki jakby nowy gang na życie nocne, a najpierwsza robótka to będzie dostać znów starego Jołopa i Pietiu, jeśli dotąd nie zgarnęli ich polucyjniaki. Na ten raz już dam po nastojaszczy baczenie, aby nie grabnęli mnie. Oni dają mi tak jakby drugi raz szansę, kiedy jestem ubiwszy i w ogóle, no, to by nie było fer, gdybym się dał znów grabnąć, jak oni sobie zadadzą tyle fatygi pokazując mi te filmy, po których ma się zrobić ze mnie już po nastojaszczy charoszy malczyk. Aż obśmiałem się po prostu horror szoł z nich wszystkich, że taka niewinność, i mało sobie czaszki nie odrechotałem, jak przynieśli mi na tacy obiad. A ten, co go przyniósł, to członio, który przywiódł mnie do tej małej sypialki zaraz po przybyciu tu.

I powiedział:

– To miło widzieć, że ktoś czuje się taki szczęśliwy. – A gruda żarcia to była na tacy po nastojaszczy przewoschodna i wkusna z wyglądu: parę kusoczków jakby gorącego rozbefu, a do tego piure z kartoszki i jarzynki, a na dobawkę lody i fajny, gorący kubas czaju. Był dąże i smoczek do zakurzenia i pudełko, a w nim jedna spiczka. Więc jakby żyć nie umierać, o braciszkwowie. Po czym, za jakieś pół godziny, kiedy już leżałem ciut przysnąwszy na łózkę, weszła pielęgniarzka, no fajna po nastojaszczy młoda świerzopa z takimi fajnymi grudkami (jakich nie widziałem przez dwa lata) i

niosła na tacy strzykawkę. A ja na to:

– Aha, te stare witaminy, co? i mlask mlask do niej chlipadłem, ale nie zwróciła uwagi. Tylko mi władowała igłę w lewe ramię, a potem pśśśk i wcisnęła te witaminki. No i wyszła klik klik na tych nóżkach wysokich na obcasie. Po czym zjawił się flimon w białym płaszczu, jakby taka męska siostrzyczka, z fotelem na kółkach. Ten widok udziwił mnie po niemnożku i mówię do niego:

– Co jest grane, braciszku? Nawierno dam radę osobiście poszagać tam, gdzie należy. A on mi na to:

– Lepiej będzie, jak cię zawiozę. – I faktycznie, braciszki, okazałem się ciut miękki w nogach, jak zlałem z kojki. Chyba z niedożywienia, jak doktor Branom już zaznaczył, przez to szajsowate żarcie więzienne. Ale ten zastrzyk z witamin po jedzeniu apiać mnie postawi na nogi. Co do tego nie ma wątpliwości, pomyślałem.

4

To miejsce, dokąd mnie zawiózł, braciszku, nie przypominało żadnego kina, jakie dotąd widziałem. Owszem, jedną ścianę pokrywał srebrzysty ekran, a w ścianie naprzeciwko były te dziury kwadratowe do rzutnika, żeby miał skąd rzucać, i wszędzie poutykane głośniki stereo. Ale przy prawej ścianie było takie ustrojstwo, jakby konsolę pełną zegarków i strzałek, a na środku, mordą zwrócony do ekranu, fotel jakby dentystyczny i mnóstwo odchodzących od niego drutów, i przyszło mi się na niego ciut nie przeczołgać z wózka na kółkach, i jeszcze mi pomagał inny łapiduch w białym kitlu. Potem zauważyłem, że pod otworami do projekcji jest na całość jakby matowe szkło i widać za nim jakby ruszające się cienie ludzkie i słycać jakby kaszlu kaszlu. A potem już niczego nie odbierałem prócz tego. jaki jestem słabosilny, w przekonaniu, że sprawiło to przekluczenie się z więziennego żarcia na to nowe pożywe i jeszcze ten zastrzyk z witamin. – Dobrze powiada ten od kołowania na wózku to ja cię zostawiam. Pokaz się zacnie, jak tylko przybędzie tu doktor Brodzki. Mam nadzieję, że ci się spodoba. Tak po prawdzie, braciszki, to nie bardzo ciągnęło mnie w to popołudnie do kina. Nie byłem w nastroju. Wolałbym się fajnie i spoko cichutko przekimać w kojce, aby cicho sza i tak przyjebnie sam na samo gwałt adzinoko. Czuję się zupełnie oklapnąwszy.

Aż tu jeden w białej katanie przywiązuje mi łeb do takiego jakby zagłówek, pośpiewując sobie cały czas jakąś pop szajsowatą piosneczkę. – A to po co? – spytałem. A ten flimon mówi, przestawszy na chwile zapiewać, że po to, abym głowę miał unieruchomioną i musiał patrzeć na ekran. Ale ja powiadam – *chcę* patrzeć na ekran. Przywiedli mnie tu, żeby oglądał filmy, i *będę* te filmy oglądał. – Na to drugi w białym płaszczu (była ich razem trójka, jedna z nich dziuszka, siedziała normalnie przy konsolce u tych zegarków i gliglała różnymi kręciołkami) obśmiał się tak ciut niemnożko i powiada:

– To nigdy nie wiadomo. Oj, nie wiadomo. Zaufaj nam, przyjacielu. Tak będzie lepiej.

I okazało się, że mi przywiązują graby pasami do poręczy i także giczoły mam na beton umocowane do podnóżka. Widziało mi się to ciut jakby z uma szedłszy, ale dałem im wszystko robić, co chcieli. Skoro za dwa tygodnie mam znów być ten młody i swobodny malczyk, to niejedno za ten czas wytrzymam, o braciszku moi. Jedno co mi się nie ponrawiło, to jak mi założyli takie jakby klipsy na czole, skórę napinające, aż mi ciąg ciąg i podciągnęło górne powieki, że już nie mogłem zamknąć ani przyszczurzyć oczu, jak bym się nie starał. To spróbowałem się uśmieć i powiadam: – Ale to musi być po nastojaszczy horror szoł ten film, że tak wam zależy, abym go wyoglądał. – Na co

jeden z tych w białym zarechotał i odezwał się:

– Tak jest, właśnie horror szoł, przyjacielu. Jakbyś zgadł, że szoł i że horror.

Potem nałożyli mi taką jakby myckę na łeb i widziałem, że idzie od niej mnogo drutów, i do brzucha przyssali mi taką jakby ssawkę i drugą do starego cykacza, i było mi kącikiem widno, że od nich też biegną druty. Potem rozdał się hałas drzwi otwieranych i zrazu było poznać, że wchodzi jakiś oczeń gromadny ważniak, jak te wszystkie unter flimony w białym zeszywnieli. No i zobaczyłem ja tego doktora Brodzkiego. Był to malutki chujowinka, bardzo zatłuszczony, kudłki mu się kręciły jak u baranka pokręcone kudłato na całej czasce, na klufie jak ta kartoszka miał bardzo grube oczki. Dojrzałem, że odziany jest w garnitur po nastojaszczy horror szoł i absolutny szczyt mody, a wydawał z siebie oczeń subtylną i leciutką woń sali operacyjnej. Towarzyszył mu doktor Branom, cały w ułbkach, jakby chciał mnie podeprzeć na duchu. – Wszystko gotowe? – odezwał się doktor Brodzki z tym przydechem. I usłyszałem głosy wykrzykujące: ta jest! ta jest! ta jest! najpierw z odległości, a potem bliżej, no i rozległ się taki buczący szum, jakby coś powkluczano. A potem światła zgasty i został się Wasz Pokorny i Opowiadający To Wszystko Przyjaciel, sam jeden po ciemku, cały w strachu sam na sam i adzinoko, nic mogący się ani poruszyć, ani zamknąć oczu, ani w ogóle nic. A potem, o braciszku moi, zaczął się pokaz filmowy od bardzo gromkiej muzyki, lecącej z głośników, dzikiej i pełnej dysonansów. A potem na ekranie pokazał się obraz, ale bez tytułu i czołówki. Tylko ulica, mogła to być jaka bądź ulica w jakim bądź mieście, w mroku nocy i przy palących się latarniach. Film tak jakby oczeń charoszy i profesjonalny, żadnych tam chlups chlups i migania, jak w tych dajmy na to świńskich obrazkach, co widuje się u kogoś w ciemnym zaułku. Muzyka cały czas dudniąca bardzo ponuro. I pokazał się stary, bardzo stary chryk idący ulicą i nagle wyskoczyli na niego dwaj małysze odziani w to, co było jak raz szczytem mody (sztany po dawnemu obciśnięte, ale już nie ten obfity fular, tylko normalnie halsztuk) i wzięli się z nim figlować. Słysząc było każdy jego wrzask i jęk, całkiem po nastojaszczy, daże zmachany oddech i sapanie tych dających wycisk małyszów. Przerobili go sawsiem na budyń, tego chryka, przysuwając łup łup łup z piąchy, obdarłszy go do imentu z łachów i na zakończenie z buta w te gołą płyt (wałającą się czerwono i krwawo w szajsowatym blocku rynsztoka) i precz odbiegli raz dwa raz. A potem zbliżenie na baszkę tego ciężko złomotanego chryka, jucha ciekła z niej krasno i przekrasno. To komiczne, jak barwy nastojaszczego świata dopiero się widzą prawdziwe, kiedy je zobaczysz na filmie.

Przyglądałem się temu i zaczęło do mnie mocno docierać, że wcale się nie czuję za dobrze, co przypisałem niedożywieniu i temu, że mój żołąd jeszcze się nie sawsiem przestawił na pożywne jadlo i witaminy, jakie mi tu dają. Ale próbowałem o tym zapomnieć i skupić się. o braciszku moi, na puszczonej od razu kolejnym filmie. Ten wszedł prosto na młodziutką dziulkę, jak najpierw jeden malczyk robi jej nasilno to stare tam i nazad, potem drugi i trzeci i jeszcze następny, a ona w głośnikach wrzeszczy gromko i wprost użasno, a przy tym leci muzyka przejmująca taka i tragiczna. To było prawdziwe, bardzo prawdziwe, choć jak dobrze pomyśleć, to niemożliwe sobie wyobrazić, że wpychle po nastojaszczy dają sobie to robić na filmie i gdyby to nakręcał ktoś z Tych Dobrych albo Firma Państwowa, chyba nie wyobrażacie sobie, żeby im pozwolili zdejmować te filmy bez interwencji w to, co się wyrabia. Więc nawierno był to na balszój sprytny montaż albo trik czy jak się ta sztuczka nazywa. Bo aż do izbytku prawdziwe. A jak przyszło się do tego, że szósty czy siódmy już malczyk obszczerza się w rechot i dawaj pchać jej w międzynoże, a ta dziulka na ścieżce dźwiękowej krzyczy jak z uma szedłszy, to mnie zaczęło mdlić. Jakby cały obolawszy poczułem, że mogę się porzygać, albo i nie porzygać, i zrobiło mnie się niewynosimo, braciszku moi, tak sztywno uwiązany na tym krześle. Jak ten kawałek się skończył, usłyszałem od konsoly glos doktora Brodzkiego: Reakcja dwanaście i pięć dziesiątych? A to całkiem całkiem obiecujące.

I dawaj w następny kawałek, na ten raz po prostu ludzka mord, całkiem poblądłszy ludzki pysk i jak trzymają go fest i robią, z nim różne parszywe sztuczki.

Ciut spotniawszy od tego bólu w kiszkach i pić mi się chciało niewynosimo i w czasie pulsowało mi buch buch buch, i jakbym nie wyślepił się na ten film, to wierojatno by mnie tak nie mdliło. Tylko że nie mogłem zawrzeć oczu i nawet jak starałem się przewracać głazami, to i tak nie mogłem wykręcić gałek na tyle, żeby umknąć się temu filmowi spod lufy. Tak i musiałem widzieć, co się wyprawia, i słyszać tych obłąkanych wrzasków, co krugom dobywały się z tego ryja. Wiedziałem, że to się nie może dziać *naprawdę*, ale co za różnica? Do gardła mi podchodziło a rzygnąć nie mogłem, widząc, jak brzytwę mu najpierw oko wyrzyna, później chlaszcze w dół płat policzka i wreszcie pru prut po całości, a czerwona krew bryzga na obiektyw. I apiać ten zadowolony głos doktora Brodzkiego:

– Świetnie, świetnie, świetnie!

Następny filmik był o starej babuli, co miała sklepik, jak banda małychów przyszła ją skopać, pokładając się od gromkiego rechotu i te malczyki rozpirzyli jej cały sklepik i podpalają go. Widać jak ta bidna stara próchniaczka chce się wyczołgać z ognia, skrzycząc i wrzeszcząc, ale nie może się ruszyć, bo te małyse kopiąc potrzaskali jej nogę. Więc te płomienie ogarnęły ją z hukiem i widać, że jej gęba w męczarniach jakby o coś błagała przez ten ogień i wreszcie ginie w ogniu, i słysząc najstraszliwsze, udręczone i dręczące wrzaski, jaki mogło wydać głosiszczkie ludzkie. Teraz już wiedziałem, że mnie zemdli, więc uwrzasnąłem się:

– Będę rzygał. Dajcie mi się porzygać. Błagam, dajcie mi jakieś naczynie.

A ten doktor Brodzki odkrzyknął:

– To tylko wyobraźnia. Nic się nie bój. Proszę następny film. – Może to miał być żart, bo z ciemności dobiegł mnie jakby rechot. A potem kazano mi oglądać najobrzydliwszy film o japońskich torturach. Była wojna 1939/45 i przybijali żołdatów ćwiekami do drzew i fajczyli pod nimi ogniska i jajka im obrzynali, a nawet pokazano, jak żołnierzowi jednemu ścięli głowę szabłą i ta baszka toczyła się, jej usto i ślepie wyglądały jak żywe, a ciało tego żołnierza biegało i to jest fakt, bluzgając juchą z szyi jak fontanna i wreszcie upadło, a przez cały czas było słyszać oczeń oczeń huczny śmiech tych Japońców. Teraz już sawsiem użasno bolał mnie brzuch i głowa i chciało się pić, a wszystko to szło na mnie jakby z ekranu. Więc uwrzasnąłem się:

– Zatrzymać ten film! Błagam, proszę z tym skończyć! Dłużej nie poradzę. – I rozdał się na to głos Brodzkiego:

– Skończyć? Ty mówisz *skończyć*? Ależ myśmy dopiero zaczęli. – I głośno zaśmiali się on i cała reszta.

Nie chce mi się opisywać, braciszku, jakie tam jeszcze okropności kazali mi jakby przymusiwszy oglądać tego popołudnia Cale te jakby mózgliwia ich, doktora Brodzkiego i Branoma, i reszty biało ubranych, a nie zabywajcie że była jeszcze ta dziulka przy knopkach gliglająca i wpatrzona w zegarki, to były nawierno brudniejsze i gorzej zafajdane niż jakiego bądź ubijcy i przystupnika w całej wupie. Bo widziało mi się niemożliwe, aby jakieś wpychle choćby i pomyślały o kręceniu filmów z tego, co mnie przymuszali teraz oglądać, przywiązanemu do fotela i z głazami na siłę szeroko wybałuszonymi. Co mogłem, to tylko drzeć się na całego, żeby temu zrobić wykłuk! wykłuk i wykłuk! i to jakby ciut przygłuszało ten zgiełk ultra gwałtu figlów i ubawu, jak również towarzyszący im akompaniament. Możecie sobie wyobrazić, co to była za potworna ulga, jak zobaczyłem już ostatni kawałek i doktor Brodzki odezwał się tym bardzo znudzonym i ziewającym głosem: – Jak na pierwszy dzień to chyba wystarczy, Branom, a jak ty uważasz? – I znalazłem się ja przy wkluczonych światłach, z czaszką dudniącą jak wielka i gromadna maszyna do

wytwarzania bólu, pysk miałem w środku całkiem uschły i jakby szajsowaty i zdawało mnie się, że gotów jestem wyrzygać każdy kusoczek piszczy, jaki przełknąłem w życiu, o braciszku moi, od czasu jak połączyłem grudź do posmoktania. – W porządku – rzekł doktor Brodzki – można go położyć do łóżka. – I poklepał mnie normalnie po ramieniu zaznaczył: – Dobrze, dobrze. Całkiem obiecujący początek! – i obszczerzył się całą gębą, a potem się precz wykaczkał, a doktor Branom za nim, ale z taką ułybką bardzo sympatyczną i po drużeski, jakby nie miał z tym nic wspólnego i był tylko, jak ja, przymuszony.

W każdym razie oswobodzili moją płytę nieszczęsną z fotela i odpuściwszy skórę nad głazami, tak że znów mogłem je otworzyć i zamknąć, więc zamknąłem, o braciszku, z bólu tętniącego w czaszce i prawie że mnie odnieśli do starego wózka na kółkach i apiać do tej małej sypialki, a ten członio, co mnie popychał, krugom wyśpiewywał pop jakiś tam psijebny, aż warknąłem: – Przymknij się, ty! – ale on tylko się obśmiał i rzekł: – A bo co, przyjacielu? – i rozśpiewał się jeszcze głośniej. Więc położyli mnie do łóżka i wciąż czułem się chory i obolawszy ale nie śpiący, no i wkrótce zacząłem się czuć tak jakbym stosunkowo rychło mógł poczuć że już wkrótce mógłbym zacząć się czuć może odrobinę lepiej, i wtedy przynieśli mi fajną czaszkę gorącego czaju z nienajgorszą dobawką starego mleka i cukru (to znaczy sacharu) i dopiero, pochlipawszy to, przyszedłem do świadomości, że ten użas i koszmar minęły i już ich nie ma. Po czym wszedł doktor Branom, cały sympatyczny i uśmiechnięty, i zagabnął

– No, to według moich obliczeń chyba już zaczęłeś z powrotem czuć się lepiej. Czy tak?

– Słucham – odkazałem tak ciut czujno. Nie poniał ja, ku czemu on zmierza z tymi obliczeniami, że niby jak zabolawszy poczuł się łuczsze to jego własna broszka, a nie tam czyjeś obliczanie się. Przysiadł, cały sympatyczny i przyjacielski, na brzegu mojego łóżka i odezwał się:

– Doktor Brodzki jest zadowolony z ciebie. Miałeś bardzo dodatnie reakcje. Jutro czekają cię oczywiście dwa posiedzenia, rano i po południu, więc pod wieczór będziesz chyba ciut wymęczony. Ale musimy cię twardo potraktować, jak masz się wyleczyć.

To ja na to: Znaczy się. że mam znów odsiedzieć – że muszę się patrzeć na – och – nie! panie doktorze – wystękałem – to było zbyt okropne.

– Wiadomo, że okropne – uśmiechnął się doktor Branom. – Gwałt i przemoc to jest okropna rzecz. Tego się właśnie uczysz. Twój organizm się tego uczy.

– Ale – powiedziałem – ja nie rozumiem. Dlaczego mnie tak zemdliło. Nie rozumiem. Dotąd nigdy mnie od tego nie mdliło. Raczej na odwrót. Znaczy się jak robiłem to, albo się przyglądałem, to zawsze było mi po prostu horror szoł. Więc nie rozumiem, dlaczego i jak to – i co takiego -

– Życie to jest coś nadzwyczajnego – odkazał mi doktor Branom, takim bardzo górnym świętojebliwym głosem. – Zjawiska życia, konstrukcja organizmu ludzkiego... któż potrafi do końca zrozumieć te cuda? Doktor Brodzki, o, to wspaniały człowiek. Z tobą dzieje się obecnie to, co się powinno dziać z każdym normalnie zdrowym organizmem ludzkim w obliczu tego, co wyprawia potęgą zła i jak przejawia się zasada niszczycielskiej destrukcji. Robimy z tobą tak, abyś stał się zdrowy i normalny.

– Nie życzę sobie odkazałem – i niczewo nie panimaju. Robicie ze mną tak, abym się poczuł niedobrze, płochy i bardzo bardzo chory, tak mi robicie,

– A teraz czujesz się chory? – zapytał, ciągle z tą po drużeski ułybką na mordzie. – Pijesz herbatę, odpoczywasz, gawędzisz sobie z przyjacielem: na pewno czujesz się po prostu znakomicie, czy nie tak?

Więc jakby wsłuchałem się ja w samego siebie i poszperałem sobie w głowie i w ciele, tak ostrożne, ale co prawda to prawda, braciszku, że czułem się całkiem horror szoł i nawet już

nabrałem chęci na żarcie. – Nie rozumiem tego – powiedziałem. – Chyba mi zadajecie coś takiego, abym się poczuł niedobrze. – I aż się zmarszczyłem na czole zadumawszy.

– Czułeś się tak niedobrze – wyłożył mi – dzisiaj po południu dlatego, że już ci się polepsza. Kiedy jesteśmy zdrowi, to w obliczu zjawisk odrażających trwoga nas ogarnia i mdłości. Po prostu wracasz do zdrowia. Jutro będziesz o tej porze jeszcze zdrowszy. – Poklepał mnie po nodze i wyszedł, a ja próbowałem się w tym, jak mogłem, połapać. Widziało mi się, że te kable i różne tam barachło, przyczepione do mego ciała, może to właśnie od nich czułem się tak niedobrze i że wszystko to jest po nastojaszczy kant i zwyczajna sztuczka. Jeszcze główkowałem nad tym i zastanawiałem się, czy jutro nie odkazać się od przywiązywania w fotelu i może dać się ze wszystkimi po nastojaszczy w łomot, bo należą mi się te prawa, kiedy zjawił się znów inny członio. Taki ułybawszy się stary flimon, który zaznaczył, że (jak on to nazwał) jest Oficerem Zwolnieniowym, a miał przy sobie papierków i bumażek i jeszcze papierków. I tak mnie zagabnął:

– Dokąd udasz się po zwolnieniu?

Po prawdzie ja się nad czymś takim jeszcze nie zastanawiałem i dopiero teraz mi zaświtało, że już rychło będzie ze mnie fajny malczyk, swobodny, i tagda poniał ja, że tylko wtedy, jak będę zagrywał po ichniemu i nie puszcę się w żadne szarpanie i zrażanie się, krzyk, niezgadanie się i tym podobnie. Więc mu normalnie odbałaknąłem:

– Och, wrócę do domu. Do moich ef i em.

– Do twoich – ? – Widno sawsiem nie kapował po nastolacku. więc wytłumaczyłem się:

– Do starzyków moich w kochanym bloku.

– Aha – powiedział. – A kiedy twoi rodzice cię ostatni raz odwiedzili?

– Będzie z miesiąc – powiedziałem – około. Dni odwiedzin były na trochę zawieszane, bo jakiś zek przesznułował do więźnia przez druty niemnożko prochu, no, wzrywającego się, od swojej dziobki. To było kurewskie zagranie do niewinnych, żeby też ich ukarać. Więc prawie miesiąc nie miałem widzenia.

– Aha – margnął ten członio. – A czy twoi rodzice wiedzą, że jesteś przeniesiony i niedługo masz być zwolniony? – Ależ to krasiwio zabrzmiało! to słowo *zwolniony*.

– Nie – odkazałem. I dobawiłem: – To będzie dla nich miła niespodzianka, no nie? Jak sobie normalnie wejść drzwiami i powiem: No proszę, wróciłem, znów jako człowiek wolny! Taak, to będzie po nastojaszczy horror szoł.

– No dobrze – odkazał ten Zwolnieniowy – to na razie wystarczy. Jeżeli masz gdzie mieszkać. A teraz kwestia zatrudnienia, co? – I pokazał mi długi długi spis, gdzie mógłbym się nająć i pracować, ale pomyślałem, że z tym się nie śpieszy. Najpierw jakiś nieduży urlop I jak tylko wyjdę, coś ukrąść i zaopatrzyć te stare karmany w kasabubu, ale teraz już ostrożniutko i cała robota sam na samo gwałt i adzinoko. Nie będę więcej polegał na tak zwanych kumplach. Więc powiedziałem flimonowi, aby trochę odczekał i że później o tym porozmawiamy. Więc on że recht recht rccht i wziął się ku wyjściu. Ale tu pokazał się wdrug oczeń po cudacku, bo i co zrobił? a pochichrał się i powiada: – Nie chciałbyś mi na odchodnym dołożyć w ryja? – Mnie wydało się niemożliwe, abym dobrze usłyszał, i wydałem taki głos:

– Ee?

– Nie chciałbyś mi – znów zachichrał – na odchodnym dołożyć w ryja? – Na to ja zmarszczyłem się, no w ogóle, ani chu chu nie poniawszy, i powiadam:

– Dlaczego?

– No odpowiedział tylko aby się przekonać, czy robisz postępy. – I dosunął tę swoją mordę bliżniutko, obszczerzywszy się tłusto na całe usta. Więc ja grabsko w piąch i łomot w ten ryj, ale on

się tak bystro uchylił, ciągle obszczerzający się, że łupnąłem grabą w sam wozduch. Okrutnie to było dziwne, nie do pojęcia, aż łeb mi się umarszczył, jak on przy wyjściu mało sobie głowy nie odrechotał. I natychmiast po tym, o braciszkowie, apiać zrobiło mi się tak niedobrze, całkiem jak po południu, i skręcało mnie przez kilka minut. Po czym zaraz przeszło i jak mi przynieśli kolację, to poczułem niezły apetyt i nic tylko bym chrupał chrum chrum tego piezzonego kurczaka. Ale dziwne było, że ten stary flimon tak się u mnie dopraszał w mordę. I także samo dziwne, że poczułem się tak niedobrze.

A co jeszcze dziwniejsze, to kiedy poszedłem spać, o braciszkowie moi. Przyśnił mi się taki drzym, po prostu koszmar, i domyślacie się, że był to jeden z tych filmowych kawałków, co je oglądałem po południu. Bo drzym czyli koszmar senny to właściwie nie co innego, tylko jakby film pod własną czaszką, z wyjątkiem, że jakbyście w niego sami wszedłszy stali się jego częścią. I to właśnie było ze mną. Wziął się ten koszmar z takiego kawałka sfilmowanego, co mi go pokazali już pod koniec jakby wieczornego seansu, cały o malczykach z rechetem wykonujących ultra gwałt i ryps wyps na takiej młodej dziuszce, krzyczącej we krwi, w swojej własnej czerwonej czerwonej krwi ciuch mając razrez do imentu i oczeń horror szoł. Ja też się dawałem w ten ubaw, cały w rechet i jakby wożaty w gangu, a odziany w sam wierch mody nastolowatej. A potem, jak ta borba i zadyma i łomot były u szczytu, ja wniezapno poczuł się jakby mnie sparaliżowało i nic tylko rzygnąć na całość, i wsie malczyki obśmiały się ze mnie gromko na balszoy raz i prze i rozgromko. Po czym jakby rwać się musiałem abratno do zbudzenia i to przez moją krew, przez juchę własną, całe stakany i dzbany i całe kubły tej krwi, aż tu znalazłem się w łóżku w tej sypialce. Chciało mnie się zwymiotować, wylazłem z kojki cały roztrzęsiony, aby przejść korytarzem do starego klo. A tu, proszę was, braciszkowie, drzwi zakluczone! I obróciwszy się dopiero zauważyłem kraty w oknach. I tak, sięgnąwszy po ten jakby urynał w małej szafce przy wyrku, poniał ja, że nie ma już dla mnie ucieczki. Co gorsza, bałem się powrócić do mojej własnej uśpionej czaszki. Niezadługo pokazało się, że po prawdzie wcale nie chce mi się haftować, ale już bałem się łóżka i snu. Jednak po chwili jak padłem ba bach w kimono, tak już więcej nic mi się nie przyśniło.

6

– Dosyc, dosyc, dosyc! – wyłem i wciąż wyłem. – Zatrzymajcie to, wy dziobane skurwle, bo nie wytrzymam! – Tak było następnego dnia, bracia, i naprawdę wysilałem się rano i wieczór, ażeby zagrywać po ichniemu i siedzieć jak po nastojaszczy horror szoł ułybajuszczy się malczyk do współpracy na tym krześle tortur, jak oni wyświelłali wciąż na ekranie te wredne kawałki ultra gwałtu, ślepie wybałuszone mając i tak spięte w powiekach abym wszystko widział, a ciało i graby i nogi przymocowane do fotela, żebym nie uciekł. Co kazali mi siejczas oglądać, nie było znów takie, żeby dawniej pokazało się użasne, nic takiego, trzech albo czterech bojków normalnie robi w sklepie zachwat i zgarnia do karmanów kasabubu. a na boczku trochę bawią się ze starą, co ma ten sklep, i ta drewniaczka wrzeszczy, jak bierze łomot i ciut jej upuszczają żeby pociekł ten czerwony czerwony sok. Tymczasem u mnie du du du i jakby łupanie w głowie i mdłość, do rzygania, i ta niewynosimo drapiąca suchość w pysku, żeby się napić, wszystko dużo gorsze jak wczoraj. Ooooch, mam dosyc! – krzyczałem. – To nie fer, wybladki żeż wy śmierdzące – i pytałem się ja wylamać z krzesła i było niemożebne, jakby mnie trzymało w nim przyklejaszczy.

– Pierwszorzędnie! – darł się doktor Brodzki. – Świetnie ci to idzie. Jeszcze jeden i koniec.

I apiać ta stara wojna 1939/45 i film cały w purchle i spęk i podrapany, widać, że skręcony przez Niemców. Zaczęło się od germańskich orłów i od flagi tych Nazi jakby z krzyżem połamanym, co normalnie chłopaki w szkole tak lubią rysować, po czym oficerowie, byki pyszne i w mordzie nadęte szli po ulicach, nic tylko pył i dziury od bomb i rozwalone budynki. Dalej pokazało się, jak ludzi strzelają bach bach i bach pod ścianami, a oficerowie przykaz przykaz i te porażające nagie truposze po rynsztokach, nic tylko jakby klatki z gołych żeber i nogi jak białe patyki. Wlekli też cały tłum i mnóstwo wrzeszczących, ale żadnego dźwięku, braciszku, tylko na podkładzie muzycznym, i jak wlekli to fest nieprzerywno im dawali łomot. Aż nagle połapałem się, co to za muzyka podłożona trzaska i grzmoci po tej ścieżce dźwiękowej i był to Ludwik Van z finału Piątej Symfonii. Dopiero uwrzasnął się ja z uma szedłszy: – Stać! – ryknąłem. – Dość, wy zafajdane hadkie i odrażające wy skurwysyńce, dość! To śmiertelny grzech, to zbrodnia, co wy robicie! – Tak od razu nie zatrzymali, bo zostało jeszcze parę minut – jak ludzie złomotani oblewają się krwią – znów ich pod mur i rozstrzał – później stara flaga tych Nazi no i KONIEC. Ale jak światła się zapaliły, to stali przede mną Brodzki i doktor Branom też i doktor Brodzki się mnie zapytał;

– O co chodzi z tym grzechem?

– Że tak – odrzekłem, aż mnie skręcało. – Że tak używacie Ludwika Van. On nikogo nie skrzywdził. Pisał ten Beethoven muzykę i nic więcej. – Tu po nastojaszczy zemdlilo mnie i raz dwa musieli przynieść taką miskę jak nerka.

– Muzyka – przemówił doktor Brodzki, jakby się zadumawszy. – Więc do ciebie muzyka przemawia. Ja się na niej wcale nie rozumiem. Wszystko, co wiem o niej, to że dobrze wzmaga emocje. No no. A co ty o tym sądzisz, Branom?

– Nie ma na to rady – rzekł doktor Branom. – Każdy to zabija, co ukochał, jak mówi poeta uwięziony. Może tu pojawia się element kary. Naczelnik powinien się ucieszyć.

– Pić – jęknąłem – o God Gospod.

– Odwiązać go – rozkazał doktor Brodzki. – Dajcie mu karafkę wody z lodu. – Więc pomagierzy wzięli się do roboty i za chwilę łykałem już kubły i kubły tej wachy, czując się jak w niebie, o braciszku. A doktor Brodzki powiedział:

– Wyglądasz mi na dość inteligentnego młodzieńca. Zdaje się, że nie jesteś pozbawiony gustu. Tylko chory na tę przemoc i gwałt, co? Gwałt i grabież, a grabież jest aspektem gwałtu. – Ani słowa, braciszku, nie odkazałem i wciąż niedobrze się czułem, choć już mały kusoczek łuczsz. Ale był to straszliwy dzień. – No więc – odezwał się doktor Brodzki – jak myślisz, co się dzieje? Powiedz mi, jak sądzisz, co my z tobą robimy?

– Żeby mi się czuło niedobrze. Jest mi niedobrze, kiedy patrzę na te wasze brudne filmy, one są dla zboczeńców. Ale po prawdzie chyba nie od filmów tak mi się robi. Ale wyczuwam, że nie będę tego czuł, jak mi przestaniecie pokazywać te filmy.

– Słusznie – rzekł doktor Brodzki. – Skojarzenie. Najstarsza metoda wychowawcza świata. A naprawdę co powoduje, że czujesz się tak niedobrze?

– Że mnie rwie? – odparłem. – Ta szajsowata chujnia, to barachło w mojej baszce i płyci, ot co jest.

– Osobliwa – rzekł doktor Brodzki jakby ułybając się – ta mowa plemienna. Wiesz coś o jej pochodzeniu, Branom?

– Szczątki rymującego się slangu – objaśnił doktor Branom, już nie wyglądający tak po druzeski. – Coś niecoś z blatu przestępczego. Ale po większej części rdzenie lub zapożyczenia rosyjskie. Propaganda. Infiltracja subliminalna.

– Dobrze, dobrze, dobrze – uciał Brodzki, jakby niecierpliwy i już nie ciekaw reszty. – Otóż –

zagaił apiać do mnie – to nie po kablach. Nie ma nic wspólnego z tym, co się do ciebie podłącza. To tylko do mierzenia reakcji. Co w takim razie?

I tagda poniał ja, oczywiście, co za idiocki durak ze mnie, dopiero teraz uświadomić sobie, że od tych zastrzyków co dziab w grabę. – Aaa – wrzasnąłem – noo, teraz to jasne. Ale szajsowata brudna kurewska sztuczka. Wsio taki zdradziecki podstęp i tyle, wy skurwle. Więcej mi tego nie zrobicie.

– Cieszę się, że teraz właśnie zgłosiłeś swe zastrzerzenia – odkazał mi doktor Brodzki. – Więc żeby nie było niejasności. Ten specyfik Ludovycka możemy ci wprowadzać w dowolny sposób. Na przykład doustnie. Ale zastrzyk podskórny się najlepiej sprawdza. Proszę, abyś nie próbował z nim walczyć. To nic nie da. I tak sobie z nami nie poradzisz.

– Wy brudne wybladki – rzekłem, ciut mało nie mizglący. – A poterm dodawszy: – Nie mam zgryzu o ultra gwałt i cały ten szajs. Niech już będzie. Ale z muzyką to nie fer. Żeby mi szło na wymiot, jak słyszę takie cudo cudo jak Ludwik Van i G. F. Handel czy inni. Wsio taki wy jesteście szmucyk złe i wredne skurwle i ja nigdy wam tego nie przebaczę, oż wy w mordę dziobate.

Obaj się jakby na oko zadumali. Po czym doktor Brodzki powiedział: – Ściśle rozgraniczyć to zawsze trudno. Świat jest nierozłącznie jeden i życie też jedno. Najśłodsze i najbardziej rozkoszne czynności też zawierają w sobie pewną dozę gwałtu – choćby akt miłosny – choćby i muzyka. Musisz ponieść to ryzyko, chłopcze. Ty sam dokonałeś wyboru.

Nie wszystko poniał ja z tego bałachu, więc odkazałem: – Już nie trzeba tego dalej ciągnąć, panie doktorze. – Chytrze, jak to ja, zacząłem ciut niemnożko z innego tonu. – Udowodniliście mi, że całe to zrażanie się i ultra gwałt, i łomot, i ubijstwo pokazuje się złe złe i gorzej jak złe. Dostałem od panów lekcje. Teraz już widzę, czego dotąd nie byłem świadom. Chwała Bogu, że udało się mnie wyleczyć. – I podniosłem tak świętojebliwie patrzałki na sufit. Ale obaj weteryniarze tylko potrząchnęli baszkami tak jakby ze smutkiem i doktor Brodzki powiedział:

– Nie jesteś jeszcze wyleczony. Dużo pozostało do zrobienia. Dopiero kiedy twój organizm będzie należycie i gwałtownie reagować na gwałt, jak na węża jadowitego, bez naszej pomocy i bez środków leczniczych, dopiero wtedy -

Aja na to: – Kiedy, panie doktorze, ja – proszę państwa – *widzę* że to jest niesłuszne. Bo to jest przeciw społeczeństwu i niesłuszne, bo każde wpychle na ziemi ma prawo do życia i do szczęścia i bez tego żeby mu dawać łomot i uch buch i nożem go. Wiele się doprawdy nauczyłem, och, bardzo wiele. – Na co doktor Brodzki wziął i obśmiał się długo i hucznie, pokazawszy w rozbłysk wsie swoje białe kafle, i rzekł:

– Oto herezja tych czasów rozumu – albo coś podobnego. – Widzę i zgadzam się, co słuszne, ale robię to, co niesłuszne. O nie, nie, mój chłopcze, będziesz musiał *nam* to pozostawić. Ale pociesz się. Niedługo będzie po wszystkim. Już za niecałe dwa tygodnie będziesz człowiekiem wolnym.

I poklepał mnie w pleczo.

Niecałe dwa tygodnie. O braciszku i przyjaciele moi, to jakby wiek cały. Jak gdyby od początku świata do końca świata. Z tym porównawszy niczym byłoby odsiedzieć całe czternaście lat w Państwowej Wupie. Dzień w dzień to samo. Ale jak czwartego dnia po tym bałachu z doktorami Brodzkim i Branomem zjawiła się fika z igłą, skazałem ja: – Nie! co to, to nie! – i raz ją po łapie, że strzykawka poleciała dźwięk brzdęk na podłogę. Aby luknąć i przekonać się, co robią. No i zrobili: w try miga wezwali czterech czy pięciu takich po nastojaszczy wielkich unter łamignatów na biało i ci mnie fest przydzierzali na wyrku, ładując mi przy tym łup i stuk z mordami obszczerzonymi na balszój tuż przy mojej, po czym ta fifa pielęgniarzka rzekła: – Ty zły niegrzeczny diable, ty pętaku, ty! – i drugą strzykawką dziab i psiuk mnie w łapsko, ale tak wrednie, że naprawdę poczułem jak mnie

dziargnęła. I złachanego znów powieźli mnie, jak zwykle, w ten dziob jego mać kinoteatr cholerny.

Codziennie, o braciszkanie, szły filmy jakby takie same, nic tylko stuk łomot z piąchy z buta i ta czerwo czerwona jucha lejąca się z ryja z płycki z bebechu i bryzg bryzg w obiektyw. Przeważnie malczyki obszczerzone w uśmiech i w rehot, ubrane w co najmodniejszy ciuch po seksolacku, albo roześmiał się Japonce hi hi hi przy torturach, albo ci Nazi okrutne kopacze i rozwalacze. I każdego dnia to uczucie jakbyś zaraz miał zdechnąć tak rwie na wymiot i łeb i zęby rozbolawszy i chce się pić użas! użas! i coraz gorzej. Aż jednego ranka spróbowałem tych skurwli zażyć łup łup łupawszy łbem o ścianę, żebym stracił przytomność, ale co działałem, to że dotarło do mnie że i to jest gwałt jakby identiko z gwałtem na filmach i tyle, że się uszarpawszy dostałem zastrzyk i normalnie odwieźli mnie tam jak zawsze.

Aż jednego ranka zbudziwszy się i głotnąwszy na zawtrak jajka i tosta z dżemem i oczną gorący czaj z mlekiem podumałem ja: Chyba to już niedługo. Już nawierno idzie do końca. Wycierpiał ja do szczytu i dużo więcej się nie da. I czekał i czekał ja, bracia, kiedy przyjdzie ta fifa ze strzykawką, a ona nie przyszła. Włazł nareszcie jakiś pomagier w białym i powiada:

– To dzisiaj, przyjacielu, damy ci się przespacerować.

– Spacerować? – pytam. – A dokąd?

– W to samo miejsce odbałaknął. – Tak, tak, nie patrz taki zdziwiony. Przejdziesz się do kina, ze mną, rzecz jasna. Już nie będą cię taszczyć na wózku.

– Ale – mówię – gdzie ten kurwa mój zastrzyk poranny? – Bo naisto byłem porażony, braciszkanie, niby tak im zależało, mówili, aby strzykać we mnie ten szajs Ludovycka i co. – Już nie ładujecie mi w bolesną grabę tego szajsu rzygotliwego?

– Koniec z tym – odkazał mi jakby ułbając się. – Na amen i raz na zawsze. Odtąd już sobie radzisz sam, bojku. Idziesz i w ogóle, aż do izby tortur na horror. Ale będziesz nadal przypięty i zmuszony do przyglądania się. No jazda, tygrysku. – Więc musiałem założyć podom i tufle i przejść korytarzem w kinoteatr.

Ale na ten raz, o braciszkanie, czuł się ja nie tylko strasznie, bo i zdumiony. Apiać ten stary ultra gwałt i kuku, te wpychle co się im rozłupuje baszki, te psiochy rozdierane w tam i nazad ociekające krwią i z wrzaskiem o litość, te jakby osobiste figle na złość i razdraż. A później te łagry i Żydzi, i te szare jakby inostranne ulice pełne czołgów i mundurów i jak zmiatają trrach ra rach ogniem z wintówek i tłum ludzi wali się, jak gdyby zbiorowa odmiana tego samego. Ale na ten raz nie miałem na kogo zdruć, że mi tak robi, abym się czuł na wymiot i pić i cały w bólach, tylko że kazali mi patrzeć, bo jak zwykle, powieki miałem podciągnięte a giry i wszystko przymocowane do fotela, ale tych drutów i kabli, co mi przedtem od baszki szły i od całej płycki, to już nie było. Co w takiej raz może mi to sprawiać, jak nie filmy, które oglądam? Tylko że natyrlík, o bracia moi, ten szajs Ludovycka był jak taka szczepionka i teraz już miałem go we krwi, tak że raz na zawsze i nawsięda będzie mi niedobrze, jak zobaczę byle co w ultra gwałt i kuku. Aż usto mi się zrobiło w prostokąt i bu hu huuu, no i łzy mi ciut zamazały to, co musiałem widzieć, niby takie błogosławione ciur ciur i srebrzyste kropelki rosy. Ale te skurwle wybladki w białych lejbach od razu do mnie z tasztukami i obierać te łzy, przygadując: – Niu niu, no cio tak płaku płaku! – I znów miałem to wszystko wyraźnie przed oczyma, tych Szkopów, jak szturgają zapłakanych i błagających o litość Żydów – czy to muzyk, czy psiocha, małysze, dziulki czy rybionków – zaganiając do takich komór, gdzie wszyscy oni wykitują od gazu trującego. Znów przyszło mi się bu-hu-huuu i ci doskoczyli raz dwa obierać mi te łzy, żebym nie przepuścił ani jednej sztuczki z tego, co mi tu pokazują. Straszny to był dzień i użasny, o braciszkanie i jedyni družkowie moi.

Leżałem tej nocy sam na wyrku, zjadłszy na kolację tłusty i gęsty barani gulasz i paja

owocowego i lody, i dostałem takiej przydumki: Kur kur kur kurwa, może miałbym jeszcze ostatnią szansę, gdybym się stąd zaraz wydostał? Ale nie miałem bronii. Brzytwy mi nie pozwolono, co drugi dzień golił mnie tłusty łysoń jeszcze do śniadania i w łóżku, a dwa łamignaty w białych płaszczach stały i uważały, czy jestem grzeczny malczyk i nie gwałtowny. Pazury na grabach mi obcięli i tak spiłowali króciutko, żebym nawet nie mógł zadrapać. Ale i tak pozostałem bystry w ataku, chociaż osłabili mnie, bracia, i był ze mnie najwyżej cień tego co za dawnych czasów, na wolności. To powstał ja z wyrka i do drzwi, no i wziąłem się łomotać w nie fest horror szoł piąchą po nastojaszczy i wykrzykiwać: – Na pomoc, och, na pomoc. Och, tak mi niedobrze, umieram. Doktora doktora, prędko. Błagam, doktora, bo umrę. Na pomoc. – Zdarłem se gardło na sucho i chrypło, zanim się ktoś pokazał. Wreszcie usłyszałem kroki na korytarzu i jakby mamrotanie i rozpoznałem głos tego w białym kitlu, co mi przynosił zarcie i niby doprowadzał mnie na te codzienne męczarnie, I on wyburczał:

– Co jest? O co się rozchodzi? Co tam w środku znów kombinujesz za łajdactwo?

– Och, umieram – jęknąłem. Och, boli mnie tak niewynosimo w boku. Chyba to zapalenie wyrostka. Oooooch.

– Zapalenie wypicrdka – burknął ten flimon i ku mojej radości, o braciszku, usłyszałem brzęk brzęk jego kluczy. – Jeżeli coś kombinujesz, chłopczyko, to ja z kolegami zapewnimy ci nieustanny kop i łomot przez całą noc. – Po czym odkłuk odkłuk i powiało słodko zapowiedzią mojej wolności. Już widziałem go, przyciśniwszy się za drzwiami, gdy pchnął je na roścież i zaskoczony rozglądając się za mną w świetle z korytarza. I zamachnął się ja z obu piach, aby mu fest przyłożyć w kark i w ten moment, przysięgam, jakby z góry widząc go jak się wali siekający i aut aut aut i poczuwszy jak ta radocha mi buch i do góry w kiszki, to właśnie w ten moment rzuciła mi się mdłość do gardła, jakby fala buchnęła i taki strach poczułem okropny, że jakbym za chwilę zdechł. Ledwie się dokarabkałem potykając do łóżka z tym argh argh argh i ten członio, w podomie już a nie w białym kitlu, poniał odliczno, co ja wymyśliłem, bo tak do mnie bałaknął:

– To znów lekcja, no nie? Człowiek, można powiedzieć, uczy się całe życie. No chodź, koleżko, wyleż z tego wyrka i przyłóż mi. Taak, naprawdę chcę, żebyś to zrobił. Daj mi w mordę, ale tak fest i na całość. Tylko marzę o tym, jak Boga Kocham. – A ja wszystko co mogłem zrobić, to leżeć i szlochać bu hu huuu. – Ty bydlaku – obszczerzył się jadowicie. – Ty gnojku. – I przypodniósł mnie za przód piżamy pod szyją, całkiem oklapłego i leżącego się, i zamachnąwszy się prawą dogitarzył mi z piąchy, aż uchnęło, w sam środek ryła. – To – powiedział – za wyciągnięcie mnie z łóżka, ty pętaku ze śmietnika wyjęty. – I otrzepawszy sobie łapy szt szt jedna o drugą wyszedł. Chrup chrup zrobił klucz w zamku.

A ja przed czym o braciszku uciekać raz dwa musiałem w sen, to przed koszmarnym a niesłusznym poczuciem, że lepiej wziąć po mordzie niż dać. Gdyby ten muzyk dłużej został, to kto wie! a nuż bym nadstawił drugi policzek.

Nie dowierzałem, bracia, jak mi powiedzieli. Wydawało się, że jestem prawie od zawsze w tym zafajdanym lochu i że prawie zawsze już tam będę. A to były wsio taki dwa tygodnie i właśnie mi powiedzieli, że ciut nie tyle minęło.

– Jutro – skazali mi wdrug nieożydno – wychodzisz stąd, malutki nasz družku, aut aut aut i raus. – I zrobili ten stary kciuk, jakby pokazując na wolność. A później ten flimon w białym, co mi przydziarmażył i krugom nosił mi tace z piszczą i jakby doprowadzał na te codzienne męki, wziął dorzucił: – Ale czeka cię jeszcze jeden dzień, naprawdę wspaniały. To dzień twego zwolnienia – i obszczerzył się jechidno w gromkim uśmiechu.

Spodziewałem się, że tego ranka znów pójdę, jak to zwykle, do kina w piżamie i tuflach i w podomie na wierzchu. A gdzie tam. Tego ranka mi oddali starą koszulę i bieliznę i wszystek ciuch z tamtej nocy, rajtki z odlewką i pidżak, i mój but w sam raz horror szoł do kopania, a wszystko świeżutkie i ślicznie uprane, odprasowane, wyczyszczone. Połuczyłem daże moją brzytwę ulubioną do grdyk, co jej używałem w dawnych, szczęśliwych czasach do figłów i do zrażania się. Ażem się na to umarszczył ze zdziwienia, ubierając się, ale ten pomagier w białym tylko się jakby obszczerzył i nic nie odezwał, o braciszku. Doprowadził mnie nawet grzecznie w to samo miejsce, ale tam się nużo zmieniło. Przed ekranem powiesili zasłony i nie było matowego szkła naprzeciwno pod otworami do projekcji, nie wiem, czyje do góry podsunęli, czy na bok jak żaluzje albo firanki. A tam skąd rozdawało się kaszlu kaszlu i jakby ruszały się cienie ludzkie, teraz pokazała się w głąb widownia z krzesłami, gdzie ujrzałem nawet znajome lica. Był sam Naczelnik Wupy i ten świętojebliwy kapłan (co go nazywali bogusław) i Najgłówniejszy Ciurmak i ten ważniak elegant, onże Minister Spraw Wewnętrznych czy Niewdzięcznych. Reszty nie znałem. Byli też doktor Brodzki i doktor Branom, ale nie w białych fartuchach, tylko w garnitur oderżnięci tak szczytowo, jak to się odziewają doktorzy tak ważni, że by chcieli ubrać się w sam wierch mody. Doktor Branom stał sobie i tyle, a doktor Brodzki też stojąc wygłaszał do zebranych taki dokład jakby belferski. Na mój widok powiedział: – Aha. Teraz pokażemy już państwu sam obiekt. Jest on, jak widać, pełnosprawny i nieźle odżywiony. Przybył tu wprost po przespanej nocy i dobrym śniadaniu, nie będący pod wpływem żadnych środków farmakologicznych ani hipnozy. Jutro wypuścimy go bez obawy z powrotem na świat, chłopca tak wzorowego, jak tylko życzylibyście sobie spotkać w majowy poranek, życzliwego i skłonnego do uczynności. Jakaż to zmiana, proszę państwa, w porównaniu z tym niebezpiecznym łotrzykiem, którego władze jakieś dwa lata temu skazały na bezowocną karę i który po dwóch latach się wcale nie zmienił. Co ja mówię: nie zmienił się? Ależ tak. Więzienie mu wpoilo ten fałszywy uśmiezek, obłudne zacieranie rączek, chytry i usłużny grymas lizusa. Wpoilo mu inne jeszcze nałogi, których nie miał, i pogłębiło już dawniej praktykowane. Ale dość tych słów, proszę państwa. Głośniej przemawia język faktów. Pokażemy więc fakty. Proszę się uważnie przyglądać.

Ciut odurzony tym całym gadaniem próbowałem sobie ułożyć w mózgu, że wszystko to niby o mnie. Potem światła zgasły i z otworów projekcyjnych zaświeciły jakby dwa punktowce, jeden z nich wprost na Cierpiącego i Pokornego Autora Tych Słów. W drugi krąg światła wstąpił duży gromadny bych, którego w życiu nie widziałem. Ryja miał jakby z sadła i wąsisko, i takie pasemka włosów przylepione do prawie łysej baszki. Lat może trzydzieści, może czterdzieści a może pięćdziesiąt, no, staruch i tyle. Podlaźł do mnie i światło razem z nim, tak że po chwili oba światła zlały się w jedną kałużę. I zagabnął mnie tak oczeń jechidno: – Ej, ty, śmierdęga! Fu, ale od ciebie jedzie. Ty się nigdy nie myjesz? – I jakby zatańczywszy nadepnął mi na lewą, na prawą nogę i prztyka w kluf paznokciami, aż mnie zabolalo jak diabli i łzy mi pociekły, a potem za lewe ucho i zakręcił, jakby gałką na radiu. Posłyszałem chichot i jak z widzów paru tak horror szoł po nastojaszczy obśmiało się ho ho ho. Mnie kluf i obie stopy i ucho rozbolały jak z uma szedłszy i tak odezwałem się:

– Za co mi to robisz? W życiu nie zrobiłem ci nie złego, braciszku.

Ten drewniak powiada:

– A tak – masz tu jeszcze! – i prztyk prztyk mnie w nocha – i tak! – znów zakręcił o mało nie naderwawszy za bolące ucho – a tego nie lubisz? – i apiać mi buciorem dup! w prawą stopę. – Bo ja czniam na takich, ty chamski łbie z robakami. A jak ci się nie podoba, to zacznij, no, tylko zaszuraj. – Tagda poniał ja, że muszę w try miga wysmyknąć brzytew, zanim ta koszmarna mdłość na ubijstwo buchnie i przemieni uciechę walki w poczucie, że zdechnę. Nestety, o braciszku, ledwie moja graba sięgnęła do wewnętrznej kieszeni po brzytew, jak oczyma duszy ujrzałem, jak ten grzdyl, co mnie oskorbił, wyje o litość i czerwo czerwona jucha cieknie mu z ryja, i z mety za tym obrazkiem już natyrlik dawaj ta mdłość i suchość

i boleści, aby przechwycić, i zobaczyłem, że muszę rychło co rychlej zmienić to, co czuję do tego dziobanego mudaka, więc pomacawszy się w karmanach, czy nie mam rakotworów albo monalیزی i nic, o braciszku, nie znalazłem. Więc mówię cały już mizglący i płaksiwie:

– Dałbym ci papierosa, bracie, ale obawiam się że nie mam. – A ten dalej posuwa:

– Uaa uaa. Bu hu huuu. To się popłacz, ty mały skurwiołku. – I znów tym zrogowaciałym grubym pazurem prztyk prztyk i prztyk w mój obolawszy kluf: i wzerwał się oczeń gromki śmiech jak gdyby radości z tych ciemnych miejsc. A ja ciągnę, już całkiem w rozpacz, aby się wystawić jak najprzyjebniej temu flimonowi, co się przydziera do mnie i dosadza i krzywdzi, byle powstrzymać te już idące bóle i mdłości:

– Proszę, daj mi, żebym coś dla ciebie zrobił. – I ciągle macawszy się po karmanach znalazłem jedynie tę moją kosę do grdyk, więc dobytek ją i wręczam temu dziarmadze i mówię do niego: Proszę to wziąć, błagam. Taki mały prezencik. Proszę to wziąć. – A ten mi z gruba odkazał.

– Wetknij se te zafajdane kubany. Nie zażyjesz mnie. – I łup mnie po łapsku i brzytew upadła na podłogę.

Więc ja znowu: – Coś muszę dla pana zrobić. Może buty oczyścić? Proszę, już klękam i będę je liział. – I braciszku moi, wierzcie mi albo całujta mnie w rzopsko, upadłem na kolana i na kilometr wywiesiłem to czerwone chlipadło i już mało nie wylizawszy ja mu tych brudnych, zafajdanych buciorów. A ten skurwel wziął i nie za mocno kopnął mnie w usto. No to uwidziało mi się, że nie ściągnę jeszcze bólów i mdłości, jak tylko fest go złapię grabami za kostki no i pizgnę skurwla na podłogę. I zrobiłem to: i przeżył po nastojaszczy zaskoczenie, kiedy tak wykopyrtnął się bach trach i łubudu, a cała ta parszywa widownia ryknęła śmiechem. Ale ja zobaczywszy go na podłodze już poczułem ten ogarniający mnie koszmar, więc dałem mu rękę, aby prędzej się pozbierał i on się podniósł. Właśnie chciał mi przyładować fest i po nastojaszczy w ryja, kiedy wkluczył się doktor Brodzki:

– Dobrze, to aż nadto wystarczy. – I ten francowaty członio jakby uklonił się i precz wytańczył jak aktor, a światła zapaliły się na mnie, szcurzące się w blasku i z bużką w prostokąt do bu-hu-hu. Doktor Brodzki zwrócił się do widowni: – Nasz obiekt, jak państwo widzicie, ulega przymusowi dobra przez to, paradoksalnie, że ulega przymusowi zła. Intencja zadania gwałtu natychmiast łączy się z przemożnymi doznaniem fizycznego dyskomfortu. Ażeby mu zapobiec, obiekt musi błyskawicznie przestawić swój odruch na jego diametralne przeciwieństwo. Czy są pytania?

– W kwestii wyboru – zahurgotało niskie a bogato ustawione głosiszczce. To nasz kapłan więzienny. On w istocie nie ma wyboru, prawda? Instynkt samozachowawczy i lęk przed cierpieniem fizycznym zmuszają go do tych groteskowych poniżeń. Ich nieszczerość rzuca się w oczy. Nie jest już złoczyńcą. I nie jest również istotą zdolną do moralnego wyboru.

– To subtelności – tak jakby uśmiechnął się doktor Brodzki. – Nas tu nie interesują motywacje ani wyższa etyka. My się zajmujemy tylko eliminacją przestępstw.

– Jak również – wciął się ten wysoki elegancki Minister – walką z koszmarnym przeludnieniem

więzień.

– Brawo – odezwał się ktoś.

Nastąpiło mnóstwo bałachu i spierania się, a ja tylko stałem, braciszku, jakby sawsiem zapomniany przez tych na nic niepomyślnych bladych synów, aż u wrzasnąłem się:

– A ja! ja! ja! A co ze inną? Co ja tutaj mam do roboty? Czy jestem za jakieś zwierzę albo psa?

– To ich ruszyło i zaczęli pyskować po nastojaszczy gromko i pizgać we mnie słowami. Więc ja głośniejsze wrzasnąłem się, krugom na skrzyku: – Mam być jak ta mechaniczna pomarańcza? – Nie wiem, co sprawiło, braciszku, że użyłem tych słów, co jakby nieproszone tak mi przysły do głowy. To ich czegoś przymknęło na kilka minut. Wreszcie jeden bardzo chudoszczawy i stary chryk w typie profesora dźwignął się, a szyję miał całą jak ukręconą z kabli doprowadzających siłę od głowy do ciała, i tak przemówił:

– Nie masz się co uskarżać, chłopcze. Dokonałeś wyboru i wszystko to jest konsekwencją twego wyboru. Cokolwiek z tego wyniknie, sam to wybrałeś.

A na to więzienny kapłan wykrzyknął:

– Chciałbym w to wierzyć! – I dało się widzieć, jak Naczelnik wbija mu spojrzenie jakby znaczące, że nie zajdzie tak wysoko w dziedzinie Religii Penitencjarnej jak się spodziewał. Potem znowu rozpętała się gromka kłótnia i słyszałem, jak furczy w po wietrze słowo Miłość i jak sam bogusław drze się nie gorzej od innych, że niby Doskonała Miłość Usuwa Bojaźń i cały ten szajs i kochajmysie. Po czym doktor Brodzki wkluczył się z ułymbką na całej mordzie:

– Cieszę się, panowie, że poruszono tu zagadnienie miłości. Teraz obejrzymy sobie w działaniu pewien styl miłości, który uważano za wymarły już od średniowiecza. – Po czym światła przygasły i znów się zapaliły punktowe reflektory, jeden skierowany na Waszego Udręczonego Nieszczęśnika i Opowiadającego To Przyjaciela, w drugi zaś wkołysała się falą czy węzłem, z lekka bokiem się podawszy, najprześlicniejsza młoda dziuszka, jaką raz w życiu może spodziewalibyście się, o braciszku moi, uświadczyc. Grudziątka miała takie po nastojaszczy horror szół i jakby sawsiem widoczne, tak się jej z plecza obs obs obsuwała ta jubka. Nogi jak sam God Gospod aż w Niebiosach i tak szła, że ci tylko stękało w kiszka, a pomimo to liczko miała słodziutkie w ułybce i młodziutkie, takie jakby niewinne. I podeszła do mnie z tym światłem, jakby w takim krążku światłości Boskiej i z nią cały ten szajs i zagwiazdziocha, i pierwsze, co błysnęło mi w łebku, to że ruchnąłbym ją zaraz tu na podłogę i normalnie ryps wyps ryps ją dziko w międzynoże i po nastojaszczy, a tu raz i jak mnie strzeli ta mdłość, jak gdyby ten jakby milicjant kurwa co kapował zza rogu i teraz dawaj łaps i za frak. A jak do tego zajechało mnie tym wunder bar zapaszkiem jej perfum i zachciało mi się tej przydumki że uch i rujka stójka mi pod górę w kiszka, to już wiedziałem, że muszę w try miga przydumać, jak tu o niej pomyśleć inaczej, zanim cała boleść i suchość i okrutna mdłość pierdykną mnie tak horror szół i po nastojaszczy.

Więc wrzasnął się ja:

– O najpiękniejsza, krasna ty i przekrasna, daj mi rzucić jakby to moje serce do twych stóp i żebyś je podeptała. Jakbym tu miał róży kwiat, bym ci go dał. Gdyby teraz lał deszcz i ziemia była jakby szajsowata, posłałbym ci wszystek mój ciuch pod stopami, żeby ten brud i fekał nie tknął twych nówek. – I to wykrzykując, o braciszku, czułem, że ta mdłość jakby się cofa. – Pozwól mi – znów dałem

się w skrzyk – cię ubóstwiać i być dla ciebie jakby za pomagiera i zastupnika na tym złym i jakże okrutnym świecie. – Tu wpadło mi nareszcie to właściwe i padchadziarskie słowo i zrazu poczuł się ja łuczszysze, jak wymówiłem: – Pozwól mi być twym do śmierci wiernym rycerzem! – i apiać buch na te stare kolana, w pokłon i tak jakby szurgając.

Za moment poczułem się durno i po szutniacku, jakby to znów była taka zgrywa, bo ta dziobka ukloniła się widowni z uśmiechem i jakby wytańcowała precz i ciut oklasków i światła się zapaliły. Z tych drewniaków na widowni to niektórym ślepia o mało nie wylazły, tak po brudacku i obleśnie ślinili się do tej dziuszki, o braciszkanie moi.

– Będzie z niego dobry chrześcijanin! – wykrzyknął doktor Brodzki – właśnie taki! gotów nadstawić drugiego policzka! raczej da się ukrzyżować niżby sam kogoś ukrzyżował i do głębi serca się wstrząśnie na myśl choćby o zabiciu muchy. – I rzeczywiście, bracia, bo jak to powiedział, mnie zrazu podumawszy o zabijaniu muchy poczuło się niemnożko mdłości, ale odepchnąłem te mdłość pomyślawszy, jak tę muchę karmi się kusoczkami cukru i dba się o nią jakby o czyjegoś tiu tiu dziobanego zwierzaka i cały ten szajs. A on: – Resocjalizacja! – zakrzyknął. – Istna radość u Aniołów Bożych.

– Najważniejsze – odezwał się gromko Minister Spraw Niewdzięcznych – że to się sprawdza.

– O tak – powiedział jakby wzdychnął kapłan więzienny – sprawdza się. Niechaj nas Bóg ma w opiece.

Część trzecia

I

– To co teraz, ha?

Takie pytanie zadawałem sobie, o braciszkanie, następnego ranka, stojąc przed tym białym budynkiem jakby przylepionym do starej Wupy, ubrany w moje dawniejsze ciuchy sprzed dwóch lat w tym szarym blasku poranka, z małą sumką w ręku zawierającą te parę rzeczy osobistych i z paroma golcami w karmanie, które zafajdana Władza podarowała mi w szczodrości swojej, ażebym miał za co wstąpić na nową drogę życia.

Reszta poprzedniego dnia była dopiero męcząca, te wywiady kręczone na taśmę dla dziennika tiu wi, zdjęcia, co mi je krugom cykali błysk błysk błysk no i te pokazy, jak się łamię i czołgam wobec ultra gwałtu i całe to upudlenie i niełowki szajs. Nareszcie ruchnąłem w łóżko i od razu, tak mi się wydało, zbudzili mnie i każą wstawać jazda wynocha i damoj w dom, ojni tu już nie chcą dłużej oglądać Piszącego Te Słowa nigdy za nic nikagda, o braciszkanie moi. No i stoję tak wczesnym rankiem z paroma golcami monalیزی w lewym karmanie, pobrzękuje nimi i zastanawiam się:

– To co teraz, ha?

Zjeść może gdzieś jakiś zawtrak, pomyślałem, nic tego dnia rano nie zjadłszy, tak śpieszyli się wszyscy, żeby mnie wyszturgać na wolność. Tylko czaju stakanczyk mi się udało głoćnąć. Ta Wupa znajdowała się w bardzo ponurej dzielnicy, ale na każdym kroku były takie dla rabiników (to znaczy robotów) małe kafejki, więc trafiłem do jednej, o braciszkanie. Zafajdana to była śmierdząca, z jedną żarówką na suficie tak upstrzoną przez muchy, że i te ciut światła zaćmiwszy, a w niej mnogo porannych rabiników siorbiących czaj i zwykających te aż strach popatrzeć kielbaski i pajdy chleba, jak te wilki żarłoczne, chap i wołk wołk wołk i drą się o jeszcze. Podawała im taka usmotruchana bogini na krzywych łapach, za to z wielkimi grudziskami, i niektórzy z tych ciamkających próbowali

ją chapnąć za coś wydając hu hu hu! a ona he he he! aż mi się zbierało na wymiot, o braciszkwowie. Ale poprosiłem o tosta dżem i czaj bardzo grzecznie tym wytwornym głosem i usiadłem w ciemnym kąciku, ażeby to zjeść i wypić.

Kiedy ja się tym zajmowałem, wszedł jakiś malutki członio, karzełek (znaczy się karypel) sprzedający poranne gazety, pokręcony i brudny typ zwyrodnialca w grubych pinglach w stalowej oprawce z drutu, łachy zaś miał w kolorze starego psującego się budyniu porzeczkowego. Więc kupiłem żurnał z tą myślą, że należy się przygotować do skoku z powrotem w normalne życie zobaczywszy, co się dzieje na świecie. Ten żurnał to była jakby szmata rządowa, bo na pierwszej stronie żadnych nowin poza tym, że niby wsie wpychle i kaźden musi postarać się, aby dotychczasowy Rząd apiać znalazł się u koryta w zbliżających się Powszechnych Wyborach Narodowych, które widno mają być za kilka tygodni. Bardzo się jeden z drugim chwalebisz nadymał w tym bałachu, czego ten Rząd nie zrobił, o braciszkwowie, za ostatni rok czy tak około, że wzrósł eksport i taka horror szoł polityka zagraniczna i świadczenia społeczne poprawiły się na balszój i cały ten szajs. Ale czym Rząd się najbardziej chełpił, to tym, jak według nich na ulicach za ostatnie sześć miesięcy zrobiło się dużo bezpieczniej dla milujacych-pokój-szwendających-się-po-nocy zwyczajnych ludków, przez to że policja jest lepiej opłacana i że ostrzej bierze się za chuliganów (czyli równych malczyków) i zboczeńców i włamywaczy i cały ten szajs. To zaciekawiło tak więcej niemnożko Niżej Podpisanego. A na drugiej stronie gazety było zamazane zdjęcie kogoś jakby dobrze znajomego i pokazało się, że to nikt inny tylko ja ja ja. Wygląd miałem oczeń ponury i spuknięty, ale to przez te flesze krugom błysk błysk i pyk pyk pyk. A pod moim foto napisano, że oto jest pierwszy absolwent (znaczy się wypustnik) z utworzonego dopiero co Państwowego Instytutu Resocjalizacji Osobników Kryminalnych, wyleczony ze zbrodniczych skłonności przez dwa ubiegłe tygodnie i już wzorowy, przestrzegający prawa, dobry obywatel i cały ten szajs. Obok znalazłem nad i ponad zwyczaj pochwalny artykuł o Technice Ludovycka i jaki ten Rząd jest mądry i znów cały ten szajs. I apiać foto jakiegoś muzyka – wydał mi się znajomy – a to był ten Minister .Spraw Niewdzięcznych czy też Wewnętrznych. Coś mi wyglądało, że on się przechwalił, jak to spodziewa się że teraz przyjdzie fajna przewoschodna i wolna od zbrodni epoka w której nie będziemy się już bać tchórzliwych napaści ze strony młodych zwyrodnialców i chuliganów, i zboczeńców, i włamywaczy i cały ten szajs. Aż wydałem: aaaaargh! i pizgnałem ten żurnał o podłogę, tak że przynajmniej ciut pokrył te ślady od rozchlapanego czaju i nacharkane spluwki obrzydliwe tych brudnych zwierzaków łączących do tej kafejki.

– To co teraz, ha?

To nie co innego teraz, o braciszkwowie, tylko do domu i radosna niespodzianka dla facia i macioszki: ich jedyny syn i spadkobierca powraca na łono rodziny. I zaraz się wyciągnę na moim wyrku, w izbuszce mojej małej ujutnej i posłucham sobie jakiejś muzyki co najfajniejszej i od razu przy tym pogłówkuję, co teraz będę robił w życiu. Oficer Zwolnieniowy dał mi dzień wcześniej długą lisię zajęć, o które się mogę starać, i podzwonił w mojej sprawie do różnych tam, ale żeby tak zaraz pracolić jak rabotny króliczek, nie, braciszkwowie, to jeszcze nie dla mnie. Najpierw małe spoko i pieredyszka, owszem, i spokojnie sobie pomóżgolić na wyrku przy dźwiękach muzyki przewybornej.

No to w basa do Centrum i stamtąd w innego basa do Kingsley Avenue, gdzie już Blok Muncypalny 18A jest niedaleko. Uwierzycie mi, braciszki, jak powiem, że serce mi waliło buch buch buch z podniecenia. Krugom taka cisza, bo jeszcze była zima i wczesny ranek, a jak wszedłem do blokowej sieni, to nikogo, tylko te gołoguze muzyki i psiochy od nagiej Godności Trudu. Co mnie poraziło, bracia, to jak wszystko było odczyszczone, żadnych tam słów plugawych w balonikach z ust

Godnych Pracowników i żadnych jaj, chojaków albo innych narządów, co by im dorysowali małyse z brudnej wyobraźni. Zaskoczyła mnie też działająca winda. Po wciśnięciu elektro knopki lift zjechał mi z pomrukiem i jak wsiadłem, znów poraziło mnie, że kabina w środku zupełnie czysta.

I wjechałem na dziesiąte piętro i patrzę, numer 10-8 jak zawsze, i grabki mi się zatrzęsły i wciąż dygotały, kiedy wyjąłem z karmana swój kluczyk. Ale zebrałem się w sobie i wbiłem fest klucz do zamka, odkluczyłem go przekręciwszy i rozpachnąłem, i wszedłem i widzę trzy pary zaskoczonych i ciut nie przelękłych ślepi wpatrzonych we mnie, a to byli fąty i maty jedzący śniadanie, a oprócz nich jakiś trzeci członio, którego w życiu nie widziałem, duży i tęgi bych w samej koszuli i szelkach, jak u siebie, o braciszku moi, siorbał czaj z mlekiem i zwy zwy zwywał sobie tost i jajko śmajko. Ten obcy właśnie pierwszy się odezwał i tak do mnie powiada:

– A ty co za jeden, koleżko? Skąd masz klucz? Za drzwi, żebym ci ryja nie wcisnął. Wyjdź i najpierw zapukaj. A potem wyjaśnisz, czego tu chciałeś, ale to raz dwa.

Ef i em siedzieli jak skamieniawszy i widno, że nie czytali gazety, teraz przypomniałem sobie, że gazeta przychodzi dopiero, jak tatata wyjdzie już do roboty. Aż macica się odezwała: – Więc uciekłeś z więzienia. Och, co my zrobimy? Zaraz przyjdzie policja, och och och! Och ty zły niedobry chłopcze, żeby tyle wstydu nam przynieść! – i wierzcie mi albo całujta mnie w rzopsko, że dała się w bu hu huuu. Więc ja zacząłem wyjaśniać, że jak chcą, to mogą zadzwonić i dowiedzieć się w mojej Wupie, a ten obcy siedział przez cały czas i spodełbił się na mnie, umarszczony, jakby gotów mi przyładować z tej gromadnej byczej włochatej piąchy i faktycznie wbić mi ryja do środka. Więc ja do niego:

– Może byś mi odpowiedział co nieco, bracie? Co tu robisz i jak długo zamierzasz? Nie spodobał mi się twój ton, jakim to przed chwilą wyrzekłeś. Uważaj. No wyjęzycz się, słucham. – Ten muzyk był w typie robola, taki brzydziuga, lat może trzydzieści albo czterdzieści, teraz siedział rozdziawiwszy się na mnie i ani słowa nie wykrztusił. Aż ojczyk mój się odezwał:

– Trochę to nas oszołomiło, synu. Należało zawiadomić nas, że się pojawisz. Uważaliśmy, że jeszcze upłynie co najmniej pięć albo sześć lat, zanim cię wypuszczą. Co nie znaczy – dobawil, a wyrzekł to całkiem ponuro – aby nam nie było bardzo przyjemnie znów cię zobaczyć i to już na wolności.

– A to kto jest? – powiadam. – Dlaczego się nie odzywa? Co tu się dzieje?

– To jest Joe – odkazała maty. – On tu mieszka. Lokator. – I znów poleciała: – Oj, Boże Boże Boże.

– Ty – przemówił ten Joe. Wiem o tobie wszystko, mój chłopcze. Co zrobiłeś i jak serce złamałeś twoim biednym, zrozpaczonym rodzicom. No i wróciłeś, co? żeby znów im życie zamienić w piekło, tak? Ale po moim trupie, bo już dla nich jestem bardziej syn niż lokator. – Prawie bym się w głos obśmiał, gdyby nie to, że przez ten razdraż już mi się zaczęło zbierać na wymiot, kiedy ujrzałem, jak ten mudak w latach na oko prawie identiko jak moi ef i em stara się jakby po synowsku opiekuńczym ramieniem otoczyć moją zapłakaną maciochę, o braciszku moi.

– Tak – powiadam. I o mało sam bym załamawszy się nie padł zalany łzami. – Więc to tak. No, to daję ci całe pięć długich minut na wypieprzenie całego twego barachła zafajdanego won z mojego pokoju. – I prygnąłem do tego pokoju, a on był ciut za powolny, aby mnie zatrzymać. Jak rozpachnąłem drzwi, serce mi upadło aż na dywan, bo zobaczyłem, że to w ogóle już nie moja izbuszka, o braciszku moi. Żadnych flag i proporczyków na ścianach i ten mudak na ich miejsce pozawieszał zdjęcia bokserów, a jedno zbiorowe, jakby drużyna usadziła się grzeczniutko rączki założywszy i srebrna przed nimi tarcza. A później zobaczyłem, czego jeszcze brakuje. Moje stereo znikło i szafa z płytami też, i mój skarbczyk zakluczony, gdzie trzymałem spirtne i do ćpania maraset,

i dwie czyste aż błyszczące strzykawki. – Coś tu wyprawiało się parszywie i po brudacku – wrzasnąłem. – A gdzie moje własne osobiste barachło, co z nim ustroiłeś, ty skur wy bladku? – Tak zwróciłem się do tego Joe, ale odpowiedział mi ojczyk:

– Wszystko to zabrała, synu, policja. Bo te nowe przepisy, wiesz, rekompensata dla ofiar.

Było mi już okrutnie ciężko nie pochorować się okropnie, ale baszka mnie rozboleła użasno i w pysku tak mi zaschło, że musiałem bystro po ciąg z flaszki mleka na stole i ten Joe się odezwał: – Wychowanie. Tak świnia robi. – A ja powiedziałem:

– Przecież ona umarła. Nie żyje.

– Ale koty – rzekł jakby pieczalno mój starzyk – zostały się bez opieki, zanim odczytano jej testament, więc przyszło się im wynająć kogoś, żeby je karmił. Więc policja sprzedała na opłacenie tej opieki wszystkie twoje rzeczy, ubrania i w ogóle. Takie jest prawo, synu. Ale ty nigdy się za bardzo nie troszczyłeś o prawo.

Musiałem usiąść, a ten Joe się odezwał: – Pytaj się czy można, zanim usiądziesz, ty niewychowany mały świntuchu – na co ja bystro mu się odgryzłem: – Zawrzyj no ten brudny tłusty loch, ty – i już brało mi się na mdłości. Więc postarawszy się dla zdrowia umiar zachować i uśmiech przemówiłem: – No dobrze, to jest mój pokój, nie da się zaprzeczyć. I tu jest mój dom. Co wy w tej sytuacji, moi drodzy ef i em, proponujecie? – A ci tylko patrzyli jak te ponuraki, maciocha się trochę trzęsła, lico miała do imentu w krechy i mokre od łez, w końcu facio mój się odezwał:

– Trzeba wszystko to rozważyć, synu. Nie możemy go, chyba rozumiesz? tak po prostu wziąć i wyrzucić. Bo widzisz, Joe pracuje tu na kontrakcie, ma robotę, jeszcze dwa lata i myśmy się z nirn umówili, nieprawda, Joe? No bo widzisz, synu, myśleliśmy, że ty jeszcze długo posiedzisz i ten pokój będzie stał bez użytku. – Trochę był zawstydzony, to się dało widzieć po ryju. Więc tylko się ułybnałem i przytaknąłem jakby ze słowami:

– Wsio widno. Przywykli wy mieć trochę spoko i przywykli brać ekstra te ciut kasabubu. Tak to bywa. A wasz synek to był straszny kłopot i nic poza tym. – No i wtedy, wierzcie mi braciszku albo całujta mnie w rzopsko, tak jakby rozpłakałem się, okrutnie się uzaliwszy nad sobą.

A mój tato na to:

– Bo widzisz, synu, Joe zapłacił już za następny miesiąc. To znaczy, że co byśmy nie zrobili w przyszłości, teraz nie możemy żądać, aby się wyniósł, prawda, Joe?

A ten Joe na to:

– Ja muszę troszczyć się o was oboje, bo jesteście dla mnie jak rodzony ojciec i matka. Czy to byłoby sprawiedliwe i fer, żebym ja odszedł i powierzył was czulej trosce tego smarkatego potwora, co nigdy dla was nie był jak prawdziwy syn? Teraz się pobeczał, ale wszystko to lipa i udawanie. A niech idzie i wynajmie sobie gdzieś pokój. Niech się nauczy, jak źle postępował i że taki zepsuty chłopiec jak on nie zasłużył sobie na tak dobrą mamusię i tatusia, jakich posiadał.

– W porządku – odezwałem się wstając i wciąż cały jakby zapłakany. – Teraz wiem, jak sprawy się przedstawiają. Nikt już nie chce mnie i nie kocha. Cierpiałem ja i cierpiałem i cierpiałem i wszyscy pragną, abym jeszcze pocierpiał. Pewnie! pewnie!

– Ty innym kazałeś cierpieć – odrzekł mi Joe. – Sprawiedliwie będzie, jak naprawdę pocierpisz. Dowiedziałem się o wszystkim, coś ty wyprawiał, jak siedzieliśmy tu wieczorami w rodzinnym kółku przy tym stole i aż strach było tego słuchać. Nieraz to mnie omal że nie zemdliło.

– Chciałbym znaleźć się – powiedziałem – znowu w więzieniu. W tej starej kochanej Wupie. Już idę – powiedziałem – i nie zobaczycie mnie więcej. Poszukam sobie własnej drogi, dziękuję. A wy miejcie to na sumieniu.

– Nie traktuj tego w ten sposób – odezwał się ojczyk, a maciocha robiła tylko bu hu huuu! z

mordą wykrzywioną i hadką na wygląd, a ten Joe znowu ją objął, poklepywał i robił w kółko no no no całkiem po duracku. A ja do drzwi potykając się i wyszedłem, porzuciwszy ich na pastwę tej okrutnej winy, o braciszkuwie.

2

Szagałem ja braciszkuwie ulicą, jakby donikąd, odziany w ten dawniejszy ciuch nocny, ludzie się wytrzeszczali na niego jak szedłem i do tego trzęsło mnie, bo dzień suka zimowy, i chciałem tylko jak najdalej być od wszystkiego i żebym już o niczym w ogóle nie potrzebował myśleć. Skoczyłem w bas do Centrum i cofnąłem się na Taylor Place i oto mój butik z nagraniami, zwany MELODIA, który zaszczycałem dając mu łaskawie zarobić, o braciszkuwie, i z wyglądu był ten co zawsze i jak wszedłem, spodziewałem się że będzie tam stary Andy, ten łysy i bardzo chudoszczawy, uczynny, małecki drewniak, u którego dawniej kupowałem tak mnogo płyt. A tam śladu nie zostało po Andym, braciszkuwie, tylko skrzyk i wrzask nastolatek (czyli małolatów i małolatek) osłuchujących jakieś nowe pop chłam piosneczki koszarne i do tego tańczących, a sprzedawczyk sam prawie że nastolatek trząsał kostkami u rąk i obśmiewał się jak z uma szedłszy. Więc ja przystąpiłem i czekam, aby raczył mnie zauważyć, a potem zwracam się do niego:

– Chciałbym usłyszeć na płycie Mozarta Nr 40. – Dlaczego mi to akurat przyszło do łba, nie wiem, ale przyszło. A ten sprzedawczyk zapytuje mnie:

– A czego czterdziesty, przyjacielu?

Więc odparłem: – Symfonii. To znaczy Symfonia G-moll Numer Czterdziesty.

– Uuu – zrobił jeden z tańczących małolatów, chłopczyzna z kudłami na całych ślepkach – symfonia. A nie rym cym cymfonia? On szuka bim bam bonii.

Czułem jak mnie ogarnia razdraż i musiałem się tego wystrzegać, więc ułybnałem się do tego szczyła, co przejął interes po Andym, i do całego tłumu fikających i drących się małolatów. A ten członio powiada: – Wejdz do tej kabinki, przyjacielu, to ja coś ci tam puszcze.

Wlażłem ja do małego pudełka, gdzie można przesłuchać nagrania, co chcesz kupić, a ten mi nastawia płytę, ale nie Mozarta Czterdziestą, tylko *Praską* – widno złapał tego Mozarta, byle co mu z półki wpadło pod rękę – i na to poczułbym się już po nastojaszczy razdraż i miałbym się pilnować, żeby nie dopadły mnie bóle i mdłości tylko że na śmierć zabyłem o czymś, co też powinienem pamiętać i teraz już chciało mi się normalnie zdechnąć. Mianowicie że ci kurwa weteryniarze tak urządzili, ażeby przy każdej muzyce, która daje mi się wołnować, dostawał tych bólów i mdłości, zupełnie jakbym oglądał albo chciał popełnić gwałt. A wszystko dlatego, że w tych filmach z ultra kuku była podłożona muzyka. Najbardziej mi zapadł ten potworny film o Nazich z finałem Piątej Symfonii Beethovena. A tu się zrobił koszmar z cudownego Mozarta. Wypadłem z butiku przy gromkim rechocie tych nastolatek i jak sprzedawczyk wykrzykiwał za mną: – Ej ej ej! – Ale nie zwracałem uwagi na nic i polazłem potykając się, prawie jak ślepy, przez jezdnię i za róg do starej mołoczni Pod Krową.

Wiedziałem ja, czego mi teraz nużno.

Lokal był prawie że pusiy, bo jeszcze rano. Wygląd miał też dziwny, bo ukrasili go w czerwone ryczące krówska, a za barem stał jakiś nieznajomy. Ale jak zakazałem: – Duże białe i coś – ten z

wychudłym i ledwo co wygolonym ryjem od razu wiedział. Zaniósłem to duże mleko z dobawką do jednego z małych boksów naokoło, każdy odgradzony własną zasłonką, i tam usiadłszy na pluszowym krześle dopiero siorb i siorb. Jak wszystko już wysączyłem, to poczułem, że coś zaczyna się dziać. Miałem ślepkę jakby wlepione w taki mały malutki na podłodze kuscoczek sreberka z paczki rakotworów, bo nie za horror szoł zamiatało się tam, braciszku. Ten strzępek srebra zaczął rosnać i rosnać i rosnać i był taki jaśniejący, ognisty, aż oczy musiałem przyszczyć. Zrobił się tak przeogromny, że już nie tylko ta przegródka, gdzie ja się słałem, ale cała ta mołocznia Pod Krową i cała ulica to był on i całe miasto. A potem cały świat i całe w ogóle wszystko, bracia, i jakby morze napływało na wszystko, co kiedykolwiek było zrobione albo i pomyślane. Jakbym słyszał siebie wydającego takie cudackie odgłosy i słowa w rodzaju: – Mały drogumarko ty jałowiało gni tych nie wróżniuch – i cały ten szajs. To widzenie wdrug rzuciło się w srebro i zaraz kolory, jakich nikt i nigdy jeszcze nie widział, i tłum figur zobaczył ja bardzo bardzo bardzo daleko i jakby je ktoś posuwał bliżej bliżej bliżej, a wszystko w bardzo jasnym blasku z dołu i z wierchu tak samo, braciszku moi. Ta gromada posągów to God Gospod i Wsie Aniołowie Jego i Święci, wszystko jak brąz oczeń świecące, brodate i z wielkimi ogromnymi skrzydłami pomachującymi jakby na wietrze, tak i nie mogący być po nastojaszczy z brązu ani z kamienia, a oczy ich czyli głązy ruchome i znaczy się żywi. Te gromadne figury jakby najeżdżały na mnie coraz bliżej i bliżej aż tak blisko, jakby zaraz mnie chciały zgnieść i usłyszałem swój głos: – liiiii. – I poczułem, że wsio mnie odeszło – ciuch i pływ, mózg, nazwisko, w ogóle wszystko – i zrobiło mi się tak horror szoł jak w niebie. Potem rozdał się hałas jakby się kruszyło i obruszało i God Gospod i Jego Aniołowie i Święci jakby zatrząchali nade mną głowami, jakby chcieli powiedzieć, że mój czas jeszcze nie nadszedł ale mam dalej próbować i wszystko się jakby obszczerzyło i w rechot i zawałiło się i ciepłe ogromne światło osunęło się jakby w ziąb i byłem apiać tu gdzie przedtem, na stole puste szkło i chciało mi się płakać i czułem, że na wsio jedyna odpowiedź to śmierć.

I to właśnie, to należy zrobić! sprawa stała się dla mnie jasna, tylko nie wiedziałem jak, bo nigdy się nad tym nie zastanawiałem, o braciszku. W tej sumce z rzeczami osobistymi, prawda, miałem swoją brzytwę do grdyk, ale od razu mi się zrobiło bardzo niedobrze jak pomyślałem że zadaję nią ś-ś-siach po samym sobie i ścieka czerwo czerwona krew moja własna. Znów nie gwałtu chciałem, ale czegoś, ażebym tak łagodnie zapadł w sen i żeby to był koniec Niżej Podpisanego i dla wszystkich koniec wszelkich kłopotów. Może jakbym zaszedł, pomyślałem sobie, do tej Publo Biblioteki za rogiem, to znalazłbym w jakiejś knidze najlepszy sposób na bezbolesne załatwienie się. Przedstawiłem sobie, jak nie żyję i jak wszyscy tego będą żałować, ef i em i ten szajso francowaty Joe ten doskakiewicz i również doktor Brodzki, i doktor Branom, i ten Minister Wewnętrzny Niewdzięczny i w ogóle wszyscy oni. No i ten zafajdany Rząd przechwalający się. Więc myk ja na ten ziąb i było już po południu, około drugiej, co uwidziałem ja na tym wielkim zegarze w Centrum i znaczy się, że to stare mleczko z dobawką dało mi być dłużej na trypie niż myślałem. I paszoł ja po Marghanita Road i skręciwszy w Boothby Avenue. potem znowu za róg i tam już mieści się Publo Biblioteka.

To jest bardzo starychowskie miejsce i wątpię, czy tam zajrzałem od czasu jak był ze mnie oczeń oczeń malutki malczyk, około lat sześciu, i dzieliło się na dwie części: jedna do pożyczania książek i druga do czytania, pełna gazet i żurnalów ilustrowanych i tego jakby smrodu niemytego starych drewniaków ich próchna ich woni tego fetorku ciał w nędzy i zgrzybiałości. Mnóstwo ich albo sterczało przy stoiskach z gazetami po całej sali, siakając i bekając i pod nosem do siebie mamrocząc i przewracając kartki, wyczytując ze smutkiem, co nowego, albo siedzieli przy stołach przeglądając te żurnaly lub tylko udając, niektórzy spali, a paru to nawet gromko chrapało. Z początku

już nie pamiętawszy, po co przyszedłem, wreszcie tknęło mnie i trochę wzdrygnęło jak przypomniałem sobie że po to, aby znaleźć bezbolesny sposób na wyciągnięcie kopyt, i podszedłem do półki z różnymi tam encyklo i te pe. Od chuja było tych книг, ale żadnej, o braciszkwie, żeby tak po tytule mi pasowała. Owszem, jakaś o medycynie, to ją wyciągnąłem i jak zajrzałem, to nic, tylko rysunki albo zdjęcia jakichś odrażających ran i chorób, aż o mało bym się nie porzygał. Więc odstawiłem ją i wydostałem tę gromadną książkę, co wiecie, tak zwaną Biblię, podumawszy sobie czy mi nie ulży jak wtedy co ją czytałem w starej Wupie (nie takiej znów starej, ale wydawało się już bardzo dawno) i pokuszyłem do krzesła ją poczytać. Ale znalazłem tylko, jak się rąbie siedemdziesiąt razy po siedem i jak mnóstwo tych Żydów przeklina i grzmoci jeden drugiego, i też się poczułem niedobrze. Więc o mało się nie popłakałem i jeden taki bardzo stary i złachmaniony mudak z naprzeciwwka zapytał:

– Co się stało, synu? Masz jakiś kłopot?

– Chcę skończyć ze sobą – powiadam. – Już mam dosyć, ot co. Życie mi dało w kość.

Czytający obok mnie próchniak zaszumił: – Cśśś – nie podnosząc oczu znad jakiegoś tam durackiego żurnała, w którym były tylko narysowane jakby takie gromadne sztuczki geometryczne. Coś mi to przypominało. A ten pierwszy mudak powiada:

– Jesteś na to za młody, synu. Przecież ty wszystko masz przed sobą.

– Aha – odkazałem gorzko. – Jak sztuczny cyc. – Ten czytacz żurnału znów zasyczał: – Cśśś – tym razem podnosząc oczy i coś dla nas obu zaskoczyło. Już mi się zrobiło widno, co za jeden. A on tak po nastojaszczy i gromko:

– Ja nigdy nie zapominam kształtu, jak Boga kocham. Jaki co ma kształt, w życiu nie zapomnę. Mam cię, ty świnió, na Boga, ty młody zbrodniarzu. – Krystalografia, no tak. Właśnie to niósł wtedy z biblioteki. Sztuczne zęby tak horror szoł chrupały pod butem. Jego zdarte łachy. Książki razrez i razbros, wszystkie o krystalografii. Pomyślałem, że lepiej pryskać stąd gdzie rak w trawie piszczy. Ale ten stary mudak już się zerwał, o braciszkwie moi, wrzeszcząc jak z uma szedłszy do wsiech próchniaków krugom pod ścianami przy gazetach i do tych, co kimali nad żurnalami przy stołach. – Mamy go – skrzyczał. – To ta świnią jadowitą, ten zbrodniarz, co poniszczył książki o krystalografii, takie rzadkie, nigdzie nie do odkupienia, już nigdy. – Był w tym jakiś wariacki ton i odgłos, jakby ten chryk był po nastojaszczy z uma szedłszy. – To jest wzorowy okaz tych bestialskich i tchórzliwych młodziaków! – ryczał. – Tu pomiędzy nami. Mamy go w rękę. To właśnie on z kolegami pobili mnie i skopali i zmasakrowali. Obdarli mnie do naga i wyrwali mi zęby. Moja krew i jęki śmieszyły ich. Pognali mnie kopniakami do domu, gołego i bez przytomności. – Była to niezupełnie prawda, jak wiecie, braciszkwie. Coś miał jeszcze na tej płyci, nie był znów obdarty całkiem do naga.

Krzyknąłem:

– Ale to było przeszło dwa lata temu. W tym czasie zostałem ukarany. Dostałem nauczkę. Tylko popatrzcie się o tam – w gazetach – jest moje zdjęcie.

– Ukarany, co? – przemówił jeden stary typ jakby żołnierza, taki weteran. – Takich się powinno wytepić. Jak to hałaśliwe robactwo. Ukarany, powiadasz?

– Dobrze! dobrze! – odpowiedziałem. – Każdy ma prawo do własnych poglądów. Bardzo panów przepraszam. Już muszę iść. – I zacząłem się wycofywać z tej meliny z uma szedłszy z próchniaków. Aspiryna! no właśnie. Można się wykończyć setką aspiryn. Ze starej apteki. Ale ten od krystalografii wrzasnął:

– Nie wypuszczać go! My go nauczymy co znaczy ukarany, tę świnię młodocianą, tego mordercę. Łapcie go. – I wierście mi albo to drugie, braciszkwie, ale kilku tych starych grzdyli, tak po dziewięćdziesiąt lat każdy, złapało się za mnie tymi trzęsącymi starymi grabkami, a mnie jakby

zemdliło od woni tej starości zaśmiardłej i chorób wszelakich, zionącej od tych na wpół zdechłych mudaków. Ten od krystalografii dobrał się już do mnie i zaczął mi ładować w ryja takie drobne i słabiutkie szturganka, więc ja pytałem się wyrwać i uciec, ale te starychowskie łapska, co mnie dzierżały, były mocniejsze niż się spodziewałem. A potem inne chryki przykuszyły od gazet, aby też od siebie dołożyć Niżej Podpisanemu. Wykrzykiwali takie rzeczy jak: – Zatluc go, stratować go, aby żywy nie uszedł, wybić mu zęby! – i cały ten szajs: i już było mi jasne, o co chodzi. To starość dorwała się do młodości, ot co. A niektórzy z nich powtarzali: – Biedny stary Jack, o mało nie zabił biednego Jacka, to on, właśnie ten bydlak! – i tak dalej, jakby to się wczoraj hapnęło. Bo dla nich to chyba wczoraj. I teraz już całe morze śmierdzących i śliniących się brudnych próchniaków usiłowało jakby dobrać się do mnie tymi wątlymi grabkami i starymi, zrogowaciałymi pazurkami, zgiełcząc i dysząc na mnie, a nasz kryształowy pogromszczyk był ciągle najpierwszy, ładując mi szturg i szturg nieprzerwywno. A ja bałem się zrobić absolutnie cokolwiek, o braciszku, bo już lepiej dostawać taki wycisk niż poczuć się do wymiotu i ten okropny ból, ale z drugiej strony, rozumie się, fakt że i tak odbywa się gwałt wprawił mnie w takie nastroszenie że ten atak mój wygląda jakby zza rogu i tylko patrzy, czy już nie wyprygnąć i dawaj na całego.

Aż pojawił się bibliotekarz, taki młodszy, i krzyknął: – Co tu się dzieje? Przestać mi natychmiast! Tu jest czytelnia. – Ale nawet nie zwrócili uwagi. Więc on powiedział: – Dobrze, w takim razie dzwonię na policję.

Więc ja uwrzasnąłem się, a nie myślałem, że mógłbym w życiu coś takiego uczynić:

– Tak tak tak jest, proszę dzwonić, proszę mnie ratować od tych starych wariatów. – Przyuważyłem, że ten bibliotekarz się wcale nie pali do udziału w drace i do wybawiania mnie od furii szału i z pazurów tego próchniactwa: wziął i umknął do swojej dyżurki czy gdzie tam był telefon. Teraz już te chryki się strasznie usapały i czułem, że dałbym jednego prztyka i wszyscy by się przewrócili, ale ja pozwalałem, bardzo cierpliwie, żeby mnie trzymały te zgrzybiałe grabki, z zamkniętymi głazami, znosiłem te wątle poszturgiwania w lico i słyszałem, jak starychowskie zdyszane głosy dają mi po twojamaci takimi słowami jak: – Ty smarkaty bydlaku, ty świni, chuligan, łobuz, morderca, zabić go i tyle. – Wreszcie dostałem raz tak po nastojaszczy boleśnie w kluf że powiedziałem sobie o kurwa kurwa! i roztworzyłem oczy i targnąłem, aby się im wyrwać, co nie było trudne, braciszku, i lu przedarłem się z krzykiem do takiej sieni przed czytelnią. Ale ci starzy mściciele nic tylko za mną, dysząc jakby już mieli powyzdychać, a te szpony zwierzęce aż się im trzęsły, żeby dorwać się do Waszego Przyjaciela i Niżej Podpisanego. Po czym ktoś podciął mi nogi, łubudu! leżę na podłodze i oni mnie kopią, wiem usłyszałem już młode głosy w krzyku: – No już, spokój, spokój! – i wiedziałem, że przyjechało gliniarstwo.

3

Byłem tak jakby zamroczony, o braciszku, i nie widziałem za dobrze, ale musiałem tych szpików już na pewno gdzieś spotkać. Tego co mnie podnosił i mówił: – Dobrze już, dobrze, dobrze – prawie przy frontowych drzwiach Publo Biblo to wcale nie znałem, tylko wydał mi się bardzo młody jak na milicyjniaka, ale tamci dwaj tak wyglądali od pleców, że na pewno ich kiedyś widziałem. Siekli tych francowalnych staruchów takimi małymi pejczykami siuch i siuch i siuch, dało się poznać, jaka to dla nich uciecha i radocha, przy czym pokrzykiwali: – Na i na, macie, wy

niegrzeczne chłopaki. To was nauczy, że nie wolno urządzać rozruchów i naruszać Państwowego Spokoju, wy łotrzyki niedobre, wy. – No i zagonili tych sapiących i zadyszanych i mało nie konających mścicieli przedpotopowych z powrotem do czytelnicy, a potem się obrócili, obśmiewając się jak z uma szedłszy, i spojrzeli na mnie.

Starszy powiedział:

– No no no no no no no proszę. Kogo ja widzę. Przecież to mały Alex. Tyle czasu nie widzi, o mój drużku. Jak leci? – Byłem jak odurzony, mundur i hełm (znaczy się szłom) nie pozwalały dobrze zobaczyć, kto to, chociaż lico i głos były mi doskonale znane. Po czym na drugiego łypnąłem i co do tej mordy, obszczerzonej i głupawej, nie było wątpliwości. Więc jakby zdrętwiały i coraz gorzej drętwiejący apiać i baczniej przyjrzał ja się temu no no no proszącemu. Więc to faktycznie stary szmałojowaty Billyboy, mój prastary wróg. A ten drugi to, rozumie się, Jołop, niegdyś mój drug i także samo wróg tego zatłuszczonego capa Billyboya, obecnie zaś gliniarz w mundurze i szłomie i z batem do utrzymywania porządku. Wyrwało mi się:

– Nie.

– A co, niespodzianka? – i stary Jołop dał się w rechot, który tak horror szół zapamiętałem: – Chu chu chu.

– Niemożliwe – rzekłem. – To być nie może. Nie wierzę.

– Widzisz na własne ślipka – obszczerzył się Billyboy. – Żadnych zachwostek i bez cudów, chłopcze. Zajęcie w sam raz dla dwóch takich, co doszli do wieku zatrudnienia. Policja.

– Jesteście za młodzi – upierałem się. – Dużo za młodzi. Nie bierze się takich malczyków do gliniarstwa.

– Byli – wkluczył się stary policjant Jołop. Nie mogłem tego przeskoczyć, braciszku, naprawdę nie mogłem. – *Byli* za młodzi, wtenczas, młody mój drużku. A ty przecie od nas byłeś najmłodszy. No i właśnie jesteście.

– Wciąż nie mogę uwierzyć – powtórzyłem. Po czym Billyboy, ten poli mili cyjniak Billyboy, co go nie umiałem przeskoczyć, odezwał się do młodszego niż on gliniarczyka, co mnie dalsze a nieprzerywno dzierżał, i tego już nie chwyciłem:

– Chyba większy będzie pożytek, Rex. jak z nim pójdziemy na skrót. Chłopcy to chłopcy i tyle, wiecznie to samo. Nie warto wpuszczać się w karauł i cała tę rutynę. Znowu te jego sztuczki, my je znamy na pamięć, choć ty, oczywiście, ich nie możesz pamiętać. Rzucił się na bezbronych starców i oni działali w obronie własnej. Ale prawo każe nam coś z tym zrobić.

– Jak to? – spytałem nie wierząc własnym uszom. – Przecież to oni rzucili się na mnie, braciszku. Nie jesteście po ich stronie i nie możecie. Ty zwłaszcza nie możesz, Jołop. To ustroił taki jeden chryk, z którym obaj raz pofiglowaliśmy za dawnych czasów, i teraz po tak długim czasie próbował się na mnie ciut i po niemnożku odegrać.

– Masz recht, że po tak długim czasie – odkazał mi Jołop. – Już tak horror szół tych czasów nie pamiętam. A poza tym nie mów na mnie Jołop. Mów do mnie panie konstablu.

– Ale trochę się jednak pamięta kiwał raz po raz głową Billyboy. Nie był już po prawdzie taki tłusty. – Małych a niegrzecznych malczyków, takich prędkich w miganiu brzytwą, mamy obowiązek utrzymać w karbach. – I złapali mnie w taki fest uchwyt i poniekąd wywlekli z Publo Bibloleki. Przed budynkiem czekał glinowóz i za szafiora był ten co go wołali Rex. Poszturgali mnie i wpichnęli na tył glinowozu, a ja nie mogłem się pozbyć wpieczętowania, że faktycznie to żart i że Jołop siejczas że i tak zdejmie szłom ze łba i robi chu chu chu chu. Ale nie zrobił. Odezwałem się, próbując opanować rosnący we wnętrzu strach:

– A stary Pietia, co stało się z Petem? I żałosna to sprawa z Żorzykiem – ciągnę. – Opowiadano

mi.

– Pete, ach tak, Pete – powiada Jołop. – Jakbym sobie przypominał to imię. – Tu przyuważyłem, że wyjeżdżamy z miasta. Wobec tego pytam się ich:

– A dokąd my jedziemy?

Billyboy odwrócił się z przedniego siedzenia i odkazał mi: – Jeszcze nie ciemno. Mała przejażdżka na wieś, gdzie wszystko zimowe nagie i bezlistne, ale jakże bezludno i pięknie. To nie jest horror szoł, przynajmniej nie zawsze, ażeby wpychle w mieście za dużo widzieli z naszych karalnych skrótów. Bo ulice po różnemu utrzymywać należy w czystości.

I znów się odwrócił do przodu.

– Nu pagadi – odkazałem. – Co za kwacz? Po prostu nie chwytam. Dawne czasy to umarłe i przeszłe czasy. Czego narobiłem w przeszłości, za to poniosłem karę. Wyleczono mnie.

– Czytali nam o tym – zgodził się Jołop. – Szef nam czytał. Mówi że to doskonały sposób.

– Czytali – odbałaknąłem ciut zło i jechidno. – Ciągłe taki z ciebie jołop, że sam nie przeczytasz, braciszku?

– Och nieee – odkazał mi Jołop tak oczeń miło i jakby z ubolewaniem. – Tak ze mną nie idzie rozmawiać. Było i już nie jest, mój družku. – I jak mi przydziarmażył w kluf, aż cała ta jucha czerwona puściła się kap kap kap.

– Nikagda i ani krzty zaufania – stwierdziłem z goryczą, rozmazując tę juchę łapskiem. – Zawsze mi przychodziło z wami sam na samo gwałt i adzinoko.

– Tu będzie w sam raz – powiedział Billyboy. Teraz już byli my na okrainach miasta, po prostu wiocha i tylko łyse drzewa i kiedy niekiedy gdzieś jakiś ćwierk, i furkot jakiejś maszyny rolniczej w oddaleniu. Zmrok robił się już zupełny, jak to normalnie w środku zimy. Nigdzie żywej duszy, ludzkiej ani zwierzęcej. Tylko my we czterech. – Wyskakuj, Alex bojku – rozkazał Jołop. – Nic wielkiego. Taka sobie wersja skrócona.

Oni zasuwali a ten szafior tylko siedział za kółkiem, palił ryjka i czytał se małą książeczkę. Żeby dojrzeć, miał włączone światełko. Nie zwracał uwagi, co tam Billyboy i Jołop robią Niżej Podpisanemu. A co mi robili, mniejsza o to, w każdym razie tak jakby sapanie i du du du łomot na tle furkoczących maszyn rolniczych i ćwir ćwir ćwirkania w gołych (czyli łysych) gałęziach. W samochodzie pokazywał się pod lampką dymek oddechu i ten tam glińczyk spokojniutko przewracał sobie kartki. A ci przez cały czas pracowali nade mną, braciszku. Wreszcie Billyboy albo Jołop, nie umiem powiedzieć, odezwał się: – Myślę, że to by było na tyle, družku, nie uważasz? – I dali mi na pożegnanie każdy jeszcze po razie w mordę i wykopyrtnąłem się i tak już zostałem na trawie. Był ziąb ale ja nie czułem zimna. A ci otrzepali łapska i założyli z powrotem szłomy na łeb i kurtki, bo je zdjęli, a następnie wsiedli do samochodu. – Zobaczmy się znów przy okazji, Alex – odezwał się Billyboy, a Jołop dał normalnie swój szutniacki rechot. Szafior doczytał stronę do końca i schował książkę, zapalił i odjechali do miasta. Mój były drug i mój były wróg machali na pożegnanie. A ja leżałem podziargany i zeszmacony.

Więcej nie mogłem.

Po jakimś czasie dopiero mnie rozboleło, a potem deszcz rozpadał się, taki lodowaty. Żadnych ludzi nie było widać, ani domu, gdzie by świeciło się. Dokąd ja mam iść nie mający domu i w karmanach ledwie parę kopiejek? Popłakawszy sobie bu hu hu huuu wstałem jakoś i poszagałem.

Do domciu, do domciu tęskniłem, do domciu, i faktycznie do DOMCIU trafiłem, o braciszku. Szedłem ja przez mrok i nie w stronę miasta, tylko tam, skąd było słycać ten szum jakby maszyny rolniczej. I znalazłem się jakby we wsi, co wydała mi się znajoma, ale może wsie (niby że wszystkie) wsie mają ten sam wygląd, zwłaszcza po ciemku. Tu domki stały, tam znów jakaś pijalnia, a całkiem na końcu wsi taka malutka dacza, sawsiem sam na samo gwałt i adzinoko, i dojrzałem nazwę połyskującą na furtce. Tam było napisane DOMCIU. Cały ociekałem tym lodowatym deszczem, więc moje łachy to już był nie szczyt mody, bo wyglądały pieczalno i raczej wzruszająco, bujny mój przepych zamienił się w mokry szajsowaty i rozczochrany kołtun przylepiony do czaszki, cały ryj miałem na pewno w siniakach i krwihakach, a kilka zębów kiwało się luzem, jak ich doruszyłem jęzorem czyli chlipadłem. I na całej płyci byłem obity, obolały i bardzo spragniony, tak że rozdziawiałem co chwila pysk na zimny deszcz, a żołądek mi cały czas burczał grrrr przez to, że od rana już nic nie jadłem, a i wtedy niewiele, o braciszku moi.

Skoro już napisano DOMCIU, a nuż ktoś mi tutaj pomoże? Otworzył ja furtkę i jakby ślizgnąwszy się po ścieżce, a deszcz zamieniał się w lód, zapukałem cicho i błagalnie do drzwi. Nikt się nie zjawił, więc postukałem troszkę dłużej i mocniej, i dopiero dało się słyszeć, że ktoś zaszagał do drzwi. Potem drzwi się uchylili i głos męski zapytał: – Tak? o co chodzi?

– Och – stęknąłem – proszę mi pomóc. Policjanci pobili mnie i porzucili na drodze, żebym umarł. Och, błagam pana o coś do picia i czy mógłbym się zagrzać przy ogniu.

Tagda otworzyły się drzwi na roścież i zobaczyłem w środku jakby ciepły blask i płomienie po trzask trzaskujące. – Wejdz – zaprosił ten członio – kimkolwiek jesteś. Boże ci dopomóż, biedna ofiara, wejdz i niech ci się przyjrę. Więc potykając się wszedłem i nie było żadne udawactwo dla sfingu, o braciszku, naprawdę zeszmacyony byłem i wykończony. Ten pocziwy chryk objął mnie za plecza i wciągnął do pokoju z tym ogniem i natyrlik od razu wiedział ja, gdzie jestem i dlaczego DOMCIU na tej furtce pokazało mi się takie znajome. Patrzyłem ja na tego członia i on patrzył się na mnie, tak życzliwie, i teraz już dokładnie go sobie przypominałem. On zaś mnie natyrlik nie mógł zapamiętać, bo w tamte dni beztroskie ja i moi tak zwani družkowie zawsze wykonywaliśmy co większe draki, łomot i figle, i zachwat w maskach, a to było naprawdę horror szoł jako przebranie. On był nieduży w średnim wieku, tak ze trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt i miał pingle na klufie. – Usiądz przy ogniu – zagał – a ja ci przyniosę łyskacza z gorącą wodą. O jej jej, ktoś cię naprawdę pobił. – I obejrzał ze współczuciem mój łeb i ryj.

– Policja – wyjaśniłem. – Ta koszmarna policja.

– Kolejna ofiara – powiedział i tak jakby wzdychnął. – Ofiara nowoczesności. Przyniosę ci tego łyskacza, a później muszę ci trochę opatrzyć te rany. – I poszedł. Rozejrzałem się po tej udobnej małej izbuszce. Teraz były tu ciut nie same książki, kominek i parę krzesel i jakoś dało się widzieć, że fifa tu żadna nie mieszka. Na stole pisząca maszynka i mnóstwo jakby skotłowanej bumagi no i przypominałem sobie, że ten członio to pisarz. No tak: MECHANICZNA POMARAŃCZA. Aż dziwne, że to mi utkwilo. Ale nie mogę się zdradzić, bo teraz potrzebuję pomocy i życzliwości. Te okrutne dziobane wybladki w tym zafajdanym białym domu tak mi zrobili, że siejczas konieczna mi jest pomoc i życzliwość: i przymusili mnie, żebym ja sam fundował innym pomoc i życzliwość, jeżeli ktokolwiek zechce je przyjąć.

– Proszę się częstować – zagał ten członio powracając. Wręczył mi ten gorący i ożywczy stakan do wypicia i od razu poczułem się lepiej, a potem opatrzył mi te rany na pysku. I powiedział: – Teraz weź gorącą kąpiel. Napuszczę ci wannę. A później wszystko mi opowiesz przy dobrej

gorącej kolacji, którą przygotowuję, kiedy ty będziesz się kąpał. O braciszku moi, o mało bym się popłakał, taki był dobry. I chyba wypatrzył mi w oczach te stare łzy, bo mi powiedział: – No już dobrze, dobrze – poklepując mnie serdecznie po plecach.

W każdym razie poszedłem i wziąłem tę gorącą kąpiel, a on przyniósł dla mnie piżamę i na wierzch podom, wygrzane przy ogniu, a także bardzo stare znoszone tufle. I poczułem się, braciszku, choć obolały i gdzie nie doruszyć tam bolesny, że wkrótce poczuję się lepiej. Zszedłem na dół i patrzę, a on już naszykował w kuchni stół, a na nim widelce i noże i fajny, gromadny bochen chleba, i bulelka PRIMA SAUCE i za moment podał wielkolepną jajko śmajkownicę z kusocz-kami szynki, do tego rozpękające się kiełbaski no i wielkie gromadne kubasy gorącego i słodkiego czaju z mlekiem. Było po prostu wunder bar tak siedzieć w ciepłku, jeść, i okazało się, że jestem bardzo zgłodniawszy i po jajecznicy przyszło mi się pożerać jedną po drugiej pajdy chleba z masłem i dżemem truskawkowym z gromadnego dużego słoja. – Dużo lepiej mi – powiedziałem. – Czy i jak zdołałem się odwdziżyć?

– Chyba wiem, kim jesteś – powiedział. – A jeżeli tak i się nie mylę, to trafiłeś, przyjacielu, w sam raz gdzie trzeba. Czy nie twoje zdjęcie było dziś rano w gazetach? Czy nieszczęsna ofiara tej okrutnej nowej techniki to właśnie ty? Bo jeżeli tak, w takim razie zesłała cię tu Opatrzność. Najpierw torturowany w więzieniu, potem wyrzucony z niego, aby dalej mogła cię torturować policja. Szczerze ci współczuję, mój biedny biedny chłopcze. – Ani słowa nie zdołałem wtrącić, braciszku, chociaż japsko miałem rozpachnięte i gotowe odpowiadać na jego pytania. – Nie ty pierwszy się tu pojawiaasz w takim stanie – wyjaśnił. – Policja lubi przywlekać ofiary swe na okrainy tej wsi. Ale to naprawdę opatrznościowe, że ty, będący też ofiarą innego rodzaju, tu się znalazłeś. A może słyszałeś o mnie?

Musiałem bardzo uważać, bracia. Odrzekłem: – Słyszałem coś o *Mechanicznej pomarańczy*. Nie czytałem jej, ale słyszałem.

– Ooo – powiedział i ryj mu pojaśniał jak słońce w ognistej chwale poranka. – Teraz mi opowiedz o sobie.

– Niedużo jest do powiedzenia – odrzekłem pokornie – szanowny panie. Zdarzył się taki chłopięcy i głupi wybryk. Moi tak zwani przyjaciele namówili mnie, a raczej zmusili, żebym się włamał do domu jednej starej psiochy, to znaczy damy. Nic złego nie miałem na myśli. Niestety ona tak w kość dała swemu poczciwemu, staremu sercu, starając się mnie wyrzucić, chociaż i tak byłem gotów wyjść po dobrej woli, że umarła. Więc oskarżono mnie o spowodowanie jej śmierci. No i wsadzono, proszę pana, do więzienia.

– No no no, mów dalej.

– A potem wybrał mnie ten Minister Spraw Niewdzięcznych czy też Wewnętrznych, aby wypróbować na mnie tę nową sztuczkę, tak zwaną technikę Ludowycka.

– Opowiedz mi o tym – zakrzyknął, nachylając się do mnie pożądliwie, a łokcie u swetra miał całe w dżemie truskawkowym z talerzyka, który ja odsunąłem na bok. Więc wszystko mu opowiedziałem – wszyściutko – wsio – braciszku moi. Słuchał aż mu się uszy trzęsły, patrzaliki świeciły i usto przyotwierało, a tłuszcz na talerzach zastygał stygł i zastygł. Kiedy skończyłem, wstał od stołu, raz po raz kiwając i robiąc hm hm hm zbierał ze stołu talerze i całe to barachło, nosił do zlewu.

Ja powiedziałem:

– Chętnie to pozmywam, proszę pana.

– Ty sobie odpocznij, biedaku – odkazał i tak odkręcił kran, aż para zaczęła pyrkać. Nie jesteś wolny od grzechu, jak sądzę, ale ukarano cię całkiem po drakońsku. Przerobili cię na coś innego niż

istota ludzka. – Odebrano ci możliwość wyboru. Skazany jesteś na postępowanie według stereotypu, jaki akceptuje zbiorowość, jakby taka maszynka zdolna wyłącznie do czynienia dobra. No i wyraźnie to widać: cała ta kwestia uwarunkowań ubocznych. Muzyka i stosunek płciowy – literatura i sztuka – wszystko teraz musi być nie przyjemności źródłem, tylko męczarni.

– Tak jest, proszę pana – odrzekłem, kopiąc jego rakotwora z korkowym filtrem.

– Oni zawsze chapną za dużo – powiedział, jakby w zamyśleniu wycierając talerz. – Ale ich podstawowy grzech to sama intencja. Człowiek niezdolny wybierać to już nie człowiek.

– To samo powiedział kapłan – wciąłem się. ~ – To znaczy ksiądz kapelan więzienny.

– Aha, tak powiedział? Oczywiście. No bo musiał, a jak, skoro to chrześcijanin? No – przemówił, wciąż, wycierając ten sam talerz co dziesięć minut temu – wobec tego jutro zaprosimy tu parę osób na spotkanie z tobą. Chyba da się z ciebie, mój biedaku, zrobić użytek. Mógłbyś przyczynić się do wyrzucenia na zbity pysk tego bezczelnego Rządu. Zmieniać porządnego młodzieńca w jakiś nakręcany mechanizm, słowo daję, to nie tytuł do chwały dla jakiegokolwiek bądź rządu! chyba dla takiego, co pyszni się stosowaniem przymusu i represji. – Mówiąc to krugom wycierał ten sam talerz.

Więc powiedziałem: – Proszę pana, pan wyciera wciąż ten sam talerz. Zgadzam się z panem co do tego chwalenia się. Ten rząd to chyba się głównie przechwala.

– Och – zrobił, jakby pierwszy raz w życiu ujrzał ten talerz, i odstawił go. – Jeszcze mi nie za dobrze idą – wyjaśnił – te zajęcia domowe. Wszystko to robiła moja żona, a mnie zapewniała spokój, żebym tylko mógł pisać.

– Pańska żona? – spytałem. – Czy odeszła od pana? – Bo naisto chciałem się dowiedzieć, co z tą jego zakonną, którą bardzo dobrze zapamiętałem.

– Tak, odeszła – rzekł takim bardzo gromkim i rozgoryczonym głosem. – Rozumiesz, umarła. Została brutalnie zgwałcona i pobita. Nie przeżyła szoku. Stało się to w tym domu – grabki mu się trzęsły, ścisnął w nich ścierkę – tam, w sąsiednim pokoju. Musiałem się bardzo przełamać, aby nadal tu mieszkać, ale ona by sobie życzyła, abym pozostał tu, gdzie ciągle się unosi jej wonne wspomnienie. Tak tak tak. Biedna moja dziewczynka. – Zobaczyłem to wszystko wyraźnie, o braciszku, co działo się tej odległej nocy, i samego siebie przy tej robocie, już zaczęło mi się zbierać na wymiot i baszka mnie rozboleła. On to widział, bo czułem, jak mi odchodzi z ryja cała czerwo czerwona krew, morda mi zupełnie pobladła i on musiał to widzieć. – Przygotowałem ci pokój gościnny. Biedny mój biedny chłopcze, to musiało być dla ciebie straszne. Ofiara nowoczesności, tak samo jak ona. Biedna moja biedna dziewczynka.

5

Tej nocy spało mi się naprawdę horror szoł, braciszku, żadnego tam drzymu, a na zawtra było jasno i wziął przymrozek, i z dołu dochodził bardzo krasiwy zapach jakby śniadanka smażącego się. Dopiero po chwili wspomniało mi się, gdzie jestem, jak to u mnie zawsze, ale zaraz wróciło i poczułem się ujutno, ciepło, bezpiecznie. Ale kiedy się tak wylegiwałem, czekając, aż mnie zawoła na zawtrak, przyszedł mi ten błysk że powinienem wiedzieć, jak się nazywa ten opiekuńczy i jakby macierzyński członio, więc ruszyłem po cichu boso na poszukiwanie tej *Mechanicznej pomarańczy*, w której musi być jego nazwisko, jak on to naścibolił. W mojej sypialce nic więcej nie było jak to wyrko i krzesło i lampa, więc polazłem do sąsiedniego pokoju, który był jego, i tam na ścianie zobaczyłem tę żonę, jego zakonnicę, takie duże foto w powiększeniu, aż mi się znowu przypomniało i

ciut jakby zemdliło. Ale było też kilka półek z książkami no i tak jak myślałem znalazła się ta *Mechaniczna pomarańcza* i z boku, tak jakby na kręgosłupie, napisane było nazwisko F. Alexander. God Gospod, pomyślałem, on też jest Alex. I pokartkowawszy w niej (stojąc w jego piżamie i boso, ale nie marznąc, bo tam było wszędzie ogrzane) i tak się nie mogłem połapać, o czym to jest. Wydała mi się napisana jakby w takim bezumnym stylu, krugom ach! i och! i podobny szajs, ale jakby coś z niej wynikało, to chyba to, że obecnie wszystkie wpychle (znaczy się ludzie) przerabiani są na maszyny i że tak naprawdę wszyscy oni, ty i on i ja i całujta mnie w rzopsko, to jakby w naturze rośli tak jakby owoce. I zdaje się ten F. Alexander uważał, że my wszyscy jakby rośniemy na takim drzewie życia (on to nazwał) i w sadzie życia, który ten God czy Gospod niby posadził, a jesteśmy dlatego, że temu Godu czy Gospodu chce się pić i właśnie nami ugaszać swe pragnienie miłości, czy jakiś podobny szajs. Nie podobał mi się cały ten szum i bełkot, o braciszku, i zastanowiłem się, czy ten F. Alexander tak po nastojaszczy nie z uma szedłszy, a wdrug przekreśliło mu się od śmierci jego zakonnicy? Ale zawołał mnie z dołu głosem całkiem normalnego mudaka, radosnym i lib lib kochającym i cały ten szajs, więc Pokorny Sługa Wasz i Niżej Tu Podpisany wziął i zszedł na dół.

– Ale długo spałeś – powitał mnie, wyławiając ugotowane jajka i spod gryla wyciągnąwszy czarnego tosta. – Już prawie dziesiąta. Ja pracuję od wielu godzin.

– Pisze pan jakąś nową książkę? – spytałem.

– Nie nie, teraz nie o to chodzi – odkazał i siedli my przyjemnie po drużeski do stołu przy tym trach trach trach jajek i chrup chrup-chrup chrup tostów z czarnego chlebka, a czaj z mlekiem ogromnym stał obok w tych porannych dużych wielkich kubasach. – Nie. Tylko dzwoniłem do różnych ludzi.

– Zdawało mi się, że pan nie ma telefonu – wyrwało mi się, kiedy wygarniałem to jajko i przez moment nie uważałem, co mówię.

– Dlaczego? – spytał, nagle czujny jak ten bystry zwierzak, zatrzymawszy w ręku łyżeczkę z jajkiem. – Skąd ci przyszło do głowy, że nie mam telefonu?

– A nic – odkazałem – nic – nic. – I zastanowiłem się, braciszku, co też on zapamiętał z początku tej odległej nocy, jak podlażłem do drzwi wstawiać tę starą gadkę i z prośbą, czy mogę zadzwonić po doktora, a ona mi odkazała, że w domu nic ma telefonu. Łypnął na mnie tak bardzo uważnie, ale od razu stał się znów cały miły i przyjacielski i też łyżeczkował to jajko śmajko. I tak sobie wpięprzając powiedział:

– Dzwoniłem do różnych osób, które twoja sprawa mogłaby zainteresować. Bo nadajesz się jako broń, i to mordercza, w walce o to żeby obecny zły i nikczemny Rząd nie obronił się w nadchodzących wyborach. Rząd najbardziej ze wszystkiego chełpi się tym, jak w ubiegłych miesiącach poradził sobie z przestępczością. – Znów przyjrzał mi się uważnie nad parującym jajkiem, a ja znów zastanowiłem się, czy on widzi, jaką rolę odegrałem w jego życiu? Podjął: – Ta rekrutacja młodocianych, brutalnych zbirów do policji. To wdrażanie prowadzących do ubezwłasnowolnienia i wymózgłowania technik asocjacyjnych. – Tyle długich słów, bracia, i ten wariacki błysk w oku. – Wszystko to już widzieliśmy – ciągnął – w innych krajach. Ten klin od wąskiego końca wbijany i coraz szerszy. Ani się obejrzymy, jak będziemy tu mieli pełny system rządów totalitarnych. – O ho ho, pomyślałem, jajcząc sobie i chrupiąc tosta.

– A co ja mam do tego? – spytałem.

– Ty – odkazał, ciągle z tym błyskiem obłądu – jesteś żywym świadectwem tych szatańskich pomysłów. Ludzie, zwyczajni ludzie muszą dowiedzieć się i zrozumieć. – Wstał od jedzenia i zaczął chodzić tam i nazad po kuchni, od zlewu do spiżarki, wygłaszając na całe gardło: – Czy chcą, żeby ich synowie tym się stali, co ty, biedna ofiaro? Czy teraz już sam Rząd będzie rozstrzygał, co jest

zbrodnią a co nie jest, i wypruwał życie i kiszki i wołę każdemu, kto by nie podzielał opinii Rządu? – Troszkę się uspokoił, ale do jajka nie wrócił. – Napisałem artykuł – oznajmił – dzisiaj rano, kiedy ty spałeś. Ukaże się z twoim litość budzącym zdjęciem jutro albo pojutrze. Ty go podpiszesz, biedaku, takie wyliczenie krzywd, jakie ci wyrządzili.

Spytałem:

– A co pan będzie miał z tego? To znaczy oprócz monalیزی, co wypłacą za ten, jak pan mówi, artykuł? To znaczy dlaczego jest pan taki napalony, jeśli wolno spytać, przeciw temu Rządowi?

Chwycił się za brzeg stołu i odkazał mi, zgrzytając kaflami, które miał szmucyk i oczeń szajsowate od rakotworów: – Ktoś z nas musi walczyć. Bronić wielkich tradycji naszej wolności. Nie jestem po niczyjej stronie. Gdziekolwiek ujrzę nikczemność, tam staram się ją wytępić. Nazwy stronnictw i partii są niczym. Tradycja wolności jest wszystkim. Zwyczajnym ludziom nie zależy na niej, a skądże. Gotowi są sprzedać wolność za spokojniejsze życie. Dlatego trzeba im dostarczać bodźca! bodźca! – Tu złapał widelec, o braciszku, i dziabnął nim kilka razy w ścianę, aż cały się pogiął, i pizgnął nim o podłogę. Po czym rzekł oczeń spoko i po drużeski: – Najedz się, mój chłopcze, biedna ofiara współczesnego świata – i było jak na balszój oczewidno, że dostaje świra. – Jedz sobie, jedz. I to jajko moje tak samo zjedz.

A ja zapytałem:

– A co ja będę z tego miał? Czy wyleczą mnie z tego, jaki jestem? Czy będę mógł znowu słuchać *Symfonii z chórami* żeby mnie przy tym nie rwało do wymiotu? Czy będę mógł prowadzić normalne życie? Co ze mną będzie, proszę pana?

Przyjrzał mi się, o braciszku, jakby to nie przydumało mu się do łba i w ogóle co za porównanie z Wolnością i całym tym szajsem! i wyglądał na zaskoczonego tym, co powiedziałem, jakby to było samolubne, że ja chciałbym też coś dla siebie. A potem rzekł: – Och, przecież mówię, że ty jesteś żywym świadectwem, biedaku. Zjedz to śniadanie i chodź, przeczytasz sobie, co napisałem, bo to zaraz pójdzie w *Tygodniowej Fanfarze* pod twoim nazwiskiem, ty nieszczęsna ofiara.

No cóż, braciszku moi, to co napisał, to taka bardzo długa i płaksiwa kobyła, że jak czytałem, to aż mi się robiło po nastojaszczy żal tego bidnego malczyka jak opowiada co wycierpiał i jak to Rząd go własnej woli pozbawił i jak wszyscy powinni zrobić z tym szlus żeby taki niecharoszy i podły Rząd już nikagda bolsze nimi nie rządził: i rozumie się w końcu dotarło do mnie, że ten bidny a cierpiący malczyszka to nikt inny tylko Wasz Pokorny N.P. – Doskonale – powiadam. – Przekrasne i horror szoł. Wielkolepno iżeś panie mój to napisawszy. – A on przyjrzał mi się na to bardzo uważnie i zagabnął:

– Co? – jak gdyby dotąd nie słuchał.

– Och – powiadam tak się mówi po nastolacku. Wsie malczyki używają, proszę pana, tego bałachu. – Więc on poszedł do kuchni zmywać po zawtraku, a ja zostałem się w tym pożyczonym ciuchu nocnym i tuflach czekając, aby zrobili ze mną to co mają zrobić, bo własnych planów nie miałem, o braciszku.

Kiedy wielki F. Alexander zatrudniał się w kuchni z posudą, u drzwi się rozdało ding dong ding dong. – No – krzyknął i pokazał się wycierając łapy – to właśnie oni. Już otwieram. – Poszedł ich wpuścić i w przedpokoju zrobił się szum i takie huhuhu gadu gadu i cześ cześ co za pogoda i co słyhać. Potem władowali się do pokoju tu gdzie ogień prygął na kominku i kniga i artykuł o moich cierpieniach i zrobili ooooo! na mój widok. Była ich trójka i F. Alex podał mi ich nazwiska. Jeden był Z. Dolin i ciągle chr chr chr i kasłu kasłu nie wyjmując peta z mordy i rzeziło w tym członiu i kopcił obsypując się z przodu popiołem i grabkami strzepując go sobie z łachów jakby nie

cierpiawszy i w nerwach. Był to malutki, okrągły i tłusty człono w pinglach, grubych, w ciężkiej oprawce. Drugi był Coś Tam Coś Tam Rubinstein, bardzo wysoki, kulturalny i głos miał dżentelmena, taki wytworny, bardzo stary i z brodą jakby udziuganą w jajku. No i trzeci z nich D. B. da Silva. prędko w ruchach i roztaczający woń perfum. Wszyscy mi się tak horror szoł przyjrzwawszy i chyba nie posiadali się z radości, co widzą. Pierwszy Z. Dolin tak zagaił:

– Dobrze – dobrze – co? Ten chłopak to znakomity chwyt – może podziałać. Co najwyżej – rozumie się – gdyby tak miał wygląd jeszcze gorszy i tak na żywego trupa. Czego się nie robi dla sprawy. Na pewno coś da się wymyślić.

Nie spodobał mi się ten żywy trup, o braciszku moi, więc siepnąłem: – Co tu jest grane, drużkowie? Przecz to za pomyśluch gwoli bratu swemu się wam telepie?

Tu nagie wchlupotał się F. Alexander:

– Dziwne, dziwne, jak ten rodzaj głosu mi w coś trafia. Na pewno musieliśmy się gdzieś spotkać. – I zadumał się tak jakby zmarszczywszy brew. Trzeba mi na to uważać, oj, braciszku. Mnie zaś D. B. da Silva tak odpowiedział:

– Chodzi głównie o spotkania publiczne. Ogromnie to nam pomoże, jak będziemy cię pokazywali na wiecach. Z tym wiąże się oczywiście prasa. Postawi się na zrujnowane życie. Musimy rozpalić w nich serca. – I pokazał wszystkie trzydzieści i coś tam kafli, bardzo białych na tle ciemnego lica, przez co wygląd miał ciut po niemnożku jak inostraniec.

Więc ja na to: – Nikt jeszcze nie powiedział, jaką z tego ja będę miał korzyść. Torturowany w więzieniu, wyrzucony z domu przez własnych rodziców i tego ich nadętego brudasa lokatora, zlinczowany przez gromadę staruchów i mało nie zabity przez gliniarzy! co ze mną będzie? – Tu włączył się Rubinstein:

– Przekonasz się, chłopcze, że Partia ci okaże wdzięczność. Na pewno. Gdy to wszystko już dobiegnie końca, spotka cię mała i bardzo korzystna niespodzianka. Tylko musisz poczekać.

– Ja chcę tylko jednego wrzasnąłem – żebym znów był normalny i zdrow jak za dawnych czasów! i miał ciut niemnożku ubawu z prawdziwymi kumplami, a nie z takimi, co tylko nazywa się że drużkowie, a po nastojaszczy to zdrajcy! Czy to potrafiacie zrobić? Czy ktoś może mnie przywrócić do tego, czym byłem? Tego chcę! i to właśnie chcę wiedzieć!

Chrr chrr – zrobił Z. Dolin kasłu kasłu. – Męczennik dla wielkiej sprawy Wolności – powiedział. – Masz odegrać swą rolę i o tym pamiętaj. A na razie zajmujemy się tobą. – I zaczął mnie głaskać po lewej grabie jak duraka, obszczerzając się jak z uma szedłszy. Aż wykrzyknąłem:

– Co mnie traktujecie jak rzecz do użycia! Nie jestem durak, żebyście mnie robili w konia, wy głupie skurwle. Głupie to są jakieś zwyczajne przystupniki, a ja nie jestem ani jakiś tam zwyczajny, ani jołop dla was. Paniatno?

– Jołop – rzekł jakby z namysłem F. Alexander. – Jołop. Tak na kogoś mówili. Jołop.

– E? – spytałem. – Co ma to tego Jołop? Co pan wie o Jołopie? I wyrwało mi się: – Och, panie Boże dopomóż. – Nie ponraził mi się ten wyraz w ślepiach F. Alexandra. Poszedłem do drzwi, żeby iść na górę po swoje ciuchy i zmywać się stąd.

– Prawie zdawało mi się – wymówił F. Alexander pokazując te zafajdane kafle, a w głazach jak z uma szedłszy. – Ale to się nie może zdarzyć. Bo w razie – Jezu Chryste – gdyby – to ja bym go rozdarł. Na dwoje bym go rozłupał i rozpruł, jak pragnę Boga mego jedyne, tak – tak – zrobiłbym to.

– No już – już – powiedział D. B. da Silva głaszcząc go po klatce jak pieska się uspakaja. – Wszystko to już minęło. To byli zupełnie inni ludzie. Musimy pomóc temu biedakowi. Tego wymaga od nas Przyszłość i Nasza Sprawa.

– Ja tylko zabiorę ciuchy – bałaknąłem już koło schodów – to znaczy ubranie i pójdę sobie sam na samo gwałt i adzinoko. Znaczą się, chciałem powiedzieć, wszystkim panom tu jestem bardzo wdzięczny, ale muszę sam troszczyć się o własne życie i koniec. – Bo już było mi po nastojaszczy pilno wydostać się stąd.

Ale ten Z. Dolin powiedział:

– O nie, nie. Mamy cię, przyjacielu, i nie wypuścimy tak łatwo. Pójdiesz z nami. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. – I bystro podszedł, aby mnie apiać złapać za łapsko. To błysnęło mi już, braciszku, że pora walczyć, ale na myśl o walce już zechciało mi się upaść i rzygnąć, no to stałem i tyle. A później dostrzegłem ten jakby szal czy obłęd w ślepiach F. Alexandra i mogłem tylko powiedzieć:

– Jak sobie chcecie. Bo macie mnie w rękę. Tylko bierzmy się do tego i kończyć, braciszku. – Bo teraz chciałem już tylko wydostać się z tego DOMCIU. Przestało mi się podobać to jakby spojrzeń w głazach F. Alexandra.

– W porządku – włączył się Rubinstein. – Więc ubieraj się i ruszamy.

– Jołop jołop jołop – wciąż mamrotał z cicha F. Aleksander. – Czym albo kim był ten Jołop? – Znalazłem się na górze w try miga i byłem ubrany w niecałe dwie sekundy. A następnie z tymi trzema na dwór i w gablo. Rubinstein siedział mi po jednej stronie, po drugiej Z. Dolin chrr kasłu kasłu, a D. B. da Silva prowadził do miasta i pod blok w pobliżu mojego bloku czyli rodzinnego żyłiszca. – Chodź, wysiadamy, chłopcze – powiedział Z. Dolin i zakaszał, aż mu się czubek rakotwora wetknięty w mordę rozżarzył czerwono jak małe palenisko. – Tu się wprowadzasz. – No to weszliśmy i w holu na ścianie znowu nabazgrane coś z tej Godności Trudu, i winda, na górę, braciszku, i do żyłiszca takiego jak wszystkie żyłiszca we wszystkich blokach tego miasta. Malu malutkie, dwie sypialki, jedna bywalnia (czyli stoło żyło roboło co by nie było) i w niej stół calutki w knigach i bumagach i atrament i butle i tym podobny szajs.

– Tu będzie twój dom – oznajmił D. B. da Silva. – Rozgość się, chłopcze. Jedzenie znajdziesz w tej szafce. Piżama w szufladzie. Odpoczywaj, niespokojny duchu.

– He? – spytałem nie sawsiem zrozumiawszy.

– W porządku – odezwał się Rubinstein tym starym głosem. – Zostawiamy cię tu. Mamy coś do zrobienia. Pokażemy się znów trochę później. A na razie znajdź sobie jakieś zajęcie.

– Aha – odkaszał się Z. Dolin chrr kasłu kasłu – jeszcze jedno. Widziałeś, co się przebudziło w udręczonej pamięci naszego przyjaciela F. Alexandra. Czy aby nie – ? – Chciałem powiedzieć, czy nie ty – ? – Wiesz chyba, co mam na myśli. Nie można dopuścić, żeby to dalej poszło.

– Zapłaciłem ja na to. God Gospod sam najlepiej wie, że zapłaciłem za wszystko. Nie tylko za siebie, ale i za tych skur wy bladych synów, którzy nazywali się moimi kumplami. – Aż chuć i poczucie gwałtu mnie ogarnęło i poczułem się zaraz niedobrze. – Trochę się położę – skazałem. – Wszystko to, co przyszło mi się znieść ostatnio, to było prze u żasne i kropne.

– Było – zgodził się D. B. da Silva i pokazał wsie trzydzieści zębów jak nie więcej. A położył się.

No i zostawili mnie, braciszku. Poszli zająć się swoimi sprawami, co to pewnie polityka i cały ten szajs, a ja leżałem na wyrku, sam na samo gwałt i adzinoko cicho i spoko. Tak po prostu leżałem skopawszy but ze stóp i rozluźniwszy halsztuk, do imentu oszołomiony i bez pojęcia, jakie ma być teraz moje życie. I we łbie leciały mi różne obrazki – różnych ludzi, jakich spotkałem w rzygole i Wupie i różności, co mi się przytrafiły – i jak w całym przeogromnym świecie niet ani jednego człowieka, któremu by można zaufać. Po czym zadrzemałem, o braciszku.

Zbudziłem się usłyszawszy muzykę za ścianą, po nastojaszczy gromko, i jak raz ona wytargała

mnie z tej troszeczki snu. Była to symfonia, którą znałem horror szół i prawie na pamięć, ale jej nie słyszałem od lat, mianowicie *Symfonia Nr 3* tego duńskiego flimona, co nazywa się Otto Skadelig, bardzo huczny i gwałtowny utwór, szczególnie w pierwszej części, co akurat leciała. Posłuszałem jej tak ze dwie sekundy ciekawie i z radością, a potem jak mnie chwyci ten początek bólu i mdłości, aż sieknęło mi głęboko w kiszkach. A potem ja, tak bardzo kochający się w muzyce, czołgałem się z łózka i sam do siebie och och och i zaraz łubudu du du w ścianę z wrzaskiem:

– Przestać, przestać, wyłączyć! – A tam grało i jakby coraz głośniej. Waliłem w ten mur aż kostki zrobiły mi się całe z krwi czerwono czerwonej i skóry w strzępach, skrzyzczeć i wrzeszczać, ale muzyka nie ucichła. Aż dostałem pryduki, że muszę od niej uciec, to wypadłem z tej malutkiej sypialki, do drzwi wyjściowych, a te od zewnątrz zakluczone i nielzia wydostać się. A muzyka huczy coraz to głośniej i głośniej, jakby naumyślnie torturowali mnie, o braciszkwie. Aż wepchnąłem sobie małe palce tak po nastojaszczy w głąb uszu, ale puzony i kotły też się przedzierały zupełnie gromko. Wzięłem się znów ryczeć i wrzeszczeć, aby przestali, a w mur piąchami łup łup i łubudu du! ale nic a nic z tego nie wynikło. – Och, co ja mam robić?

– zawyłem do samego siebie i bu hu hu. Oeh, Boże, zlituj się nade mną! – Tak się objąłem po całym żyłiszczu w tym bólu i mdłościach, starając się jakoś odgrodzić od muzyki i stękając aż jakby z głębi kiszek, a potem na kupie knig i bumagi i tym podobnego szajsu na tym stole w bywalni zobaczyłem, co muszę zrobić i co chciałem zrobić, aż te próchniaki w Publo Bibliotece, a potem Jołop i Billyboy przebrani za gliniarzy, powstrzymali mnie, to znaczy skończyć ze sobą, wyciągnąć kopyta, prysnąć raz i nawsiegda z tego parszywego i wrednego świata. Bo zobaczył ja słowo ŚMIERĆ na okładce takiej broszurki, chociaż oni ŚMIERĆ zapowiadali tylko RZĄDOWI. Jakby zrządzeniem losu druga broszurka miała na okładce akoszko i napis: *Otwórz okno na świeże powietrze, Świeżą myśl i nowy styl życia*. Jakby mi ktoś podskazał, że mam skończyć z tym wyskoczywszy. Może chwilę zabołek i już, spoko i spać nawsiegda i na zawsze.

Muzyka wciąż bluzgała na wylot przez mur, ten mosiądz i bębny i smyczki na kilometr wysokie.

Okno w pokoju, gdzie się położyłem, stało na roścież. Podszedłem i wyjrzałem pionowo w dół na samochody i basy i przechodniów. I uwrzasnął się ja do świata: – Żegnaj, żegnaj, i niech ci God Gospod przebaczy to zmarnowane życie! – Wylażłem na parapet, muzyka huczała mi z lewej, zamknąłem oczy i poczułem na ryju zimny wiatr i skoczyłem.

6

Wyskoczyłem ja, o braciszkwie, i ciężko się łomotnąłem o chodnik, ale żebym wykorkował, to nie. Przecież jakbym się zabił, to bym nie mógł napisać tego, co napisałem. Chyba nie z takiej wysokości skoczyłem, żeby się zabić. Ale pogruchotałem se grzbiet nadgarstki i giczoły i strach powiedzieć, jak bolało, aż mi się film urwał, braciszkwie, a zdumione i porażone mordy wybałuszały się na mnie z góry. A jak mi się urywał film, to w ostatniej chwili poniał ja, że na tym ohydny i przeohydny świecie ani jeden człowiek nie jest po mojej stronie i że te muzykę za ściana, też ustroili ci moi niby to nowi przyjaciele i że jak raz tego było im nużno dla tej ich okropnej chełpliwej i samolubnej polityki. To błysnęło mi w jednej miliono milionowej części tej chwili, w której porzucałem świat i niebo i gapiące się nade mną pyski.

No i gdzie wróciłem do życia z długiej czarnej i czarno czarniutkiej pustki, która mogła trwać

milion lat, jak nie w szpitalu? w bieli i w tym szpitalnym zapachu, co się go aplikuje, taki jakby kwaskowaty i kłiwy i czysty. Te środki odkażające, które wam ładują w szpitalach, to powinny mieć jakiś horror szół zapach jak smażona cebulka albo kwiaty. Bardzo powoli wróciło mi wreszcie, kim jestem, cały owinięty byłem w coś białego i w cielsku nie odczuwałem nic a nic, bólu ani czucia, w ogóle nic. Głowę miałem całą w bandażu i jakieś kawałki czegoś tam poprzylepiane do mordy, graby też obandażowane i jakby z patykami rozpołożonymi wzdłuż palców, jakby to były kwiatki jakieś i żeby prosto wyrosły, a moje bidne stare nożyska całe wyciągnięte i na całość bandażu, klatki jakby z drutu, w prawą zaś grabę u samego plecza kapąła czerwo czerwona krew z odwróconego słoika. Nic jednak nie czułem, o braciszku. Przy łóżku siedziała pielęgniarka zaczytawszy się w knidze bardzo niewyraźnie drukowanej, ale widno, że jakiś razkaz, bo mnóstwo w niej rozmów i dyszała przy tym uch uch uch, więc musiał to być jakiś razkaz o tym starym ryps wyps tam i nazad. Dziuszka była po nastojaszczy horror szół, usto miała ba ba bardzo czerwone i rzęsy takie długie ponad gładkami, a pod jej oczeń wysztywnionym fartuchem widać było takie grudki że horror szół. Więc bałaknąłem: – Jak leci, małaż ty moja siostrzyczko? Pójdź tedy a uczyń w łozu z družkiem twym przyjebne pokładanko. – Ale słowa mi nie wyszły tak horror szół, jakbym usto miał zeszywniale, i stwierdziłem wymacawszy chlipadłem że niektórych zębów już nie ma. Ale ta pielęgniarka zerwała się, aż kniga jej poleciała na podłogę, i przemówiła:

– Ooo! więc odzyskaliśmy świadomość.

Za wielki bałach w usto dla malutkiej psiczki, jak ona, to jej próbowałem powiedzieć, ale wyszło mi tylko yczenie jakieś yy! y! i nic więcej. Wyszła i zostawszy ja sam na samo gwałt i adzinoko dopiero zobaczyłem, że leżę w osobnym pokoiku, a nie na takiej dłuugiej sali. gdzie trzymali mnie jako drobnego rybionka, pełnej kasłu kasłu zdychających wokół próchniaków, żeby ci się prędzej odechciało chorować, tylko aby wyzdrowieć i uciec. Miałem wtedy coś jakby dyfteryt, o braciszku.

A siejczas tak jakbym nie mógł za długo utrzymać tej przytomności, bo prawie od razu apiać jakby przysnąłem, w try miga, ale za minutkę czy dwie znów mi się wydało jak gdyby pewne, że ta psiczka wróciła i przywiodła ze sobą kilku w białych płaszczach i ci oglądali mnie umarszczywszy się i robili hm hm hm do Niżej Podpisanego. A z nimi jakby na pewno był ten stary kapłon z Wupy i zagajał: Och, synu, synu mój – i dychał na mnie tym zaprzalym a smrodliwym łyskaczem i znów się wywnętrzał: Ale dłużej bym nie został, o nie! Nie mógłbym przyłożyć ręki do tego, co te sukinsyny będą wyprawiać z innymi nieszczęsnymi przystupnikami. Więc rzuciłem to i obecnie wygłaszam kazania, chodzę i mówię to ludziom, ukochany mój synku w Jot Cha.

Potem znów się obudziłem i kogo ja widzę przy moim łóżeczku jak nie tych trzech, co im wyprygnąłem z akoszka! czyli D. B. da Silva i Coś Tam Coś Tam Rubinstein i Z. Dolin we własnej osobie. – Przyjacielu – zagał jeden z nich, ale nie mogłem się rozejrzeć ani dosłyszeć który – mały nasz przyjacielu – snuł ten głos – ludzie pałają z oburzenia. Zadałeś cios śmiertelny tym ohydny, chełpliwym łajdakom i już nie mają szans na przejście w wyborach. To kres ich rządów na zawsze i raz na zawsze. Wspaniale się przysłużyłeś sprawie Wolności.

Staralem się odpowiedzieć:

– A jakbym zdechł, to byłoby jeszcze łuczsze dla was, polityczne skur wy bladki wy syny, a co, może nie, zdradzieckie wy po przyjaźni łgarze i w kant naciągacze. – Ale wyszło mi tylko yy y. Następnie jeden z trójki wyciągnął do mnie jakby plik wycinków z gazet i dojrzałem strach budzące foto samego siebie, całego we krwi, jak mnie taszcza na noszach i tu nieożydnym przypomniałem sobie te pykające światła, na pewno fotografów. Jednym okiem wyczytałem nagłówki tak jakby trzęsące się w łapie u trzymającego, w rodzaju CHŁOPIEC OFIARĄ KRYMINALNEJ REFORMY albo RZĄD

W ROLI ZABÓJCY i do tego foto jakby znajomego drewniaka z podpisem AUT AUT AUT i był to chyba Minister Spraw Niewdzięcznych i Wewnętrznych. Po czym ta dziuszka pielęgniarka orzekła:

– Nie można go tak denerwować. Nie powinniście go wyprowadzać z równowagi. A teraz proszę stąd wyjść.

Próbowałem powiedzieć:

– Aut aut aut! – ale wyszło znów y! y! y! Wsio taki ci trzej politycy się wynieśli. I ja też udałem się, tylko że apiać ku ziemi, w tę czarność rozjaśnianą tylko dziwnymi snami, nie wiadomo, czy drzym, czy jawa, o braciszku moi. Przydumało mi się na przykład, że cała moja płyć (to znaczy cielsko) jakby opróżnia się z czegoś w rodzaju brudnej wachy i na to miejsce wpływa czysta. Też powtarzał się przekrasny i po nastojaszczy horror szoł drzym jak siedzę w ukradzonej gablocie jakiegoś flimona, sam na samo gwałt i adzinoko jeżdżąc sobie tam i nazad po świecie i rozjeżdżając wpychli, co krzyczą, że – Umieram! – i nie odczuwając bólu ani mdłości. Śniły mi się też rozmaite psiczki, że robię im to stare ryps wyps tam i nazad, że nasilno przewracam je na ziemi i gwałt! i gwałt! a wszyscy stoją dookoła i klaszczą w łapska i radują się jak z uma szedłszy. A potem znów się obudziłem i patrzę, a tu moi ef i em przyszli w odwiedziny do chorutkiego synka i moja em wyprawia takie bu-hu-huuu że wprost horror szoł. Teraz już mogłem dużo lepiej mówić i odezwałem się:

– No no no no proszę, i co jest grane? może wam się zdaje, że jesteście tu mile widziani? – Mój tatata odpowiedział tak jakby zawstydzony: – Pisali o tobie w gazetach, synu. Że cię bardzo skrzywdzono. Jak to Rząd cię popchnął do targnięcia się na własne życie. I my w pewnym sensie też byliśmy winni, synu. W końcu twój dom, synu, to jednak twój dom. – A maciocha wciąż robiła do tego bu hu huuu i wyglądała tak ohydnie jak całuj mnie w rzopsko.

Więc bałaknąłem:

– Co azaliż twe poczynia Joe nowe syniszcze? Zdrów i dobrze ma się i dostatnio, wierę a modłę.

Maciocha zaś na to:

– Och, Alex Alex. Ouuuuuuu. – A mój tatata:

– Bardzo niefortunnie się stało, synu. Miał trochę kłopotów z policją i załatwili go.

– Naprawdę? – powiadam. – Naprawdę? Taki porządny człowiek i w ogóle. Zaiste dziw mnie ogarnia.

– Patrzył swego nosa i nikomu nie wadził – powiada ef. – A policja mu się kazała rozejść. Bo stał na rogu, synu, umówił się tam z dziewczyną i czekał na nią. A oni do niego, że ma przechodzić, więc powiedział, że ma prawo jak każdy, wtedy oni się rzucili na niego i okropnie go zbili,

– To straszne – powiadam. – Naprawdę straszne. I gdzie się podziewa ten biedny chłopak?

– Ouuuuu – zabuhuczała mac. – Pojechał do domuuuuu.

– Tak – potaknął ef. – Pojechał z powrotem do swej rodzinnej miejscowości, aby się wylizać.

Więc na jego miejsce do pracy już musieli przyjąć kogo innego.

– No i teraz – odrzekłem – chcecie, żebym do was się znów sprowadził i żeby wszystko było po staremu.

– Tak, synu – skazał tatata. – Proszę cię, synu.

– Zastanowię się – powiedziałem. – Przemyślę to sobie bardzo starannie.

– Ouuuuu – zawyła macica.

– Och. zamknij że się – powiedziałem – albo dam ci powód, żebyś naprawdę miała czego wyć i lamentować. Bo ci przykopię w zęby. – I – o braciszku moi to powiedziawszy zaraz się poczułem ciut łuczsze, jakby świeża krew czerwona czerwona popłynęła mi nagle po wszystkich żyłach. Było nad czym się zastanowić. Jakbym po to, aby mi było lepiej, musiał coś tak robić, aby

gorzej.

– Tak nie mówi się do matki, synu rzekł mój tatata. – W końcu ona cię wydała na świat.

– Aha – odrzekłem. Na ładny mi świat smrodliwy i zafajdany. Zacisnąłem powieki jak gdyby z bólu i skazałem: – Już idźcie. Pomyślę o tym powrocie. Ale dużo by trzeba zmienić.

– Dobrze, synu – rzekł ef. – Co tylko zechcesz.

– Musicie się zdecydować – powiedziałem – kto rządzi.

– Ouuuu – nie ustawała mać.

– W porządku, synu – odpowiedział tatata. – Wszystko będzie, jak zechcesz. Tylko wyzdrowiej.

Kiedy poszli sobie, leżałem i myślałem co nieco o różnych rzeczach, jakby pod czaszką przesuwały mi się najróżniejsze obrazki, a kiedy wróciła ta dziuszka, pielęgniarzka, tak jakby wygładzić mi prześcieradła, to ją spytałem:

– Jak dawno tu jestem?

– Około tygodnia – odpowiedziała.

– I co ze mną robili?

– No cóż – powiedziała – byłeś cały połamany i potłuczony i doznałeś poważnego wstrząsu i straciłeś niemało krwi. Musieli z tym wszystkim zrobić porządek, nieprawda?

– Ale czy ktoś – zagabnąłem – robił coś z moją baszką? To znaczy chciałem zapytać, czy nie majdrowali mi tam coś wewnątrz mózgu?

– Cokolwiek by robili – odrzekła – to na pewno ci wyjdzie na dobre.

Ale w parę dni potem zjawiono się dwóch takich doktorków, młodych i słodziutko ułębniętych, i przynieśli jakby książkę z obrazkami. Jeden zagaił: Chcemy, żebyś sobie na to popatrzył i powiedział nam, co myślisz o tych obrazkach. Zgoda?

– Co jest grane, moi mali drużkowie? – spytałem. Jakież to miawszy pomysłu na mózgowiu świeże a nierozumniech? – Więc obaj się jakby zakłopotawszy obśmiali z tego i usiedli po dwóch stronach wyrka i rozpachnęli tę książkę. Na pierwszej stronie było zdjęcie jakby gniazda pełnego jaj ptaszęcych.

– Słucham? – odezwał się jeden z doktorków.

– Gniazdo ptasie – odrzekłem – z jajami. Bardzo fajne.

– I co byś z tym zrobił? – zapytał drugi.

– Och – powiadam. – Rozpirzgnąłbym. Złapałbym to wszystko i pierdyknął o ścianę albo skałę, czy o coś tam i popatrzyłbym, jak to się horror szoł tak fajnie rozbryzga.

– Dobrze dobrze – powiedzieli obaj i kartka się przewróciła. Na tym obrazku był taki, no, wielki gromadny ptak, co się nazywa paw, ogon miał krugom rozpostarty we wszystkich kolorach, pysznie tak i chełpliwie. – Słucham? – rzekł jeden z doktorków.

– Byłoby niepłoch – powiadam – wydziargnąć mu z ogona te wszystkie pióra i postuszać, jak wrzeszczy gwałtu retyle! aż by posiniał. A co się tak pyszni.

– Dobrze – zabałakali obaj – dobrze dobrze dobrze. – I dalsze odwracali te kartki. Były tam obrazki takich bardzo horror szoł fajnistych dziobek i psiczek, to ja powiedziałem, że warto by im zasunąć to stare ryps wyps tam i nazad: i do tego fest ultra kuku. Były takie obrazki, że flimon jakiś dostaje but w samego ryja i krugom niczewo tylko ta czerwo czerwona jucha krasna i ja na to, że owszem, chętnie bym się przyłączył. I był też obrazek, na którym ten stary gołoguzy brat i swat naszego kapłona taszczy swój krzyż pod górę: i ja powiedziałem, że pasowałby mi ten młotek i gwoździe. Dobrze dobrze dobrze! więc ja powiadam:

– Niby co takiego?

– Głęboka hipnopedia – rzeki jeden z nich, albo jakieś podobne słowo. Chyba jesteś już

wyleczony.

– Wyleczony? – powiadam. – Przykuty do tego wyrka i ty gadasz mi że wyleczony? Uch ty, czerepizdą nakryty!

– Poczekaj – wkluczył się drugi. – Już niedługo.

No to czekałem i czułem się, braciszku moi, coraz lepiej, wpieprzając te jajka śmajka i kusoczki tostu i złopiać gromadne wielkie kubasy czaju z mlekiem, aż któregoś dnia powiedziano mi, że będę miał bardzo bardzo bardzo wyjątkowego gościa.

– Kogo? – spytałem, jak oni mi wygładzali pościel i czesali mój bujny przepych, bo z głowy bandaże już miałem zdjęte i kudły mi z powrotem odrastały.

– A zobaczysz, zobaczysz – odkazywali. No i zobaczyłem. O drugiej trzydzieści po południu zwalili się chyba wszyscy fotografowie i ci z gazet, co mają notesy i ołówki no i cały ten szajs. I mało nie zatrąbili wielkiej fanfary ku czci tego ogromnego ważniaka, który przyjechał zobaczyć się z Nizej Podpisanym. No i wkroczył, i oczywiście był to nie kto inny, tylko Minister Spraw Niewdzięcznych i Wewnętrznych, odziany w sam szczyt mody i tak wytwo ho ho hornie przemawiający. Błysk błysk i trrrach poszły w ruch kamery na to, jak on zafundował mi grabę. A ja powiadam:

– No no no i proszę. Cóż jest aliści grane, o stary mój družku? – Tak zupełnie chyba nikt nie poniał, co bałaknałem, ale ktoś odezwał się ostro:

– Więcej szacunku, chłopcze! mówisz do Ministra.

– Jaja – warkłem na niego jak psiuk. – Wielkie ci jajka śmajka wzdyc i twoim tak samo.

– Dobrze, dobrze! – wkluczył się bystro ten Minister Spraw Nie i We Wnętrznym. – Rozmawiamy sobie na stopie przyjacielskiej, nieprawdaż, synu?

– Ja dla każdego jestem przyjacielem – odrzekłem – z wyjątkiem wrogów.

– A kimże są twoi wrogowie? – spytał Minister, a te z gazet fagasy nic tylko skrybu skrybu i pisu pisu. – Czy mógłbyś nam to powiedzieć, mój chłopcze?

– Każdy, kto mnie skrzywdzi – powiadam – to mój wróg.

– A więc – rzekł Minister od Nie i We Wnętrznym – ja i Rząd, do którego należę, chcemy, abyś nas uważał za przyjaciół. Tak jest, przyjaciół. Doprowadziliśmy cię do porządku, nieprawdaż? Masz najlepszą opiekę lekarską. Nigdy w życiu nie chcieliśmy twej krzywdy, ale są tacy, którzy chcieli jej i chcą w dalszym ciągu. Chyba orientujesz się, o kogo chodzi.

Tak, tak, tak – posuwał. – Są pewni ludzie, pragnący cię wykorzystać, tak jest, wykorzystać w celach politycznych. Byłoby im to na rękę, tak jest, na rękę, gdybyś nie żył, bo myślą, że wtedy udałoby się im zwalić odpowiedzialność za to wszystko na Rząd. Wiesz chyba, co to za ludzie.

Jest pewien osobnik – ciągnął Mini od Nie i We Wnętrznym – niejaki F. Alexander, autor literatury wywrotowej, co ryczał i domagał się twojej krwi. Oszalał z pragnienia, żeby ci wpakować nóż w serce. Ale już nie będzie ci zagrażał. Wzięliśmy go pod klucz.

– A miał być jak družek – powiedziałem. – Był mi jak matka rodzona! taki on był.

– Bo dowiedział się, że go skrzywdziłeś. Przynajmniej – poprawił się Mini oczeń bystro – pomyślał i uwierzył w to, że go skrzywdziłeś. Wbił sobie do głowy, że jesteś odpowiedzialny za śmierć kogoś bliskiego mu i drogiego.

– Znaczy się – bałaknałem – że mu ktoś powiedział.

– Był o tym przekonany – rzekł Mini. – Był niebezpieczny. Więc zamknięto go dla jego własnego dobra. Jak również dodał – dla twojego.

– To miłe – rzekłem. – To zaiste miłe z waszej strony.

– Kiedy stąd wyjdiesz – truł dalej Minister – nie będziesz miał żadnych kłopotów. O wszystko

się zatroszczymy. Będziesz miał dobrą pracę i wysokie zarobki. Bo nam pomagasz.

– A pomagam? – ja na to.

– Przyjaciołom zawsze się pomaga, nieprawdaż? – i złapał mnie za grabę, a ktoś zawołał: – Uśmiech! – i ułybnałem się nie pomyślawszy, jak z uma szedłszy, i zaraz błysk błysk i trzask błysk trrrrach porobili zdjęcia mnie i Ministrowi od Nie i We Wnętrz jacy z nas przyjaciele. – Dobry z ciebie chłopiec powiedział ten wielki członio. – Grzeczny i dobry chłopczyk. A teraz, no proszę, mały prezencik.

I cóż oni wnieśli, o braciszku, jak nie wielkie błyszczące pudło i od razu wiedziałem, co to. A to było stereo. Postawili mi je przy wyrku i otworzyli i jakiś fagas wetknął jego przewód do gniazdko w ścianie. – Co ma być? – zapytał jakiś pinglarz w oczkach na klufie i w rękach trzymawszy mnóstwo ślicznych, błyszczących koszulek pełnych muzyki. – Mozart? Beethoven? Schönberg? A może Carl Orff?

– Dziewiąta – rzekłem. – Niezrównana Dziewiąta.

I poszła *Dziewiąta*, o braciszku moi. Tamci się zaczęli grzecznie, cicho i spoko wygrużać, a ja leżałem z zamkniętymi oczyma, słuszając tej przewoschodnej muzyki. – Dobry, dobry chłopiec – powiedział Mini Wnętrz i poklepał mnie w plecko też się wyniósł. Tylko jeden członio, zostawszy, powiedział mi: Proszę się tu podpisać. – Uchyliłem powiek na tyle, żeby podpisać, nie wiedząc, o braciszku moi, co podpisuje i nawet się tym nie interesując. Po czym zostawili mnie już samego z tą przecudowną *Dziewiątą* Ludwika Van.

Och, co za wspaniałstwo i niam niam niam. Jak zaczęło się *Scherzo* to już widziałem tak dokładnie samego siebie, jak biegnę i biegnę jakby na oczeń leciutkich i tajemniczych nogach, robiąc moją brzytwą do gdryk ciach ciach po całej mordzie wrzeszczącemu światu. A przede mną jeszcze była ta część powolna i ta wunder bar ostatnia śpiewająca. Byłem wyleczony jak trza.

7

– To co teraz, ha?

Byłem ja, Wasz Pokorny a Piszący Te Słowa, i trzech moich kumpli, to znaczy Len, Rick i Bycho, a Bycho zwał się Bycho z powodu że miał to gromadne grube szyjsko i takie na balszój gromkie głosiszcze, kak raz budź to wielki jakiś gromadny byk ryczał boouuuuu. Siedzieli my w Barze Krowa zastanawiając się, co zrobić z tak pięknie rozpoczętym, a wieczór był chujnia mrok ziąb zima sukin kot choć suchy. Wszędzie krugom jakieś wpychle już dobrze na haju od tego co plus welocet i syntemesk i drenkrom, i jeszcze taki siaki maraset, co cię wynosił poza ten niecharoszy nastojaszczy świat do takiego kraju, gdzie idzie zobaczyć Pana Boga i Wsiech Jego Aniołów i Świętych w lewym buciorze i do tego rozbłyski prysk i bryzg na całe mózgłowie. A doiliśmy stare mleczko z żyletami w środku, tak się u nas mówiło, żeby się naostrzyć i być gotów na niemnożko tego brudnego, co to dwadzieścia w jedno, ale znacie już ten cały razkaz.

Wszyscy byliśmy jak z żurnała wycięci, to znaczy według tamtej mody oderżnięci, w bardzo szerokie sztany i bardzo luźne czarne połyskliwe skórzane jakby kubraki na rozpiętą koszule, z takim jakby szalikiem wetkniętym pod szyją. I był tagda sam szczyt mody, żeby se dać starą brzytwą po głowie, tak że baszka była ciut nie sawsiem łysa i tylko z włosami po bokach. Ale na starych nożyskach wciąż to samo: te buty po nastojaszczy horror szoł wielkie i gromadne w sam raz żeby mordę wkopać do środka.

– To co teraz, ha?

Byłem jakby najstarszy w naszej czwórce i wsie patrzyli na mnie jak na woźatego, ale dostawałem nieraz takiej przydumki, że Bychowi już łązi po czaszce, czy aby nie przechwycić, niby że taki gromadny w sobie i że ten głos gromki wydobywa się z niego, kiedy wkroczy na wojenną ścieżkę. Ale pomysły, o braciszku moi, to szły zawsze od Niżej Podpisanego: no i w dodatku liczyło się, że ja byłem ten sławny i miałem swoje zdjęcia i artykuły o mnie w żurnalach i cały ten szajs. A do tego miałem też najlepszą robotę z naszej czwórki, niby w tym Centralnym Archiwum Narodowym jako spec od muzyki przy gramopłytach i za to całkiem horror szoł kasabubu połuczałem co tydzień do karmana i jeszcze na boczku mnogo mnogo fajniutkich płyt dla samiutkiego siebie za bezdurno.

Tego wieczora w mołoczni Pod Krową był cały tłum normalnie muzyków i psioch i dziuszek i małyszów, a wszystko śmiejaszczce i dudłące, i przez ten szumny bałach i bełkot tych, co już w trakcie na orbicie, z tym ich: – Gropsze pychnie tu pad fallikniego i roba czmucha we prąg zabiczupelni prze trupajcach! – i przez cały ten szajs przebijał się jakiś dysko pop na stereo i to był Ned Achimota śpiewający: *Ten dzień, oj, ten dzień!* Przy barze siedziały trzy dziule oderżnięte w sam wierch mody nastolowatej, znaczy się, długie nie uczesane włosy wykraszone na białe i sztuczny cyc wysterczony na metr albo więcej, i uch uch jakie obcisłe spódniczki, krótkie, a pod nimi wsio białe i aż pieniące się, i Bycho wciąż powtarzał: – Ej, posunęli by my w to, we trzech. Staremu Lenowi nic zależy. Niech się stary Len obszcza ze swoim Bogiem. – A Len tylko powtarzał: – Jaja że ci śmaja. Gdzie ten duch? że wsie za jednego i jeden za wsiech, no gdzie, bojku? – Nagle poczułem się oczeń oczeń ustawszy i równocześnie pełen jakby takiej łaskotliwej energii, więc powiedziałem:

– Aut aut aut aut raus.

– Raus a dokąd? – zapytał Rick z mordą jak u żaby.

– A tak normalnie luknąć, co się hapanie na tym ogromnym świecie – odparłem. Ale w rzeczy samej, o braciszku, czułem się po nastojaszczce znudzony i jakoś tak beznadziejnie, a to czuwanie nieraz mnie zaskakiwało w tych dniach. Więc odwróciłem się do jakiegoś członia, co siedział koło mnie na tej długiej pluszowej ławie, ciągnącej się u ścian krugom po całej mołoczni, do tego, znaczy się, członia, co tak bulgotał na cyku, i piąchnąłem go tak oczeń bystro ech ech ech w brzuch. Ale on daże nie poczuł, braciszku, i dalej bulgotał swoje: – Przeto jak cnototo pod prę gdzież na kłamaszcie i po popkormaku? – Więc my raz i wytoczyli się w tę wielką zimową noc. I dawaj po Marghanita Road, a że patrole mili poli cyjne dużo się tam nie udzielały, więc natrafiwszy my na starego chryka, co jak raz wracał z kiosku wyszedłszy po gazetę, bałaknąłem ja do naszego Bycha: – No, fajno fajno, Bychu bojku! wolność, jeśli chuć po temu czując i łakniesz. – W tych czasach już coraz to częściej wydawałem tylko rozkazy i z boku się przyglądałem, jak oni je wykonują. Tak i tu Bycho wziął mu ładować uch uch uch, a tamci dwaj go podcięli, aż ruchnął, i kopali go cha cha śmiejaszczce leżącego, a potem dali mu odpełznąć damoj, tam gdzie mieszkał, tak jakby skowytającemu sobie cichutko.

Bycho powiedział:

– Może by tak czegoś stakanczyk niam niam na rozgrzewkę, o mój Alexie? – Bo niedaleko mieliśmy do Księcia Nowego Jorku. Tamci dwaj kiwnęli że tak tak tak! ale wszyscy łypiąc na mnie, czy będzie zgoda. Więc ja też kiwnąłem i poszliśmy. W tym ujutnym zakątku wysiadywały stare psiochy czyli pudernice, czyli babulki, co nawierno pamiętacie, jak mówiłem o nich na początku, i zaczęły to swoje: – Dobry wieczór, chłopcy, niech was Bóg błogosławi, chłopcy, jesteście najlepsi na świecie, tak jest, chłopcy! – wyczekując, kiedy od nas usłyszą: – To co sobie każemy, dziewczuszki? – Bycho dał na dzwonek i wszedł kelner, trąc sobie łapska o szajsowaty fartuch. – Dziengi na stół,

drużkowie! – zagał Bycho, wygarniając brzdęk brzdęk i truru ru swój stosik monałyzy. – Po Szkocie dla nas i tożę dla tych starych babuszek, no nie?

A ja na to:

– Ech, do diabła! Same niech kupią. – Nie wiedziałem, co jest, ale ostatnio taki się zrobiłem płoch i niecharosz. Dostałem takiej przydumki, jakby łapczywej chuci, że schowam to całe kasabubu dla siebie, jak gdybym na coś zbierał.

A na to Bycho:

– Co jest, braciszku? Co naszło starego Alexa?

– Ech, do diabła – powiadam. – Nie wiem. A bo ja wiem. To jest, że mi się odniechciało wyrzucać moje ciężko zarobione kasabubu. Oto co jest.

– Zarobione? – powiada Rick. – Zarobione? Tego się nie zarabia, stary drużku, chyba ty wiesz najlepiej. Bierze się i tyle, po prostu bierze, ot tak. – I jak dał się gromko w śmiejaszczy rechot, zobaczyłem, że ma parę kafli w mordzie nie tak za bardzo horror szoł.

– Ach – bałaknąłem trza pomyśleć. – Ale widząc, jak te babulki palą się, żeby sobie chlapanć spirtnego za bezdurno, wzruszyłem plecami no i też wygarnąłem swoje dziengi z karmanu w sztanach, bilon i papierki, wszystko zmieszane, i pizgnąłem to brzdęk chrzęst na stół.

– Dla wszystkich obecnych po szkocie, służyć! – powiedział kelner. A ja czegoś odkazałem:

– Nie, chłopie, dla mnie piwko, małe.

Tutaj Len się wciął:

– Na to bym nie poleciał – i zaczyna mi przykładać graby do czaszki, niby taka zgrywa, że mam gorączkę. Ale ja na niego warknąłem jak psiuk, żeby odstał natychmiast. – Dobrze już, dobrze, drużku – margnął. – Tyś zaiste powiedział. Ale Bycho zagał się, rozpachnąwszy usto, na coś wydobytego przeze mnie z karmana razem z dziengami, które szwyrgnąłem na stół.

– No no no – powiedział. – Kto by pomyślał.

– Oddaj mi to – warknąłem i bystro mu grabnąwszy. Ale nie potrafiłbym wytłumaczyć, skąd się tam wzięło, braciszku, dość że była to fotografia, którą wyciąłem ze starego żurnała, pokazująca malutkiego rybionka. Ten niemowlak robił gu gu gu i przy tym całe mleko jakby mu wyciekało z ryja i łypał do góry, tak jakby ułybawszy się do wsiech, całkiem gołoguzy i płyć miał w takich jakby fałdkach, bardzo tłusty rybionek. No i zrobiło się takie ciut jakby ho ho ho w tym szamotaniu się, żeby mi odebrać ten kusoczek bumagi, więc znów musiałem warknąć na nich i grabnąłem to zdjęcie, i podarłem je na drobniutkie strzępki i rzuciłem na podłogę jak niemnożko śniegu. Po czym zjawił się łyskacz i te stare babulki rozdarły się: – Na zdrowie, chłopcy! Panie Boże was pobłogosław, chłopcy! Nie ma na całym świecie lepszych niż wy, chłopcy! – i cały ten szajs. A jedna, do imentu w bruzdach i zmarszczkach, a zębów to już wcale nie mająca w tej uschniętej mordzie, zagała: – Nie drzyj pieniędzy, synu. Jeżeli ci nie są potrzebne, to daj takim, którzy ich potrzebują! – co było z jej strony bezumno zuchwałe i odważne.

Ale Rick odpowiedział.

– Pieniądze to wżdyć nie były, o babuszko. Jeno zdjęcie, a na nim taki śliczniutki bejbus ciutki kochaniutki niemowlutki.

Odparłem:

– Po prostu mam tego po gardło i ustawszy, oto, co jestem. Bejbusie to wy jesteście, łobuzerka. Rechotać i obszczerzać się, i podśmiechujki, to wszystko, co potraficie! i po tchórzowsku dawać ludziom wielki łomot, jak nie mogą wam oddać.

Wkluczył się Bycho:

– No proszę, a wsiegda zdawało nam się, że od tego ty akurat jesteś największy król i pierwszy

uczyciel, stary drużku! No nie. Z tobą jest właśnie ten kłopot.

Gapił się ja na ten ohydny stakan piwa, stojący przede mną jak chuj na stole, i w środku czułem się tak rzygotliwie, że w końcu zrobiłem: – Aaaaach! – i chlusnąłem cały ten spieniony, śmierdzący szajs na podłogę. A jedna ze starych psioch powiedziała:

– Kto traci, ten się nie bogaci.

– Posłuchajcie wy mnie, drużkowie. Widzicie. Tej nocy jestem czegoś nie w humorze. Sam nie wiem, jak i dlaczego, ale to fakt. Idźcie sobie tej nocy wy trzej własną drogą. Ja się wyłączam. Na zawtra spotkamy się w tym samym czasie i miejscu: mam nadzieję, że już będę się czuł dużo lepiej.

– Och – powiedział Bycho – jakże mi przykro. – Ale w głazach mu było widno takie jakby światełko, że na tę noc on przejmie woźactwo. Oj, ta władza władza, każdy jej pragnie. – Możemy odłożyć do jutra – powiedział Bycho – cożeśmy poczęli w umyśle swym. Czyli ten skok na sklepy przy Gagarin Street. Pyszny horror szoł zachwat leży i czeka, drużku, tylko brać i połuczać.

– Nie – odparłem. – Niczego nie odkładajcie. Walcie i już! tyle że w swoim własnym stylu. No – powiedziałem – to ja spadam. – I podniosłem się z krzesła.

– A dokąd? – zapytał Rick.

– Tego nie wiem – odrzekłem. – Pobyć sam ze sobą i tyle: i rozebrać się w tym i owym. – Zrazu było widno, że te stare babuszki dostają naprawdę zagwozdkę, czemu ja tak odchodzę i do tego jakby posępny, a nie ten bystry i śmiejaszczy malczyk palczyk, co go pamiętacie. Ale ja skazałem: – Ach, do diabła, do diabła – i wygruziłem się na ulicę sam na samo gwałt i adzinoko.

Było ciemno i zrywał się wiatr ostry jak nóż, i niedużo wpychli się szwendało po mieście. Owszem, te patrolujące glinowozy z brutalnymi polucyjnikami w środku jakby krążące i od czasu do czasu, gdzieś na rogu, widziało się paru bardzo młodziutkich gliniarczyków, jak tupią na ten kurewski ziąb i wypuszczają parujący oddech w zimowe powietrze, o braciszkwie. Chyba już po nastojaszczy mnóstwo tego starego ultra gwałtu i złodziejstwa wymierało, jako że milicyjniaki zrobiły się tak brutalne z każdym, kogo złapali, chociaż z drugiej strony to była już taka jakby wojna między wrednymi nastolami a gliniarzami, którzy stali się bystrzejsi z majchrem i brzytwą, i pałą i nawet ze spluwą. Ale co się wtedy działo ze mną, to że jakby niezbyt mnie już obchodziło. Jakby się załęgło we mnie coś na miękko i nie mogłem zrozumieć: dlaczego? Sam nie wiedziałem, czego chcę. Nawet i muzyka, której lubiłem słuchać w moim małym malutkim żyłiszczu, była taka, z której mógłbym się dawniej ześmiać, o braciszkwie. Słuchałem więcej takich jakby maciupkich pieśni romantycznych, co to je nazywają *Lieder*, sam głos i fortepian, niczewo bolsze, takie bardzo ciche i jakby tęskne, inne niż w czasach, kiedy były to wsiegda gromadne wielkie orkiestry i ja leżałem w łóżku pośrodku skrzypiec i puzonów i kotłów. Coś działo się we mnie i zastanawiałem się, czy to jakby taka choroba, czy to, co wtedy ustroili ze mną, mącąc mi w głowie i kto wie, czy nie robiąc mnie po nastojaszczy z uma szedłszym.

Więc tak rozmyślając ze schyloną baszką i z grabami wbitymi w karmany kalotów szatałem się ja po mieście, o braciszkwie, i wreszcie poczułem się bardzo ustawszy i że jest mi bardzo potrzebna duża, fajna czaszka starego czaju z mlekiem. O tym czaju dumając ujrzałem nagle jakby swój malunek, że siedzę przed wielkim ogniem w kominku, na fotelu, dojąc ten czaj, a co było zabawne i oczeń oczeń cudackie, to że jakby przemieniłem się w bardzo starego człowieka, lat może siedemdziesiąt: bo widziałem swe włosy, całkiem siwe, i miałem też wąsy, identiko siwiutkie. Widziałem samego siebie jako starego chryka, siedzącego przy ogniu, a potem znikł ten jak gdyby obraz. Ale było to bardzo dziwne.

Doszedłem do jednej z tych kafejek i czajnych, braciszkwie, i przez długie długie akoszko widziałem, że pełno w niej ludzi sawsiem nudnych i tępych, jakby całkiem zwyczajnych, mających te

bardzo cierpliwe mordy bez wyrazu i nie chcących nikomu szkodzić, jak siedzą i balakają se tak po cichu i dudlą te swoje nieszkodliwe, poprawne czaj i kawę. Władowałem się do środka i dawaj do kontuaru, i wziąłem fajny gorący czaj z dobawką jak się patrzy mleka i przeszedłem do któregoś ze stolików i usiadłem, żeby to wypić. A przy tym stoliku siedziała już dwójka młodych, pili coś i kurzyli se rakotwory z filtrem i gadu gadu, i śmiali się do siebie po cichu, ale ja nie zważałem na nich i dojąc, tak jakby we śnie, główkowałem, co to się we mnie zmienia i co ze mną będzie. W końcu przyważyłem, że ta dziuszka przy moim stoliku z tym członem to jest po nastojaszczy git i horror szoł, nie w tym rodzaju, co żeby obalić i normalnie ryps wyps ryps wyps, tylko że ciało na balszój i lico też i ryj uśmiechnięty i włosy jasne przejasne i cały ten szajs. Po czym ten jej członio, w kapeluszu i mordą siedzący w drugą stronę, odwrócił się, żeby luknąć na gromadny zegar, co tam wisiał na ścianie, i dopiero poznałem jego i on mnie poznał. A to był Pete, jeden z mojej ferajny w czasach, kiedy byli w niej Żorzyk i Jołop, on i ja. Pete we własnej osobie i tylko jakby dużo starszy, chociaż nie mógł teraz mieć więcej niż te dziewiętnaście z kawałkiem, i miał ciut wąsa na ryju i regularny garnitur (czyli starychowski ciuch na dzionyszek) i kapelusz. To ja zagabnąłem:

– No no no, drużku, jak leci? Tyle tyle czasu nie widu. – Odpowiedział:

– Mały Alex, nieprawdaż?

– Nikt inny – powiadam. – Dawno dawno dawno, jak przeminąwszy i umarły te piękne dni. No i siejczas bidny Żorzyk, podobnie, spoczywa w piachu, ze starego Jołopa zrobił się rozbestwiony poli mili cyjniak, tu wszelako tyś jest i jam tu jest. I jakoweż to nowiny rzekniesz mi, stary drużku?

– Ale on dziwnie mówi, prawda? – odezwała się ta dziuszka, jakby zachichotawszy.

– To mój stary przyjaciel – zagaił Pete do tej fifki. – Nazywa się Alex. Chciałbym ci – posuwa znów do mnie – przedstawić: to moja żona.

Na to już mi szczęka opadła. Żona? – tak jakby wytchnąłem. – Żona żona żona? Nie! to niemożliwe. Nazbyt młodyś ty do małżeńskiego stanu, mój stary drużku. Nie nie niemożliwe.

Ta dziuszka, niby że zakonnica Pieti (nie nie to niemożliwe) znów zachichrała i mówi do niego: – Czy ty również się posługiwałaś takim językiem?

– No – powiada Pete jakby z ułymbką. – Niedługo mi stuknie dwudziestka. Aż nadto wystarczy, żeby się pobrać, i zrobiliśmy to już dwa miesiące temu. A ty byłeś bardzo młodziutki, tylko nad wiek rozwinięty, pamiętasz.

– Nie – ciągle mnie zatykało. – Tego nie mogę przeskoczyć, stary drużku. Pietia żonaty. No no no.

– Mamy takie nieduże mieszkanko – powiedział Pete. – Bo zarabiam jak dotąd raczej niewiele w Państwowych Ubezpieczeniach Morskich, ale jestem pewien, że będzie lepiej. A moja Georgina -

– Jak się nazywa? powtórz – zagabnąłem, usto krugom rozdziawiając jak z uma szedłszy. Żona Pieti (żona, o braciszkwie) znowu jakby zachichotała.

– Georgina – powtórzył Pete. – Georgina też pracuje. Píše na maszynie, no wiesz. Jakoś wiążemy ten koniec z końcem. – Naisto ani rusz nie mogłem, o bracia, głązów od niego oderwać. Był z niego już całkiem dorosły drewniak i głos miał dorosły i w ogóle. – Musisz powiada Pete nas kiedyś odwiedzić. Wyglądasz jeszcze – pociągnął – bardzo młodo... mimo tych strasznych przejść. Tak tak tak, wiemy o tym wszystko... czytaliśmy. No... ale w gruncie rzeczy ty naprawdę jesteś bardzo młody.

– Osiemnaście – mówię. – Właśnie skończyłem.

– Ach tak, osiemnaście? – zdziwił się Pete. – Już tyle masz. No no no. Kto by pomyślał. Ale – powiada – czas już na nas. I spojrział na tę swoją Georginę tak jakby z miłością, i ścisnął jej grabulę dwiema rękami, a ona jakby mu zwróciła lib lib to spojrzenie, o braciszkwie. – No tak – obrócił się

znów do mnie. Idziemy na party do Grega.

– Co za Grega? – spytałem.

– Ach tak, oczywiście – odkazał Pete przecież ty nie możesz znać Grega. To już nie twoje czasy. Greg pojawił się, jak ciebie nie było. On urządza takie małe party. Przeważnie to wino i gry słowne. Ale bardzo miłe, bardzo przyjemne, no wiesz. Całkiem nieszkodliwe, rozumiesz mnie.

– Tak – powiedziałem. – Nieszkodliwe. Da da, ja poniał wsio po nastojaszczy. – Ta fifka Georgina znów rozchichotała się z moich słów. No i poszagało tych dwoje do swoich zło woniaszczych gier słownych u tego Grega, kto by to nie był. Zostałem sam na samo gwałt i adzinoko nad swoją herbatką z mlekiem, co już ostygła, jakby myśląc i zastanawiając się.

Może jak raz o to chodzi, myślałem. Może robię się już za stary, braciszku, na ten rodzaj życia, jaki prowadzę. Właśnie mi stuknęła osiemnastka. To już nie młody wiek. Mając osiemnaście lat Wolfgang Amadeusz pisał koncerty i symfonie, opery i oratoria i cały ten szajs, nie, co za szajs! tę boską muzykę. No i ten stary Felix Em z uwerturą do *Snu nocy letniej*. I jeszcze inni. A ten niby francuski poeta, do którego słów pisał stary Ben Britt, co wszystko najłuczsze stworzył do piętnastego roku życia, o braciszku moi! Artur miał na imię. Więc osiemnaście to nie taki znów młody wiek. Ale co ja mam zrobić?

Łącząc po tych mrok ziąb chujnia zimowych ulicach, wyszedłszy z czajni i kafejki, wciąż i krugom widziałem te jakby przywidzenia, jakby takie komiksy w żurnalach. Oto idzie Wasz Uniżony Gawędziarz Alex do domciu na fajny i gorący talerz obiadu i oto jego fifka, cała w ułybkach, wita go i pozdrawia lib lib kochająca. Ale nie oczeń horror szoł widziałem ją, bracia, nie umiawszy se przydumać, co to za jedna. Ale przyszedł mi wdrug i wniezapno ten potężny błysk w mózg. że jakbym wszedł do izbuszki drugiej za tym pokojem, w którym pali się ogień na kominku i mój obiad gorący czeka na stole, to bym znalazł to, czego naprawdę chciałem, i teraz wszystko mi się powięzało: ten z gazety wycięty obrazek i to spotkanie ze starym Petem. Bo w tej drugiej komnacie na wyrku leżał i gulgotał sobie gu gu gu mój syn. Tak tak tak, braciszku, mój syn. I poczułem ja w sobie to wielkie gromadne puste miejsce, głęboko w mojej płyci, aż się udziwiłem samemu sobie. Teraz już wiedziałem, o braciszku, co się dzieje.

To się dzieje, że normalnie dorastam.

Da da da, no właśnie. Młodość przemija, nie ma rady. Ale młodość to tylko jakby się było takim, no, częściowo jakby zwierzakiem. Nie, właściwie nie tyle zwierzakiem, co zabawką, wiecie, te małe igruszki, co się sprzedają na ulicach, takie drobne człowiczki, zrobione z blachy i ze sprężyną w środku, a na wierzchu knopka do nakręcania: i nakręcasz go drrr drrr drrr i on rusza, tak jakby szedł, o braciszku moi. I tak idzie, ale po linii prostej i buch wpada na coś, buch, buch i nie może na to nic poradzić. Być młody to być jakby taką maszynką.

Mój syn, mój syn. Jakbym miał syna. wytłumaczyłbym mu to wszystko, kiedy będzie już dostatecznie stary, żeby tak coś z tego zrozumieć. I zaraz poniał ja, że on i tak nie zrozumie albo w ogóle nie będzie chciał rozumieć i robi wszystko to samo, co ja, może nawet ukatrupi jakąś tam bidną starą chryczkę w gromadzie jej miauczających kotów i koszek, a ja go wsio takie nie zdołam powstrzymać. I on tak samo nie zdoła powstrzymać swojego syna, braciszku moi. I tak będzie się kręcić aż do skończenia świata, w kółko i w kółko i w kółko, jak gdyby kolosalny iakiś wielki gromadny człowiek, jakby sam God Gospod (*macie in* mołocznia Pod Krową) wciąż obracał i obracał i obracał śmierdzącą brudną pomarańczę w swoich ogromnych łapskach.

Ale pierwsza rzecz, o braciszku, trza to załatwić i znaleźć tę albo inną dziuszkę, co by została matką tego syna. Zaraz jutro, główkowałem dalej, trza się do tego zabrać. To jest coś jakby nowego do

zdziałania. Trza się wziąć za to. Tak jakbym zaczynał nowy rozdział.

Więc teraz właśnie tak się stanie, o braciszku, jak w tej opowieści już dobiegam do końca. Wszędzie byliście ze swoim drużkiem, z małym Alexem, cierpiąc razem z nim i oglądając najbrudniejszych skurwych synów i wybladków, jakich stary Pan Bóg i Gospod kiedykolwiek stworzył, a wszyscy dawaj na waszego starego drużka Alexa. A wszystko to nie dla czego innego, a tylko dlatego, że byłem młody. Ale teraz, jak kończę tę opowieść, o braciszku, nie jestem już młody, o nie, już nie jestem. Alex, rzecz by można, dorasta, o tak.

Ale gdzie teraz się udam, o braciszku moi, to już sam na samo gwałt i adzinoko, wy ze mną nie pójdziecie. Jutro będzie całe jak te kwiaty pachnące i Ziemia woniaszcza obracająca się i gwiazdy i stary Księżyc tam w górze i Alex, wasz stary przyjaciel, sam na samo gwałt i adzinoko rozglądający się poniekąd za towarzyszką życia. I cały ten szajs. Okropny brudny i cuchnący świat, po prawdzie, o braciszku moi. No to szczęśliwej drogi od waszego małego drużka. A dla wasich pozostałych w tym razkzie szumny i dogłębny koncert na wardze: prrr brrr. I całujta mnie w rzopsko. Ale wy, o braciszku moi, wspomnijcie czasem i podówczas małego Alexa, co był. Amen. I cały ten szajs.

Słowniczek

Nie obejmuje tych neologizmów, które są łatwo zrozumiałe przez kontekst i brzmienie, a z istniejącego żargonu tylko mniej znane. Nie uwzględnia się form zdrobniałych, zgrubiałych i z przedrostkiem, jeśli nie zmienia to w istotny sposób znaczenia tematu, pod którym dane słowo już figuruje. Gwiazdka oznacza wyrazy, które zachowują rosyjski akcent na ostatniej sylabie, a krzyżyk te, które na trzeciej od końca.

abratno: z powrotem

adzinoko: samotnie, **adzinok*: jedyny, niepowtarzalny

akoszko: okno

**apiać*: znów

aut: (1) załatwiony (2) wyłączony (3) na zewnątrz

**balszoi*: wielki, *na balszoi*: na sto dwa

bałach: gadanina

bałaknąć: powiedzieć

**barachło*: rzecz, rupiecie

bas: autobus

baszka: głowa

bezumny: głupi

biblo: biblioteka

biżut: klejnot

blut: krew

bogusław: duchowny, kaznodzieja

bogusławski: kapłański

bojek: chłopak
bombatomba: bomba atomowa itp.
bonziak: ważny urzędnik
borba: walka
bubeł w kubel: przymknąć się
bu hu hu: płacz
bukwa: litera
bumaga: papier
bych: (1) osiłek (2) wykidajło
bystro: prędko
bywalnia: living room
bzdrenga: pstrąg
cepki: łańcuch zwłaszcza od roweru
chamajda: agresywny i wielki cham
charoszy: dobry
chleborak: nieborak z trudem zarabiający na chleb
chlipadlo: język
chojak: prącie
chować się: zachowywać się
chryczka: starucha
chryk: starzec
chuć: ochota
chudoszczawy: chudy
**chujnia*: ohyda, bzdura, kłapa
chwalbisz: (1) samochwał (2) chwalca
ciurmak: strażnik więzienny
cyjniak: policjant
cykacz: serce
cyrkuł: komisariat
czajna: herbaciarnia
czasik: godzinka
czasowy: strażnik
czaszka: (1) głowa (2) filiżanka
**czepucha*: głupstwo
członio: facet
czudacki: dziwaczny
czustwo: uczucie
da: tak
dacza: willa
dalsze: dalej
**damoj*: do domu
**dawaj!* jazda, nuże
daże: nawet
dezynfekalia: śmierdzące środki dezynfekcyjne
dmuchawa: prącie

dobawiać: dodawać
dobawka: dodatek
dogitarzyć: uderzyć
dokazać: udowodnić
dokład: odczyt
dosadzać: dokuczać, drażnić
doskakiewicz: ktoś próbujący wskoczyć na nie swoje miejsce
dowierzać: wierzyć
drenkrom: jakiś narkotyk
drewniak: starzec, dorosły
drug, družek, družoczek: przyjaciel
+drużeski: przyjacielski
družka: przyjaciółka
drzym: sen, marzenie senne
**durak*: dureń
dwadzieścia w jedno: zapewne tyle co palców u rąk i nóg bijącego i kopiącego
dycholatka: dziewczynka 10-letnia
dyndałki: migdałki, jęczyzek itp.
dyżurka: (1) kancelaria (2) gabinet
dziab: zastrzyk
dziarmaga: zbir itd.
dziengi: pieniądze
dziobać się: spółkować
dziobka: dziewczyna
dzionyszek: dzionek
dziula, dziulka, dziuszka: dziewczyna
**dżem ehem*: dżem
ef: ojciec
em: matka
encyklo: leksykon itp.
facio, faćko, faćku: tatuś
fafle: coś obwisłego, wargi, uszy itd.
faty: ojciec
fekaf: ekskrementy
fer: uczciwie
fertyk: (1) gotów (2) orgazm
fifa: kobieta
fifka: dziewczyna
filantro: jałmużna itd.
frojda, frajda frojda: radość, uciecha
fryzjerka: uczesanie
gablo: samochód osobowy
giczka: nóżka
**git galant*: świetnie, w porządku
gliniarczyk: młody policjant

gliniarstwo: policja
glinowóz: samochód policyjny
głaz: oko
głotnąć: łyknąć
gnojnia: (1) więzienie (2) gnojówka
**God Gospod*: Bóg
golec: jednostka monetarna
gołoguz: nagi
grabnąć: chwycić
gramopłyta: płyta gramofonowa
gromadny: ogromny
gromki: głośny
gruda: bryła
grudki: piersi, *grudź*: pierś
halsztuk: krawat
hapnąć się: zdarzyć się
hojdy bojdy: bzdury
horror szol: strasznie świetne
identiko: taki sam
idiocki: głupi
igruszka: zabawka
inostraniec: cudzoziemiec
inostranny: cudzoziemski
izbuszka: pokoik
izbytek, do izbytku: w nadmiarze
jajczyk: jeść jajko
japsko: usta
jechidny: złośliwy, jadowity, przewrotny
jubka: sukienka
kaczkać się: chybotać się idąc jak kaczka
**kafe*: kawiarnia
kafle: zęby
kak raz budź to: całkiem jakby
**kakoj*: co za, jaki
kaloty: spodnie
kapłon: duchowny, kapłan, kapelan
karabkać się: gramolić się
karaul: (1) straż (2) komisariat
**karman*: kieszeń
kartoszka: ziemniak
karypel: mały kurdupel
kasabubu: pieniądze
kazionny: państwowy
kicior: wielki kot, *z kiciorem*: jak się patrzy
kidać: rzucać

kitel: okładka, koperta, płaszcz itd.
klejaszczy: lepki
kluf: dziób, nos
kniga: książka
kochajmysie: ckliwe frazesy
komnata: pokój
knopka: guzik, gałka itp.
kocur: erotycznie nastawiony chłopak lub śpiewak
kojka: łóżko
kornflek: płatki zbożowe
koszka: kot
krasiwy: piękny
krasny: (1) czerwony (2) piękny
kroszka: odrobina
**krugom*: (1) ciągle (2) w kółko
kucza: kupa
kulkowiec: pióro kulkowe
kurwator: kurator
kurza kasza: drobiazg nie wart zachodu
kusoczek: kawałek
kuwszyn: dzbanek
kwacz: brednia, gadanie
lib lib: czulić się itp.
lift: winda
limonek: cytrusowy owoc podobny do małej cytrynki
loch: dziura
lód: brylanty
luknąć: spojrzeć
ładno, nu ładno: no dobrze
łuczsz: lepiej
łyskacz: whisky
macica, maciocha: matka
maćka, maćku: mamusia
majka: podkoszulek
malczyk: chłopiec
malejszy: najmniejszy
małczanie: milczenie
malysz: chłopak
maraset: narkotyki
maty: matka
międzynoże: pachwina itd.
mięsochłap: podłe mięso w formie ochłapów
mili: policja
mizglić: jękliwie skomleć i mazać się
młyn: więzienie

mogutny: potężny
mołocznia: bar mleczny
monaliza: pieniądze
mózgowie: głowa jako siedziba mózgu
mózgolić: mozolnie lub usilnie myśleć
**mudak*: facet
murchły: zmurszały
mużycki: męski
**mużyk*: mężczyzna
nakłonić się: nachylić się
nasilno: gwałtem
nastojaszczy: (1) prawdziwy (2) niniejszy, *po nastojaszczy*: rzeczywiście
nastole: nastolatki
nastolowaty, nastolski: w stylu nastolatków
nastrojenie: nastrój
natyrlík: oczywiście, naturalnie
nawierno: pewnie
ni pry czom: nic nie ma do rzeczy
**niczewo*: nic
*niecharoszy, *niecharosz*: niedobry
**niełzia*: nie wolno
niełowki: niezgrabny
niemnożko: trochę
nieożydno: niespodziewanie
niepłochó: nieźle
nieprzerywno: nieustannie
niesoba: ktoś nie będący sobą lub nie istniejący
niet: nie ma
niewynosimo: nie do wytrzymania
**nikagda*: nigdy
nikudyszny: do niczego niezdatny
niz, w niz: w dół
nużno: trzeba
obezjajec: eunuch
obradować się: ucieszyć się
obszczać się: obcować
obszczerzać się: pokazywać zęby w uśmiechu
ochotno: chętnie
oczeń: bardzo
oczewidno: oczywiste
oczki: okulary
oderżnięty: modnie wystrojony
odkazać: (1) odpowiedzieć (2) odmówić
odkluczyć: (1) otworzyć z klucza (2) odłączyć
**odkluk*: otwierać z klucza

odkrywać: otwierać
odliczny: świetny
odmigać: gestami skłonić do oddalenia się
ojczyk: ojciec
okraina: skraj, przedmieście
oskorbić: obrazić, dotknąć
ostrzak: ktoś ostry z charakteru i zachowania
pabieda: zwycięstwo
**padbor*: wybór, zestaw, *na padbor*: wyborowy
padchadziaszczy: odpowiedni
**pagadi*: poczekać
paj: pasztecik, zapiekanka itp.
+pajechali: jazda!
**pajmiesz*: zrozumiesz
paniatny: zrozumiały
panimajesz: rozumiesz, *panimaju*: rozumiem
**paszli*: poszli, **paszoł*: poszedł
patrzałki: oczy
+pażałusta: proszę
piac: śpiewać
piachnąć: uderzyć pięścią
pichnąć: pchnąć
**pidżak*: marynarka, żakiet
pieczalny: żalony
pieredyszka: przerwa, odpoczynek
**pieszkom*: pieszo
pingle: okulary
piszcza: jedzenie
pizga: taka co się rzuca i robi zgiełk
pizgnąć: rzucić
plajstyk: sztuczne tworzywo
pleczo: ramię
ploch: zły, *ploch*: źle
plyciowy: (1) cielesny (2) płciowy
plyć: ciało
podom: szlafrok
podskazać: podpowiedzieć
podumać: pomyśleć
podwłasny: podwładny
pogłazić: wpatrzeć się
polancze: popołudnie
poleżny: pożyteczny
poli mili cyjniaki: policja
polucyjniak: policjant
połuczyć: dostać

poniać: zrozumieć
ponrawić się: podobać się
poprzeczniak: robiący na przekór
porażony: zdumiony i zaskoczony
portablo: gramofon lub inne urządzenie przenośne
post: następujący po czymś
posuda: naczynia i zastawa
pożywać: mieszkać
pracolić: pracować
**prałom, na prałom*: na przełaj
prawiczy: dziewiczy
proischodzić: odbywać się, dziać się
proizwodztwo: produkcja
próchniaczka: starucha, *próchniak*: starzec
prydumka. przydumka: myśl
prygać: skakać
**prykaz*: rozkaz
pryncypialność: zasada
prysk: prysznic
**prywiet*: pozdrowienie
pryzner: więzień
przeciwny: wstrętny
przekrasny: piękny
przekrócić: położyć kres, przerwać
przeleśny: uroczy
przewoschodny: wspaniały
przychwost: adiutant
przydumać: wymyślić
przydziarmażyć: uderzyć
przydzierać się: czepiać się
przyjebny: (1) miły (2) podlizujący się
przyłańcuszyć: uderzyć łańcuchem
przyłytać: dostrzec
przystawać: (1) czepiać się (2) pasować
przystupnik: przestępca
prytuszony: przyćmiony
psiczka: dziewczyna
psijebny: (1) chutliwy (2) patrz: *przyjebny*
psiocha: kobieta
psiuk: (1) szczeniak (2) psiuknięcie
psych: wariat
publo: publiczny
pudernica: stary babsztyl
puszkowina: mięso z puszki
psychota: (1) duma (2) przepych itd.

pytać się: usiłować
rabitnyk: robotnik
rabotać: pracować
rabotny: pracowity
rakotwór: papieros
**razbros*: rozrzucanie, rozrzucać
**razdraż*: irytacja, gniew, rozdrażniony
**razkaz*: opowiadanie
**razrez*: ciach, pocięcie i podarcie, pociąć
recht: (1) słusznie (2) prawo
rozczerwień: jaskrawa i natrętna czerwień
rozdawać się: rozlegać się
rozdziargać: pokrajać i rozszarpać
rozgadnąć: domyślić się
rozjargany: wściekle rozjazgotany
**rozmroz*: rozmrozić
rozpachnąć: szeroko otworzyć
rozpiska: (1) podpis (2) kwit (3) malowidło itp,
rozpołożyć: umieścić
rozumniak: mądrala, intelektualista, uczony
rozwlekać się: (1) rozbierać się, (2) zażywać rozrywki
ruchnąć: runąć
rujka stójka: erekcja
rukojatka: (1) rękojeść (2) erekcja
rum bum: rum
rwać, jego rwie: wymiotuje
rybionek: dziecko
rychtyk: właśnie
ryjek: papieros
ryps wysps: kopulacja
rszotka: krata
rzeżucha: kobieta
rzop, rzopiatko, rzopka, rzopsko: zadek
rzygoła: szkoła
s! odgłos wyrażający szacunek: sir! sudar!
sachar: cukier
**sawsiem*: zupełnie
seksolatki: seksowne nastolatki, młodzież
sfing: udawanie
**siejczas*: teraz
skazać: powiedzieć
skory: szybki
skrzyczeć, skrzyknąć: przeraźliwie i skrzekliwie wrzeszczeć
skurwięta: młodzi skurwysynkowie
słuszać: (1) słuchać (2) być posłuszny

służanka: służąca
smoczek: papieros
snuć: przeciągać wypowiedź
soda: woda sodowa
spiczka: zapałka
spirtne: alkohol
spodelbić się: patrzeć spode łba
spruwać: uciekać
spuknąć się: przestraszyć się
**stakan*: szklanka
starychowski: stary, przestarzały
starzykowie: rodzice
steto: stetoskop
stojanka: postój
stróżówka: biuro
stuk: uderzenie
sumka: torba
syngier: śpiewak, *syngierka*: śpiewaczka
syntemesk: jakiś narkotyk
szabas: sobota
**szafior*: kierowca
szagać: kroczyć
**szagom marsz*: krokiem
szajsowaty: gówniany
szatać się: łązić, spacerować
szczo: co
szczurzyć się: mrużyć oczy
szkacina: bydło
szkot: szkocka whisky
szłapa: czapka, nakrycie głowy
szłom: hełm
szmałojowaty: tłusty jakby od szmalcu i łoju
szmucyk: brudne
szpik: policjant, tajniak
sztany: spodnie
sztuczka: rzecz, nie wiadomo co
szutniacki: błazeński
szutniak: figlarz, błazen, komik
szwyrgać, szwyrgnąć: rzucić
śmajko: jajko
śmiejaszczy: roześmiany
śmierdęga: cuchnąca sadzawka itp.
śryk: (1) drąg (2) pisak
świerzopa: świeża dziewczucha
**tagda*: wtedy

tam i nazad: populacja
taryfiarz: taksówkarz
taska: filiżanka
tasztuk: chustka do nosa
tatata: ojciec
toczka: kropka
truski: majtki
trwohyda: coś budzącego trwogę i wstręt
tufle: obuwie
twojamać: przekleństwa i wyzwiska
ubijca: zabójca
ubijstwo: zabójstwo
uczastek: komisariat
uczyciel: nauczyciel
udalać się: oddalać się
udobny: wygodny
udziugać: zanurzyć, upaprać
ujutny: przytulny
ukaz: rozporządzenie, ustawa
ukrasić: (1) upiększyć (2) pomalować
ultra gwałt, ultra kuku: ciężkie uszkodzenie ciała itp.
ułybać się: uśmiechać się
ułybka: uśmiech
um: rozum, z *uma szedłszy*: wariat itp.
umny: mądry
unter: niższy stopniem
upudlenie: upodlenie z aluzją do pudła i do zamknięcia w pudle
utstawszy: zmęczony
utstroić: urządzić
ustrojstwo: urządzenie
uwidzieć: zobaczyć
uwrzasnąć się: wydać krzyk przerażenia itp.
užas: groza
užasno: strasznie
wacha: woda
wdrug: nagle, a *wdrug*: czyżby
welocet: jakiś narkotyk
wibro: wibracja
widno: widać
**wielik*: wielki
wielkolepno: wspaniale
wierojatno: prawdopodobnie
wierzchowy: szczytowy
**winowat*: przepraszam
wintowka: karabin

wkluczać: włączać, *wkluk*: włączyć się itp.
wkusno: smacznie
wlaz i wylaz: kopulacja
wniezapno: nagle
wołk wołk: żreć jak wilk
wołnować się: (1) falować (2) wzruszać się
wonieć: śmierdzieć, *woniaszczy*: śmierdzący
wozduch: powietrze
wożactwo: dowództwo
wożaty: przywódca
wpieczatlenie: wrażenie
wpychle: (1) człowiek (2) ludzie
wred: chętnie wyrządzanie szkody i krzywd
wredziocha: (1) szkoda (2) wredna baba
**wsiegda*: zawsze
wsio: (1) wszystko (2) ciągle, *wsio taki*: w każdym razie a jednak
wsiotwieracz: wytrych itp.
wulgarnia: chamstwo i wulgarność
wunder bar: nadzwyczajne
wupa: więzienie
wybladek: skurwysyn
wykluczyć: wyłączyć, **wykluk*: wyłączone itd.
wyskazać: wyrazić, wypowiedzieć
wziąć się: zacząć
wzrywać się: wybuchać
yczeć: wydawać nieartykułowany odgłos zbliżony do przeciągłego y itp.
zabywać: zapominać
zacepić: uderzyć łańcuchem
**zachwat*: (1) rabunek (2) zdobycz
zachwostka: haczyk, ukryty mechanizm albo przeszkoda
zadyma: bójka, awantura
zaglucony: zasmarkany
zagwiazdziocha: woda z odbijającymi się gwiazdami itp.
zahipno: w transie
zakazać: zamówić
zakłuczyć: zamknąć na klucz,
**zakluk*: zamknięty itp.
zakonnica: żona, *zakonnik*: mąż
zanieść się: zamachnąć się
zapiierać się: zamykać się od środka
zarabotać: zarobić
zastupnik: obrońca
zawtra: jutro
zawtrak: śniadanie
zbrudłachany: brudny i zużyty

zbryzgać się: ejakulować
zek: więzień
zęborożno: jakby grożąc zębami i rogami
zgrywoszutka: żart i nabieranie
ziewak: gęba
ziornąć: spojrzeć
złotogniak: koniak itp.
znachodzić się: znajdować się
zrazu: od razu
zrażać się: walczyć
zwidywać, zwidzieć: oglądać w przywidzeniu
żestoki: okrutny
żłopacki: pijacki
**żurnał*: czasopismo
żwykać, żwyknąć: (1) żuć (2) mówić z pełnymi ustami
żyliszcze: mieszkanie

Wszystkich i każdego z czytelników tłumacz prosi o konkretne uwagi i propozycje dotyczące języka, stylu i wyrażen stosowanych w tej wersji. Proszę je przesyłać na adres:

Robert Stiller
Aleja Wojska Polskiego 38 m. 9
01-554 Warszawa

Kilka sprężyn z nakręcanej pomarańczy

1

Dzieje się to w przyszłości nieokreślonej i w mieście też nie całkiem określonym. Tylko nieliczne realia wskazują, może niechcący, że to Anglia i poniekąd Londyn. Więc jakby *science fiction* w tej specyficznej i nadzwyczaj ważkiej odmianie zwanej dystopia: na krytyce politycznej i społecznej zbudowany, posępny, do katastrofizmu skłonny rodzaj utopii. Kolejne w szeregu imponujących dzieł, jakie stworzyli nie tylko George Orwell, bo i Zamiatin, Aldous Huxley, Ayn Rand, Karin Boye i wielu innych. A teraz Anthony Burgess.

Jednak niedaleka to przyszłość i pod niektórymi względami łatwo kojarząca się z dniem dzisiejszym.

W szybkim upływie czasu niejedyn szczegół już dziś sprawia wrażenie wczorajsze. Jak tu sobie wyobrazić, że młody i z pewnością nie archaiczny meloman słucha muzyki z płyt, a nie z kaset i tym bardziej nie z dysków czy płyt kompaktowych? Że pisarz używa klekocącej maszyny zamiast elektrycznej lub komputera? Wystarczy moment i już realia rzeczywiste przeskoczyły futurologię w

sprawach jak najbardziej powszednich! Obawiam się jednak, że wiele zachowa tu aktualność długo po tym, jak technika życia codziennego napłodzi nam dziesięć i sto razy więcej pozornych, nie dających się dziś przewidzieć anachronizmów.

Wszystko to maleje przy świeżych, raz wreszcie nie przygnębiających niespodziankach w życiu politycznym.

Ale czy podobnie straci na aktualności problematyka, z której poczęła się *Mechaniczna pomarańcza*?

Nic na to nie wskazuje.

Nasuwa się raczej odwrotna refleksja: oby ten niby-Londyn, z nazwy nie wymieniony, wkrótce nie odcisnął się zbyt wyraźnie na niby-Moskwie i niby-Pernambuco.

2

Anthony Burgess nazywa się właściwie John Anthony Burgess (czytaj 'b^u:rd^{es}) Wilson. Urodził się 25 lutego 1917 w Manchesterze. Jego dzieciństwo było tragicznie przyziemne: ojciec pił i przygrywał na pianinie po kinach i knajpach. Raz wróciwszy po nocy zastał dziecko ledwie dychające w zimnym mieszkaniu, przy zwłokach siostry i matki, zmarłych na szalejącą podówczas grypę hiszpankę. Później ożenił się z oberżystką. Z takich dołów i frustracji wyrastał w pół irlandzkim katolicyzmie młody John Wilson. Zaraz po ukończeniu, też w Manchesterze, studiów anglistycznych i po jadłowicie opisanych absurdach obozu rekruckiego dostał się do wojskowych służb rozrywkowych i edukacyjnych: tak odsłużył do 1946 pięć lat, przeważnie na Gibraltarze. Napisał o tym swoją pierwszą powieść *A Vision of Battlements* (1965, Zębate mury), której wydanie opóźnił o 16 lat. Szykował się bowiem raczej do kariery muzycznej. Do dzisiaj gra zwłaszcza jazz na fortepianie i skomponował nawet niecałe trzy symfonie i dużo mniejszych utworów.

Stwierdza prowokacyjnie, że woli być uważany za muzyka piszącego powieści niż na odwrót.

Toteż wśród jego dzieł literackich nie tylko *Mechaniczna pomarańcza* poświęca tyle uwagi muzyce i jej przeżywaniu, co więcej, ma strukturę jakby muzyczną.

Choćby dla fikcyjnej biografii Bonapartego *Napoleon Symphony* (1974, Symfonia napoleońska) posłużyła za model w najdrobniejszych szczegółach *Eroica* Beethovena. Zbiór wspomnień i esejów *This Man and Music* (1982, Niżej podpisany i muzyka) omawia szczegółowo te aspekty własnego życia i przemyśleń, autobiograficzna zaś powieść *The Pianoplayers* (1986, Klezmerzy) osnuta na własnym dzieciństwie i postaci ojca przekazuje wiele podobnych treści, jak najściślej muzycznych, w formie cokolwiek zbeletryzowanej. Parał się też literaturą operową, relacjonując po swojemu libretto *The Cavalier of the Rose* (1982, Kawaler srebrnej róży) Richarda Straussa i tworząc nowe libretto do opery *Oberon Old and New* (1985, Oberon stary i nowy) Carla Marii von Webera. To nie wszystko. Ale wbrew jego własnym aspiracjom to i tak niewątpliwie marginesy.

Kierujmy się ku temu, co poważniejsze.

Był w różnych okresach i szkołach nauczycielem angielskiego, pracownikiem Ministerstwa Oświaty i wykładowcą literatury angielskiej na uniwersytecie w Birmingham. Kilkakrotnie przebywał też jako profesor wizytujący i raz jako pisarz rezydent w Stanach Zjednoczonych.

Ale to już w późniejszych latach.

Na razie, szukając jakiejś dogodniejszej posady, prawie niechcący trafił na Malaje. Jak się okazało, po pijanemu napisał podanie, o którym zapomniał. i skończyło się na kontrakcie. Jako wykładowca języka i literatury szkolił przyszłych nauczycieli angielskiego w stolicach malajskich

sultanatów Perak i Kelantan, czyli w Kuala Kangsar i Kota Baru, a po krótkim powrocie do Anglii znowuż w sultanacie Brunei na Kalimantanie, w miasteczku o tej samej nazwie, będącym jego stolicą. Trwało to od roku 1954 do 1959 i wreszcie musiał wrócić do kraju zniechęcony, rozpity i chory, jednak zawsze już tęskniący i rwący się do tropików, a co najmniej do krajów śródziemnomorskich.

I stąd wziął się jego debiut powieściowy: *Trylogia malajska* w trzech tomach, najpierw osobnych.

3

Tak zwana *The Malayan Trilogy* składa się z *Time for a Tiger* (1956, Czas na tygrysa), dalej z opartego na malajskim powiedzonku w tytule *The Enemy in the Blanket* (1958, Wróg w pościeli) i *Beds in the East* (1959, Łoża na Wschodzie). Później trylogia ta zaczęła się ukazywać już łącznie jako *The Long Day Wanes* (1965, U schyłku długiego dnia). Pierwszy tytuł dotyczy również miejscowego piwa marki Tiger, a ostatni to cytat z Szekspira. Mnóstwo doświadczeń autobiograficznych, lokalnych i literackich krzyżuje się w tych powieściach, jak zwykle u Burgessa, mimo wszelkich zastrzeżeń dość wiernie i niemal ekshibicjonistycznie odwołując się do jego życiorysu. Cóż z tego, że jakaś postać lub incydent są przekształcone, nie całkiem dosłowne lub syntetyczne? i że niektóre z innych jego powieści opierają się wyłącznie na fantazji?

Większości to nie dotyczy.

I nie zmienia tego również fakt, że Burgess lubi czerpać struktury akcji, problematykę i przekręcone imiona z tradycji czy wręcz archetypów literackich: tak właśnie *A Vision of Battlements* jest zamaskowaną repliką *Eneidy* Vergiliusa, inna zaś wczesna powieść *The Worm and the Ring* (1961, Smok i pierścień.) to szarada na tle mitologii nordyckiej. Cóż z tego, że w kontekście malajskim zapijaczony porucznik Nabby Adams pobrzmiewa jako Nabi Adam: czyli pierwszy Człowiek jako Prorok? skoro i tak pierwowzorem był znany autorowi porucznik Delaney.

Jak i mnóstwo innych postaci.

Wśród nich własna żona. Llewela (zwana Lynne) Isherwood Jones była efektowną Walijką o jasnych włosach i błękitnych oczach, a w życiu Burgessa (trudno się powstrzymać od tej refleksji) potworną i histeryczną zawalidrogą. Wciąż ożywiająca się półgębkiem legenda, jakoby gwałt i śmierć w *Mechanicznej pomarańczy* były odbiciem dotyczącego jej wydarzenia na Malajach, domaga się sprostowania.

W kwietniu 1944 roku, gdy Burgess jeszcze służył na Gibraltarze, jego żona w Londynie została w nocy napadnięta w celach rabunkowych i pobita do nieprzytomności przez czterech amerykańskich dezertersów, poroniła i długo chorowała. Umarła jednak nie dlatego, tylko w 24 lata później na marskość wątroby, skutek alkoholizmu, jaki przez wiele lat łączyła z dość rozwiązłym trybem życia: z czego nadzwyczaj szczerzy w tych sprawach Burgess nie czyni sekretu. A w Malezji ciągle zatruwała mu życie jak nie histerią i pijaństwem, to manifestacjami wstrętu do egzotycznych krajów, ludzi, kultury i języka, co nie przeszkadzało jej w eksperymentach z egzotycznymi kochankami i z kim popadło.

Nie tylko to znajdziemy, wprost albo w przełożeniu, opisane w bezlitosnej *Trylogii malajskiej*.

Trudno by znaleźć drugą powieść tak wielostronnie i nieraz perfidnie naświetlającą jakże złożone i niejednoznaczne zjawiska dekolonizacji kraju azjatyckiego. Jest bezcenna jako nie liczący się z niczym dokument z pierwszej ręki.

Pisał ją na żywo, przenosząc materiał i szczegóły niemal dosłownie ze swych bieżących doświadczeń. Jej trzy prędko następujące po sobie części, zarazem dość poczytne i kwaśno przyjęte, są niemalże dokumentem czasu i kraju, którego nic w piśmiennictwie naszych czasów nie zastąpi, a z którym da się porównać (co sam Burgess trafnie zauważył) tylko francuska powieść Henri Fauconniera *Malaisie* (1930, Malajska przygoda), wydana już po polsku w moim przekładzie. Nie obeszło się zresztą bez procesu o zniesławienie, który Burgessowi wytoczył pewien biały adwokat z Malajów. Oskarżyciel co prawda przegrał i więcej podobnych nie było, lecz nie brakowało pretensji: a gdy niebawem tak samo na gorąco Burgess opisał swe doświadczenia z Brunei w satyrycznej powieści *Devil of a State* (1961, Diabeł nie państwem), wydawca kazał mu ten kraj, przezwany Naraka od malajskiej nazwy Piekła, asekuracyjnie przenieść do Afryki Wschodniej. Daleko mniej ważki, utwór ten stanął jednak w szeregu takich jak *Black Mischief* (1912, Czarny wybryk) Evelyn Waugh, *Burmese Days* (1934, Birmańskie czasy) Orwella i poniekąd *The Heart of the Matter* (1948, Sedno sprawy) Grahama Greene, choć nie dorównuje ani żadnemu z nich, ani własnej *Trylogii malajskiej* Burgessa.

Ta mimo wszystko najściślej realistyczna i demaskatorska powieść z elementami egzotyki, wiwisekcji psychologicznej, sensacji, czarnego humoru i satyry politycznej da się tutaj przywołać w jeszcze jednej funkcji.

Bo wyliczenie to, przy zmieniających się proporcjach, może ująć za sumaryczny opis całej prozy Burgessa.

Występek i grzech jako mechanizm ludzkiej działalności to u niego problem kluczowy, główny, żeby nie powiedzieć: obsesyjny. Nie obeszło się przy tym bez jego irlandzkiego katolicyzmu w ciągłej i osobiście nieraz dotkliwej konfrontacji z wątpliwym protestantyzmem kościoła anglikańskiego. Dość powiedzieć, że na Malajach skłaniał się już Burgess do konwersji na islam: aż oblała go kubłem zimnej wody jakaś kolejna, typowo muzułmańska manifestacja organicznej sprzeczności między utrwaloną w praktyce islamu tradycją działań i ocen, publicznych i jednostkowych, a powszechnie uznanym systemem wartości ludzkich.

4

Zachybotła się makabrycznie biografia i wynikło z tego w szybkim następstwie pięć dalszych powieści.

Tych do 1961 roku.

Zaraz po swym powrocie z tropików zaburzenia psychiczne, jakim coraz dotkliwiej zaczął ulegać Burgess, doprowadziły go do pobytu na obserwacji w londyńskim szpitalu i wreszcie do diagnozy: rak mózgu.

Dano mu pół roku życia.

W tej sytuacji ostatecznej zaczął na gwałt pisać, głównie po to, aby wdowie zostawić trochę pieniędzy.

Jak to było z chorobą, można się względnie szczegółowo dowiedzieć z powieści *The Doctor Is Sick* (1960, Pan doktor jest chory). Coś z tej desperacji, pośpiechu, nie liczący się z niczym cynizmem i naturalna skłonność do wiwisekcji pomogły ukształtować w tym krytycznym okresie specyfikę pisarską Burgessa. Odtąd i z późniejszych utworów niejeden, choć nie po kolei, wraca do podobnej genezy i efektów: aż bezwstydnie szczerego i drastycznego ulepku z motywów autobiograficznych, nieraz udziwnionego jeszcze na pokaz. Do tych należą *One Hand Clapping* (1961, Klaskać jedną

dłonią) i mniej osobiste *The Right to an Answer* (1961, Prawo do odpowiedzi), *Beard's Roman Women* (1977, Babiarcz Beard w Rzymie) i *The Pianoplayers* (1986, Klezmerzy), gdzie narrator przystroił się w postać i światopogląd kurtyzany w podeszłym wieku.

Jednak to nie Anthony Burgess wtedy umarł, lecz jego żona w pijackim rozpadzie umysłowym i fizycznym. A wlokło się to w coraz gorszej udręce i obrzydliwości jeszcze do 1968 roku.

Zaraz po jej śmierci zawarł drugie, szczęśliwe i trwałe małżeństwo z włoską hrabianką; dużo młodsza od niego Liliana (rzadko nazywana inaczej niż Liana) Macellari wniosła w ten układ również swe kompetencje zawodowe jako lingwistka. Odtąd i twórczość Burgessa, nie tracąc na ostrości, wyklarowała się intelektualnie.

Tymczasem prawdziwą i światową karierę zrobiła *A Clockwork Orange* (1962, Nakręcana pomarańcza).

5

Ta przerażająca dystopia czyni chwilami wrażenie prawie rozhisteryzowane. Nie bardzo wiadomo: czy ganić jej plakatowe uproszczenia? czy zachwycać się ich konstrukcją?

Burgess ją sam kiedyś określił jako "zbyt dydaktyczną, zbyt ekshibicjonistyczną językowo". U mnie w pierwszej lekturze tak się pomieszały podziw i sprzeciw, że z jednej strony porwałem się od razu na karkołomny trud przełożenia dwóch pierwszych rozdziałów, a z drugiej napisałem i ogłosiłem w „Literaturze na Świecie” pamflet na nią zatytułowany: *Horrorshow! czyli bój się Pan jeża*. Skąd ów tytuł? Jest anegdota o poniewieranym przez długie lata drobnym urzędniku, który wreszcie odchodząc postanowił się zemścić na znieawidzonym szefie. Wybrawszy odpowiedni moment narobił mu na biurko, po czym nawtykał w to zapalek i zostawił kartkę z napisem: *Bój się Pan jeża!* Za podobne straszenie uznałem wówczas tę powieść.

W kolejnych czytaniach i w trudzie przekładu stopniowo złagodziłem i wreszcie zmieniłem sąd o *Nakręcanej pomarańczy* na jej korzyść. A co pozostało z wątpliwości, to przytoczę z grubsza według tamtego artykułu.

Kiedy skóra nam cierpnie przy wyczynach 15-letniego Alexa i jego młodocianych zwyrodnialców, otrząsnąwszy się nieco zadajemy sobie pytanie:

Czy to jest nowe? i jak dalece realne?

Otóż do stałego repertuaru *science fiction* zaliczają się opisy terroru) i zdziczenia obyczajów, następujące zwykle po kataklizmie atomowym lub nadwyręzeniu ludzkości przez inwazję międzyplanetarną. Mógłbym tu przytoczyć (ale nie chcę przeciążać omówienia dokumentacją) dziesiątki nazwisk i tytułów, powieści i opowiadań, często wcześniejszych, opartych joto w jotę na podobnych założeniach, sytuacjach i postaciach oraz efektach, jakimi tu straszy czytelników Burgess prezentując im swego Alexa i miasto, nie mogące sobie poradzić z bandami mordujących i gwałcących wyrostków.

Pełno tegoż schematu w westernach.

Nowością (choć nie całkowitą) i zasługą Burgessa jest wyprowadzenie tej inwazji potworów z wewnątrz. Z ludzkiego wnętrza i ze społecznego.

A czy do zasług tej fikcji należy też jej realność?

Że degenerująca się na wiele sposobów młodzież i przestępczość nieletnich zaliczają się do najgroźniejszych koszmarów naszej epoki: to wiadomo. A czy aż tak demoniczna eskalacja zjawiska? Pojedynczy przypadek, jakkolwiek potworny może być dla ofiar i świadków, tej skali jeszcze nie

stwarza. Może ona wynikać dopiero z głębszego uszkodzenia mechanizmów i norm społecznych. Bo jak wiadomo, człowiek broniący swego życia i podstawowych dóbr (choćby ze względu na bardziej dotkliwe zagrożenie i silniejsze wydzielanie adrenaliny) rozporządza taką samą, a zwykle większą sprawnością niż napastnik powodowany motywacją nie aż tak istotną: jak zabawa czy pusta złośliwość. I jak wiadomo, w społeczności choć trochę zintegrowanej ta zdolność samoobrony kolosalnie wzrasta. Również i z fizjologicznego punktu widzenia na przykład siła mięśni jest tą cechą, która się późno rozwija i długo trwa, dzięki czemu (statystycznie rzecz biorąc) nawet dosyć silny piętnastolatek nie ma wielkich szans w starciu z przeciętnym mężczyzną w wieku średnim albo i podeszłym. Nie wdając się w szczegółowe obliczanie innych czynników modyfikujących, takich jak stopień agresywności, zaskoczenie, brzytwa w ręku zwyrodniałego smarkacza lub większa zdolność przewidywania u dorosłych, jedno można stwierdzić na pewno: opisane przez Burgessa rządy nocnego terroru piętnastolatków, wobec których bezradne jest całe społeczeństwo dorosłych wraz z policją, to całkowita fikcja. Chyba żeby aparat państwowy nie istniał: ale wtedy, jak wiemy, społeczeństwo samorzutnie tworzy własne instytucje obronne i już po chwili walka staje się w najgorszym razie równorzędna. Potwierdzają to niezliczone przykłady choćby i z najnowszej historii: szeryfowie na Dzikim Zachodzie, samoobrona w kibucach izraelskich i wyrosła na jej gruncie Hagana, prywatna policja w Ameryce itd.

Pełna makabra zaczyna się wówczas, gdy aparat państwowy i jego siły policyjne biorą stronę młodocianych lub innych bandytów i ułatwiają im działanie lub zapewniają bezkarność, prześladują natomiast broniących się.

Co poznaliśmy wprawdzie na własnej skórze z długoletniej, ponurej praktyki komunizmu, jego jurysdykcji, milicji, teorii społecznej oraz ich trwających dotąd reliktyw.

Co u Burgessa jednak nie zachodzi.

Toteż nie opisy terroru i sadystycznych ekscesów stanowią istotę jego fikcji, lecz to, co się w nich uzewnętrznia: korzenie etyki osobistej i społecznej, warunkującej ten chorobliwy system wartości, zachowań i współzależności.

Jeden z triumfów książki polega na tym, że nie to jest w niej najokropniejsze, co jej bohaterowie wyczyniają, ale to, co się przy tym dzieje w ich pozornie tylko ludzkiej, w ich niedoludzkiej albo: nie daj Boże! ludzkiej świadomości.

Czym się usprawiedliwiają. Co myślą.

Ale wizja *Nakręcanej pomarańczy* ma też swe źródła w świadomości zbiorowej i faktograficzne.

Niewątpliwy substrat stanowią tu wyobrażenia czytelników londyńskiej prasy brukowej w rodzaju „Sun” czy „World News” i podobnej, specjalizującej się w możliwie zawieszistych opisach morderstw, grabieży, gwałtów i ekscesów płciowych. Na ten podkład autor nałożył jeszcze następujące substancje:

1. Autentycznych bitników czy hipisów z ich szokującym wyglądem i zachowaniem oraz kojarzone z nimi, po części rzeczywiste i obserwowane na co dzień, a częściowo przesadzone i z gazet czerpane wiadomości o ich pasożytniczym trybie życia, narkotykach, seksie oraz aktach wandalizmu i chuligaństwa.

2. Stereotyp amerykański, jeszcze jaskrawszy zarówno w rzeczywistości, jak i w wyobraźni, wzbogacony później o dodatkową groźbę sprawy Masona i jemu podobnych, czego oczywiście nie było w momencie pierwszego wydania książki, ale co się nawarstwiło na jej późniejszy odbiór.

3. Podobnie nawarstwiona pamięć studenckich rozruchów we Francji, które w świadomości londyńczyków odbiły się głównie jako dziejące się tuż pod boki zagrożenie ładu życiowego przez

rozbestwioną młodzież.

4. *Shocking* jako taki.

Wartości rozrywkowe nie są tu zarzutem. Ale pytanie, czy i z nich samych nie wynikało coś pozbawionego innej motywacji.

6

Zarówno szanujący się czytelnik polski, jak i angielski *highbrow* na ogół nie splamią się gruntowniejszą znajomością literatury rozrywkowej i poważnym jej traktowaniem. Snobizm włada niepodzielnie w tych enklawach społecznych, gdzie obowiązkowe czytanie książek wynika z *noblesse oblige*.

Snobizm zastępuje w nich gust, intelekt, otwarte oczy i rzeczywiste poczucie wartości.

Typowym przedstawicielem tych enklaw jest, rzecz jasna, krytyk literacki, z racji swego zawodu najmniej wiedzący o literaturze. Więc tym bardziej w ocenie takich utworów jak *A Clockwork Orange* brakuje mu wstępного systemu odniesień, jakim byłaby znajomość literatury sensacyjnej.

Fenomen się powtarza.

Ta niby „subliteratura” odkrywa coś i osiąga wysoką sprawność, niekiedy wręcz mistrzostwo w prezentowaniu swych odkryć. Nieraz bardzo ważnych! I później dopiero *mainstream* czyli tzw. literatura poważna rusza (pod osłony swej powagi i swych wyznawców) do akcji pasożytniczej i plagiatorskiej. Dobrze jeszcze, kiedy ta wtórność nie przemilczana zostanie, lecz określona jako nobilitacja. Wówczas pojawiają się takie fenomeny środowiskowe jak nagły snobizm na trzeciorzędnego autora *science fiction* nazwiskiem, dajmy na to, Kurt Vonnegut przy równocześnie trwającym kręceniu nosem na kilkudziesięciu takich samych i w tymże gatunku, a często bez porównania lepszych! i nieprzyjmowaniu do wiadomości w ogóle istnienia tych twórców.

Albo szum wokół słabej powieści Nevila Shute i osnutego na niej filmu *On the Beach* (po polsku *Ostatni brzeg*), z których uczyniono niemalże historiozoficzny traktat antynuklearny o naszych czasach. Albo przerobiony na słynne widowisko baletowe, niemniej przeto grafomański, szwedzki epos kosmonautyczny *Aniara* Harry Martinsona. Albo rozmamłany i nic rozumnego nie mówiący *Nova Express* Williama Burroughsa... zresztą w tych sprawach wystarczy odesłać do znakomitych i ważnych teoretycznie wstępów, które zamieszczał w kolejnych tomach antologii *Spectrum* (swojej i Roberta Conquesta) Kingsley Amis.

Również założenie odstręczających treści i adekwatnej do nich stylistyki nie jest nowe.

Znamy je z twórczości autorów takich jak Céline i z całych kierunków literackich, zaopatrzonych we własne nazwy i programy, jak hiszpański a niezłymi nazwiskami reprezentowany tremendyzm, rozkosznie zdefiniowany przez Angela del Río jako „styl, który wulgarnym językiem podkreśla odpychającą rzeczywistość” itd. Problem nieco podobny, tylko na odwrót: do saloniku literackiego Céline ma wstęp, ale tylko jako nazwisko. Substancja i wnioski z jego twórczości wstępu nie mają.

Gdzie na tej skali mieści się *A Clockwork Orange*?

Jeszcze raz chwała jej i Burgessowi. Znalazł on bowiem sposób na to, aby nie wypierając się *expressis verbis* tej ani tamtej literatury, poważnej ani rozrywkowej, korzystać w pełni z warsztatu i dystrybucji obu. Łączy je organicznie w każdym niemal utworze i spełnia warunki obydwu bez taryfy ulgowej.

Do formuł *science fiction* i dystopii sięgnął w czterech powieściach i zatracił o nie jeszcze w wielu innych.

Już w *One Hand Clapping* (1961, Klaskać jedną dłonią) fabuła opiera się na prekognicji. W tajemnicze rejony umysłu i w pobliże futurologii zapuszczają się mimochodem dwie awantury o tematyce sowieckiej: *Honey for the Bears* (1963, Miód dla niedźwiedzi) i *Tremor of Intent* (1966, Dreszcz premedytacji), przy czym błyskotliwe bogactwo tej drugiej sensacji umieszcza ją w rzędzie najlepszych dzieł Burgessa. Za to krytyka, prawie nieomylna w wybieraniu tego co najgorsze, chętnie wymienia 4-tomowy cykl o zmyślonym poecie nazwiskiem Enderby, ogłaszany z początku pod pseudonimem Joseph Kell, dla mnie tylko pretensjonalny i odstręczający: oparty na epatowaniu odgłosami chrapania, pierdzenia i klozetu, bujnie ilustrowany własną twórczością poetycką, zawiera on w swej pierwszej części *Inside Mr Enderby* (1963, W panu Enderby) szkic poematu o minotaurze, wedle którego nakręcono fantastyczny film *Son of the Beast from Outer Space* (Syn bestii z kosmosu). *The Eve of Saint Venus* (1964, Wigilia przed św. Venus) to współczesny wariant znanej od Williama z Malmesbury w XII wieku po Prospera Mérimée legendy o zaślubinach posągiem bogini, której na palec włożono pierścień. Powieść o życiu miłosnym Szekspira *Nothing Like the Sun* (1964, Nic jak słońce) posługuje się konwencją równoległego wszechświata, do którego trafia szekspirolog i zapętla bieg czasu, przywożąc tam dzieła Szekspira. Jest wreszcie *M F* czyli *M/F* (1971, obie formy autor uznaje za poprawne) z zawitym kluczem już w tytule. Zamierzony przez kogoś film o Edypie pod nazwą *Mother Fucker* (czyli Matkojebca, normalnie i po angielsku w pisowni łącznej) dostarczył bodźca, lecz zarazem to inicjały bohatera: Miles Faber (po łacinie *żołnierz* i *rzemieślnik*, czyli dwa główne atrybuty ludzkie: walka i tworzenie). Tej podstawowej opozycji zaś sekunduje druga: *male/female*. I tak właśnie do obsesji dziergana siatka przypadkowych, symbolicznych czy jakichkolwiek odniesień jest fabułą tej powieści, wykoncypowanej na modłę strukturalizmu Lévi-Straussa: opartej na syndromie zagadek i kazirodu jak w micie Edypa i w podobnych tradycjach algonkińskich. Nie da się oddzielić od *science fiction* u Burgessa ten rodzaj barokowej fantastyki i przepływa w jej coraz to inne formy, nasączając jego twórczość całą i bez wyjątku.

Na koniec ta czwórka najłatwiej się klasyfikująca jako przynależna do *science fiction*.

Równocześnie z *A Clockwork Orange* wydane *The Wanting Seed* (1962, Jałowe nasienie) znów łączy jedno z większych w dorobku Burgessa walorów intelektualnych i literackich z rozrywkowymi: nakaz i kult homoseksualizmu zwalcza tu przeludnienie i prowadzi do kolejnej rewolucji.

Tego poziomu nie osiąga (wydana w 1978 roku) nawiązująca do 1984 Orwella książka zatytułowana 1985. Jej pierwszą połowę stanowi przepyszny esej o zaletach, słabościach, aktualności oraz źródłach społecznych i historycznych książki Orwella. Dalszy ciąg to kontrapunktowa względem Orwella powieść o beznadziejnej walce szarego człowieka przeciw państwu w Anglii zdominowanej przez Arabów, islam i dezintegrację stosunków międzyludzkich. Już niedaleka przyszłość raczej nie potwierdziła tych prognoz i refleksji: mimo to rzecz jest frapująca jako przestroga i wizja alternatywna oraz jako ćwiczenie intelektualne.

Natomiast *The End of the World News* (1982, Koniec wiadomości ze świata) to zupełny niewypał. Ziemia ginie w zderzeniu z przybliżaną planetą Lynx i z całej literatury powszechnej ratują się, na uchodzącej w przestrzeń rakiemie, tylko dwa utwory: opowieść o Freudzie wydobywanym z Austrii hitlerowskiej i musical o Trockim w New Yorku, cytowane we fragmentach jako kontrapunkt do satyrycznej relacji o nadchodzącej zagładzie. Kiepska *science fiction* z pretensjami do czegoś więcej i niestety nic więcej.

Według *A Clockwork Orange* Stanley Kubrick nakręcił w 1972 roku głośny film, który ją tym bardziej rozślawił.

Okrutnie spłyca on i wulgaryzuje książkę, na której dość luźno został oparty. Burgess uczestniczył w nim tylko w roli konsultanta. Wbrew jego życzeniu film pociągnął za sobą także wydania książki skrócone o jej ostatni rozdział z części trzeciej, co poważnie narusza myślową i artystyczną konstrukcję utworu. Okaleczenie to przeniosło się również do najpopularniejszego na świecie wydania w Penguin Books. Na żądanie autora w moim przekładzie rozdział ten został przywrócony.

Kiedy chuligani brytyjscy zaczęli się wzorować na filmie, masakrując i gwałcąc, reżyser nie skorzystał z okazji do zarobienia na tym skandalu i wycofał film z eksploatacji.

Sam tytuł *A Clockwork Orange*, chociaż kilka razy wspomniany w tekście, wymaga dodatkowych objaśnień.

Również i dlatego, że z wydań najczęściej spotykanych wypada wraz z ostatnim rozdziałem najdobitniejsza z autorskich wykładni tytułu. Wystarczy ją przeczytać lub umieć po angielsku, lub jedno i drugie! aby wiedzieć, że tłumaczy się to *Nakręcana pomarańcza*. U nas jakiś ignorant wymyślił tę „mechaniczną” i na razie tak musi zostać. Pogodziłem się z tym głównie z przyczyn handlowych, ale w przyszłości każę zmienić tytuł we wszystkich wydaniach na poprawny. Bo nie zachodzi tu nawet przypadek w rodzaju tego, co sprawił, że dla powieści Conrada *The Shadow-Line* trzeba zachować tytuł *Smuga cienia*, błędnie przełożony, lecz efektownie brzmiący i po polsku już idiomatyczny.

Hasło tytułowe Burgess usłyszał w 1945 roku z ust 80-letniego *cockneya* mówiącego, że ktoś jest „lewy jak nakręcana pomarańcza”. Bo człowiek jak ona organicznie wyrosły, kruchy i miękki, ma ten żywy kolor i słodycz: a nakręcać go (czyli manipulować) to zamieniać go w coś mechanicznego.

Tu cień uzasadnienia dla polskiego tytułu.

Burgess nieźle zna język malajski, w którym do podstawowych słów należy *orang*: człowiek. Też umiem po malajsku i od razu miałem to skojarzenie. Tamtejszym półanalfabetom zaś wyraz ten z reguły myli się z *orange* i tak bywa pisany.

Ale zbyt optymistycznie spodziewał się Burgess, że krytyka, choćby dzięki skojarzeniu z orangutanem, nie przeoczy tej gry słów i tego dowcipu. Tytuł *A Clockwork Orange* oznacza w istocie nakręcane go człowieka. Tak nakręcane go jak najprostszy mechanizm sprężynowy i jak bezmyślna, nie decydująca o swym ruchu zabawka. W desperacji, że ciemniacka jak zwykle krytyka nie potrafiła tego zauważyć, Burgess wytłumaczył to wszystko w jednym z przypisków do swojej książki *Joysprick* i gdzie indziej.

Burgess kocha się w językach i uczenie się obcych należy do jego namiętności. Płynnie

mówi sześcioma. Nie dość, że opanował malajski i wiele innych, ale nawet zaprojektował języki prehistoryczne do filmu *Quest of Fire* (1981, Walka o ogień). Ogłaszał też prace językoznawcze.

Do zastrzeżeń przejdę gdzie indziej.

Pasjonuje go Joyce.

Wydał trzy książki wprowadzające w tajniki jego twórczości: najogólniejszy wstęp *Here Comes Everybody* (1965 i poprawione 1982, tytuł wymaga zawitych objaśnień) oraz analityczne wprowadzenie do języka i neologizmów *Joysprick* (1973, tytuł znów nie tak od razu przetłumaczalny) i wreszcie przemyślny skrót *A Shorter Finnegans Wake* (1966, Krótsze Finnegans Wake) dla uczących się czytać i rozumieć tego pisarza.

Z innych frapują go zwłaszcza Shakespeare, Hemingway i D. H. Lawrence. O nich też powydawał osobne książki itp.

Zarys dziejów literatury angielskiej i przewodnik po współczesnej powieści dla studentów. Kilka książek dla dzieci. Przekłady paru dramatów i antologie. Seriale telewizyjne. Książki o New Yorku i o łóżku. Jeden epicki poemat i jeden zbiór wierszy. Można by tak dalej wyliczać.

10

W tym ogromnym wachlarzu spraw i postaci można by się spodziewać tyluż okazji do entuzjazmu, jaki budzą w pisarzach czy to żywe, abstrakcyjne czy przedmiotowe obiekty ich pisarskiego zainteresowania. Tymczasem u Burgessa rzuca się w oczy jakby coś niemal odwrotnego.

Czego Burgess nie cierpi?

Wydawałoby się, że prócz muzyki, języków i niektórych pisarzy prawie wszystkiego.

Około 1968 roku wyjechał na dobre z Anglii. Nie lubi jej i mieszka w paru domach na przemian: w księstwie Monaco, we Włoszech i przez jakiś czas również na Malcie. Co najwyżej na parę miesięcy w roku przyjeżdża jako hotelowy gość i w Anglii też go raczej nie lubią: mówi się o nim, jak to uczynił krytyk Geoffrey Gibson, że jest *coarse and unattractive*: ordynarny i nieatrakcyjny. On zaś niezbyt manifestuje swe pogardliwe sądy o literatach angielskich i mnóstwie innych fenomenów ojczystych, kwitując je stwierdzeniem, że miał już dwa procesy o zniesławienie i na więcej nie ma ochoty. Uważa natomiast, że „pisarz brytyjski, jeśli może, obowiązany jest wydostać się z Brytanii i sprawdzać angielszczyznę na tle innych języków”. To nie tylko efekt życiowych doświadczeń.

To również wrodzone predyspozycje.

Już *Trylogia malajska* utkana jest kompozycyjnie z drobnych brudów i kompromitacji z lekka hamletyzujących nieudaczników; coraz niżej się staczającego nauczyciela angielskiego; białej żony, która go porzuca dla wulgarnego romansu z malajskim kacykiem i playboyem, oraz kolorowej, która bierze go sobie za pomiotło; skretyniałego w dypsomanii porucznika policji; głupiego Gurkha z tejże i szeregu podobnych osóbek.

Także i w dalszym ciągu swej twórczości Burgess najwyraźniej nie cierpi większości swych bohaterów i w tym, że o nich pisze, wyczuwa się pewien masochizm.

Prawie całe jego pisarstwo to wciąż jakiś Enderby i galeria krzywych luster.

W definicji tej mieści się też *Mechaniczna pomarańcza* oraz wszystkie jej sprawy i postacie.

Że jest za to rozmiłowany w języku, świadczy nie tylko Joyce i jego osobisty aktywny stosunek, jaki Burgess ma do jego indywidualnie projektowanego multi-języka, nieodłącznego zwłaszcza od *Finnegans Wake*. Także i do wielu innych języków, których uczy się albo które wymyśla.

Przede wszystkim zaś powieści *A Clockwork Orange* nie napisał zwykłą angielszczyzną.

Stworzył dla tej powieści osobny język, całkiem jak dla jaskiniowców w późniejszej *Walce o ogień*. Zestawienie to ma sens nie tylko w aspekcie językowym: w świecie Burgessa troglodyta wcale nie wymarł i zajmuje poczesne miejsce, panosząc się od prehistorii aż do futurologii.

Językowa inwencja Burgessa wyraziła się tu z rozmachem, któremu on sam nigdzie nie dorównał, a poza nim sprostać by jej mógł jeśli nie Joyce, to najwyżej para autorów *science fiction*: Samuel Delany w *Babel-17* i Robert Heinlein (wyborny i głęboko myślący pisarz, na którego Lem wyrzydza się, jak może

i jak nie może w *Fantastyce i futurologii*) w potężnej rozmiarami i koncepcyjnie powieści *The Moon Is a Harsh Mistress*. Obie jednak ukazały się w 1966 roku, są zatem wtórne względem *A Clockwork Orange*. Ale zwłaszcza Heinlein w *Księżyc to sroga kochanka*, biorąc za temat powstanie zbrojne na Księżycu i jego uniezależnienie się od eksploatującej go Ziemi, stworzył precyzyjną, wiarygodną i ogromną konstrukcję na wszystkich polach równocześnie: od gospodarki przez obyczajowość po charakter narodowy i socjologię. Otóż mówi się tam językiem zmieszonym głównie z angielskiego i rosyjskiego z domieszką paru innych aż po chiński włącznie: ale zbędne byłoby objaśniać, skąd na Księżycu wzięła się taka hybryda.

To dla przypomnienia o właściwym, nie snobistycznym, systemie odniesień literackich.

Na efemeryczny język młodych zwyrodnialców w *A Clockwork Orange* składają się zwłaszcza elementy gwar młodzieżowych i przestępczych, ubarwione niekiedy zgrywą na styl po ignorancku niby to biblijny, a przede wszystkim mnóstwo zapożyczeń głównie rosyjskich. Języka tego angielski czytelnik z początku w znacznej mierze też nie rozumie.

Jaka przyświecała temu intencja?

Najpierw utrudnianie czytelnikowi odbioru, żeby podkreślić obcość i niezrozumiałość formacji kulturowej, społecznej i historycznej, jak również odwrócić uwagę od dziejących się okropności przez jej częściowe zaprzątanie trudnościami języka. A sukcesywne przyswajanie go sobie i coraz dokładniejsze rozumienie ma stopniowo redukować tę obcość, wytwarzać w miejsce abominacji coś na kształt empatii w stosunku do Alexa oraz instynktownego odczuwania formujących go wpływów.

Ta intencja została podważona już w pierwszym wydaniu amerykańskim z 1963 roku, zaopatrzonym w niemądre posłowie, gdzie Stanley Edgar Hyman informuje, że czytając nie mógł się powstrzymać od układania słowniczka, który tu „przedrukował, choć nie jest on bynajmniej autoryzowany i opiera się po części na zgadywaniu”. Więc przynajmniej część jego niekompetencji nie obciąża Burgessa, mimo że sporo ignoranckiej bylejakości tkwi w samym słownictwie i nie ma usprawiedliwienia.

Znakomita koncepcja i dosyć mizerne wykonanie tego języka idą tu ręka w rękę.

Dla przekładu polskiego stworzyłem własny język na podobnej zasadzie.

A raczej dwa języki.

Bo u nas wyłania się z tego zjawisko dużo poważniejsze. Już nie zabawa literacka. Tylko coś

przerazająco realnego: język nie tyle fikcyjny, jak u Burgessa, ile ten, którego odpowiednikiem Polacy będą rzeczywiście mówić około roku 2100 lub o wiele wcześniej, gdyby utrzymała się tu przewaga kulturalna Rosji Sowieckiej. Ten język i posługujący się nim przekład nazwałem: *wersja R*. Ale będzie też wydana *wersja A*: drugi i zupełnie inny przekład *A Clockwork Orange*, oparty na założeniu, iż powstanie sytuacja odwrotna i że polszczyzna futurologiczna przekształci się raczej w kierunku angielskiego.

Gdy kończyłem przekład w wersji R i niniejsze studium, wydawało się raczej pewne, że czeka nas ten wariant rzeczywistości. W pół roku później historia świata stanęła na głowie i wydaje się tak samo pewne, że będzie na odwrót.

Nie wyciągajmy jednak zbyt pochopnych wniosków.

Sowietyzacja świata i tej jego części chyba już nie nastąpi. Ale rozpoczęte procesy w kulturze i języku nie dadzą się z dnia na dzień zatrzymać ani odwrócić: tym bardziej, że nieświadomie im ulegają i nadal je forsują ci sami, którzy najzajadlej deklarują się przeciw sowietyzacji oraz wszystkiemu, co rosyjskie. Tak czy owak nic tu nie zależy od deklaracji! zwłaszcza bez kultury osobistej i rzetelności. Więc jakkolwiek szanse wersji A bardzo wzrosły, wynik tej gry pozostaje wciąż nierozstrzygnięty.

Jak w oryginale, tak i w przekładzie tekst wersji R nasycony jest neologizmami do tego stopnia, że pojawia się ich do kilkudziesięciu na każdej stronie. W przeliczeniu na hasła w oryginale jest około 300 neologizmów. Ze względu na całkiem inną skalę eksperymentu językowego polski słowniczek zawiera ich ponad 1000 i to jeszcze nie komplet.

13

Dowiedziawszy się z zapowiedzi w prasie i wywiadów radiowych, że robię dwa osobne przekłady tej powieści w dwóch różnych wersjach, niektórzy od razu wiedzieli, że to: hi hi! jeszcze jeden mój ekscentryczny wyglup.

Takim nie mam nic do powiedzenia.

Do zupełnie innej klasy rozmówców kieruję rozpoczynające się tu wywody i refleksje. Nie spodziewam się, aby każdy czytelnik podzielał moje poglądy i przewidywania w całej rozciągłości. Ostrzegam jednak, że – niestety! – większość z nich się potwierdzi. Może nawet – kto wie? – tak rychło, że ja sam zdążę tego jeszcze po części dożyć.

Kto się dopatrzy w tym dwoistym tłumaczeniu tylko wyrafinowanej gry literackiej, stylistycznego i translatorskiego eksperymentu, niech się cieszy albo zżyma: jeden z celów został osiągnięty. Może kogoś zafrapować po prostu aspekt językoznawczy i próba lingwistycznej futurologii, pokrewna wymyślaniu sztucznych języków: od tak dyletanckich jak Volapük lub Esperanto i 40 prób jego ulepszenia po tak profesjonalne jak Latino Sine Flexione wybitnego matematyka Giuseppe Peano lub Novial znakomitego językoznawcy Otto Jespersena i pozostałe 2 lysiące sztucznych języków międzynarodowych. Kogo zafrapuje nie tylko to, lecz i uświadomienie procesów już realnie przekształcających język polski oraz tych, które go tak czy inaczej zmieniają w obcy nam i oby nie wymierający język naszych prawnuków: ten zyska więcej przyjemności umysłowej i sięgnie głębiej. Dla kogo te uświadomienia i refleksje staną się podniętą do walki o nasz język nie po to, aby wstrzymać (co byłoby szkodliwe i nierealne) jego rozwój, lecz po to, aby nie przestał on istnieć (wraz ze swą literaturą i kulturą) w toku nieuniknionej ewolucji, o to, aby dobra polszczyzna terażniejsza i przyszła nie zagryzły się wzajemnie, lecz harmonijnie zrosły ku

obopólnej korzyści; temu dłoń ściskam.

A kto sięgnie jeszcze głębiej w rejony, gdzie polityka, socjologia, etyka i historia są nieodłączne od języka, temu w kategoriach ogólnych nie muszę nic więcej objaśniać.

Tak się składa, że języki angielski i rosyjski należą do tych, którymi władam najlepiej. Po rosyjsku mówię (wprawdzie dopiero po tygodniu lub dwóch pobytu) nie do odróżnienia od tubylca, choć w pisaniu zdarzają mi się sztuczności. Po angielsku mówię nie bez obcych naleciałości, za to piszę dość naturalnie (aż po tłumaczenie na angielski poezji Leśmiana i Gałczyńskiego włącznie). Mogę więc projektować organiczny stop żywej polszczyzny z jednym i drugim nie mechanicznie, lecz na instynkt i na słuch, nie kłęcząc sztuczności.

Inaczej bym się na ten eksperyment nic porwał.

Ostrzegają przed tym zresztą wszystkie znane mi przekłady *A Clockwork Orange*. Ze znanych mi najlepszy jest niemiecki, w którym Walter Brumm w najłatwiejszej warstwie gładko wykorzystał do neologizmów słowotwórstwo niemieckie, lecz nie sięgnął po nic poważniejszego i nie zdobył się na choćby elementarne zastanowienie się nad fonetyką i grafia rosyjskiego. Wszystkie inne zaś próby tłumaczenia budzą tylko politowanie.

Burgess pisał mi, że on radzi załatwić stylizację polską anglicyzmami zamiast rusycyzmów.

Jest w tym oczywiście pewien sens i mam nadzieję, że drugi przekład pozwoli to sprawdzić.

Nie to jednak miał Burgess na myśli. On po prostu nie ma pojęcia o języku polskim i jego specyfice aktualnej czy historycznej, o tym, co pod względem politycznym, kulturowym i lingwistycznym wynika z naszej lokalizacji na mapie. Jego wyobrażenia o tym, co z polszczyzną da się zrobić i po co, były najzwyczajniej wyssane z palca. Nie domyśla się powagi zagadnienia i jego chyba światowej unikalności.

Z całkiem innych przyczyn wszedł na tę fałszywą drogę młody anglista Cezary Michoński.

Nawiązał on ze mną kontakt już przedtem, zanim opublikował w nrze 2(28) kwartalnika „Akcenty” z 1987 roku własną próbę przekładu jednego z rozdziałów *Mechanicznej pomarańczy*, bodajże jedyną w tym języku oprócz mojego przekładu.

Zasada, którą przyjął, jest aż do absurdu mechaniczna. Lecz to nie jego wina. Młody anglista wyszedł bowiem z lubelskiej szkoły akademickiej i tam wpojono mu nierozumienie spraw elementarnych, podobne do tego, którym ośmieszyła się na cały kraj profesorka jego, słynna z nieszczęsnego przekładu *Kubusia Puchatka* pod imieniem *Fredzi Phi-Phi* doc. dr Monika Adamczyk. Jak u niej, tak i tu zabrakło uświadomienia, że każdy w ogóle przekład (a po stokroć taki jak ten) wymaga stworzenia pewnej rzeczywistości stylistycznej, rzec by można: własnego dialektu. A następnie artystycznego posługiwania się nim jak każdym idiolektem czy odmianą języka. Natomiast jeśli nie stworzono żadnej stylistyki lub nie używa się jej w sposób i w celach artystycznych, to zagadnienie przekładu artystycznego w ogóle nie zaczęło istnieć.

Tak w tym wypadku.

Michoński uznał, że skoro Burgess wtyka w język angielski zniekształcone wyrazy słowiańskie, tłumacz powinien w język polski nawtykać zniekształconych wyrazów angielskich. I to w tych samych miejscach! jak gdyby to rozwiązywało którykolwiek z tysiąca problemów przekładu artystycznego. Faktycznie ani rozwiązany nie został, ani nawet nie pojawił się żaden problem artystyczny; propozycja nie ma cech utworu literackiego; z eksperymentu wynikła tylko pedantyczna i zupełnie

jałowa układanka. Jakieś nieporadne *lipy* i *blad* zastąpiły w niej *rot* i *krowy*: to wszystko! Wpisać zamiast nich *usta* i *krew*. otóż i najbanalniejszy tekst polski bez śladu Burgessa i jego specyfiki, o nijakiej składni, jeśli w ogóle czymś nacechowany stylistycznie, to sztucznością martwego żargonu wstępniaków i telewizji. Typowo polską! to jedyny rys charakterystyczny. A wszelką istotną problematykę wyparło zastanawianie się, czy *thing* przepoczwaczyć na *fying*, *sing* czy *tyng*?

Oto skutki translatoryki lubelskiej.

Nie chciałbym tu urazić młodego anglisty, zwłaszcza że podszedł on do sprawy zarówno rzetelnie, jak i samokrytycznie. Pod tym względem jest zaprzeczeniem swej uniwersyteckiej mentorki. Może nie jego wina, że błędny ogień zwabił go na trzęsawiska, gdzie kwitnie uniwersytecka teoria przekładu, sprawdzająca się w takiej praktyce. W swojej pracy magisterskiej z 1988 roku Cezary Michoński zanalizował drobiazgowo dwie moje fragmentaryczne wersje przekładu *A Clockwork Orange* i jedną własną, dochodząc do szeregu trafnych wniosków, mimo i wbrew narzuconej mu fałszywej metodzie.

15

Ale jak to robi sam Burgess?

Wybieram prawie na oślep coś z końca 3 rozdziału I części: *There were vecks and ptitsas, both young and starry... and I was smecking all over my rot and grinding my boot in their litsos. And there were devotchkas ripped and creeching against walls and I plunging like a shlaga into them... lying there on my bed with glazzies tight shut and rookers behind my gulliver. Z tych aż 12 sztucznych rusycyzmów do mniej oczywistych należą *vecks and ptitsas* (czyli w zwykłym slangu *fellows and chicks*) będące skrótem od *czelowiek* i kalką etymologiczną przez kurczaka do *ptica*. Na pewno nie przypadkiem daje się wyczuć tu i ówdzie wpływ orwellowskiego *Newspeak*: oto na trzech kolejnych stronicach przysłówki *publicwise*, *thiswise* i *daywise*.*

Warto się dokładniej rozpatrzeć w lingwistycznej analizie i ocenie tego eksperymentu. Ograniczę się do rusycyzmów.

Pierwsza wątpliwość: podstawowy zasób leksykalny to najbardziej stabilna część języka. Jest więc mało prawdopodobne, aby w języku, który pozostał bądź co bądź angielskim, uległy wyparciu wyrazy tak podstawowe i do tego wrośnięte w idiomatykę jak *big*, *rich*, *name*, *go*, *buy*, *man*, *leg*, *knife*, *drink*, *body*, *sex*, *drunk*, *joy*, *neck*, *hear*, *word*, *dream*, *thing*, *see*, *drive* na korzyść niby rosyjskich *bolshy*, *bugatty*, *eemya*, *itty*, *kupet*, *moodge*, *noga*, *nozh*, *peet*, *plott*, *pol*, *pyahnitsa*, *radosty*, *shiyah*, *slooshy*, *slovo*, *sneety*, *veshch*, *viddy* i *yeckate*. Te wyrazy i garść ekspresywnych w rodzaju *choodessny* (wonderful), *grooties* albo *zoobies* (piersi i zęby) mogłyby się zjawić co najwyżej w roli efemeryzmów, czyli sztucznych wyrazów równie szybko zjawiających się w użyciu jak znikających, głównie w funkcji ozdobników stylistycznych wzmagających ekspresję wypowiedzi lub realizujących przelotną modę. Równocześnie jednak wiadomo, że właśnie język angielski charakteryzuje się w zakresie efemeryzmów całkiem wyjątkową przelotowością. W krajach mówiących po angielsku zjawia się i znika co roku łącznie olbrzymia liczba około 5 tysięcy efemeryzmów! I nie ma to nic wspólnego, dajmy na to, ze stylem Joyce'a, który nie prezentuje niczyjego języka, lecz stwarza własny i wyłącznie na swój użytek.

Wspomniane tu reguły mogą co prawda nie stosować się do środowiskowych gwar hermetycznych, służących do tego, aby członkowie pewnych grup legitymowali się pomiędzy sobą jako swoi, a nie byli rozumiani przez postronnych: stąd choćby gwara ochweśnicka i żargon

klezmerski. Parokrotnie sugeruje się to w dialogach. Ale więcej poszłak świadczyłoby, że Burgess traktuje styl swego narratora jako nie jedyną wprawdzie, lecz nie efemeryczną, szeroko rozpowszechnioną i społecznie utrwaloną już normę językową. Przemawia za tym choćby jej bogactwo, rozbudowana idiomatyka i koegzystencja rusycyzmów ze słownictwem rdzennie angielskim.

Jest w tym pewna niekonsekwencja.

Natomiast uderzające bywają niezręczności i komiczne nieporozumienia w tej niby to ruszczyźnie, wyszperanej po słownikach lub uzyskanej od kiepskich doradców.

Dlaczego na przykład *oozy* to łańcuch od roweru, *sharries* tyłek, a podstawowym słowem oznaczającym bicie i masakrowanie jest *tolchock*? Bo w słowniku angielsko-rosyjskim ktoś znalazł pod *chains* różne odpowiedniki jak *okowy*, *uzy*, *cepi* i wybrał na chybił trafił akurat to słowo, które nie oznacza łańcucha. Bo ekwiwalent *buttocks* musiał sam sobie ukręcić z niewinnych słów oznaczających kule. Bo znalazłszy pod *push* słowo *tolczok* nie domyślił się, jakie to niewinne szturchnięcie. Tak samo papierem czuć z daleka czasowniki, w których końcówkę bezokolicznika wzięto za część tematu z wynikami tak groteskowymi jak *govoreeting*, *interessovatted* i *nachinatted*. Całkiem jakby nasz autor nie wiedział, że "w rozwoju zwłaszcza potocznej angielszczyzny dominuje monosylabizacja i że już trój sylabowy temat jest dla jego rodaków prawie nie do wymówienia i karykaturalny przez samą długość.

I czy ze słuchania na przykład radia lub TV przesączały się do żywej mowy te rusycyzmy? czy z owej *subliminal penetration*: bliżej nie określonej techniki propagandowej, o której wspomina jeden z psychiatrów, a za pomocą której groźny słowiański Wschód subliminalnie czyli podprogowo wsącza w świadomość młodych Anglików elementy swego języka?

To zapytanie samo dyskwalifikuje problem. Bo w jednym ani w drugim trybie na pewno nie wsączano by i nie odbierano jawnych pomyłek– ani też bezokoliczników.

Do tego trzeba było po ignorancku kartkować słownik nie znanego sobie języka.

Oznaczony specjalną gwiazdką (że nierosyjskiego pochodzenia) w słowniczku wyraz *yarbles* utrwalił czarno na białym niechlujstwo tych metod. Są to bowiem jaja, których odpowiednika naturalnie (jak i w przypadku *sharries* czyli zadka) nie udało się znaleźć w słynnych z przyzwoitości słownikach angielsko-rosyjskich, więc ktoś je musiał zaimprovizować w oparciu o slangowe angielskie *apples* i znalazł *jabłoko*: a później widać zgubił odpowiednią karteczkę. Ale w tekście zdarza się obok skrótu *yarbles* również dłuższa i całkiem jednoznaczna forma *yarblockos*. Wreszcie to wciąż powtarzane wyzwisko: *bratchny!* co miało znaczyć: *bastard!* czyli po prostu skurwysyn. Nie wystarczył już Burgessowi stary *son of a bitch* w żadnej z licznych pisowni. Oczywiście żaden słownik mu nie podsunął sukinsyna i temu podobnych. Gdyby się tak zetknął z kimś znającym żywy język rosyjski! jakże by mu pasował zwykły *mudak!* i jak pięknie by to wyglądało w transkrypcji: *moodack...* A tymczasem słownik wręczył mu pod *bastard* straszne wyzwisko: *wniebracznyj* czyli nieślubny. A że słowo było jednak za długie, więc ucięto mu początek i oto biedny Alex, nieświadom, jak go nabrano, wymyśla na prawo i lewo od *bracznych...* czyli jak najlegalniej ślubnych.

Ale mimo wszystko z rosyjska.

o nim pojęcie, dopuszcza się Burgess całkowitej mistyfikacji.

Jej może najbardziej szokujące przykłady znajdziemy w innej, o ćwierć wieku późniejszej książce: w powieści *Any Old Iron* (1989, Byle stare żelastwo). Epatując niezliczonymi błyskotkami wtrąceń obcojęzycznych, od słowa po zdanie lub frazes, po walijsku, niemiecku, hebrajsku i po wszelakiemu, znów najskwapliwiej popisuje się Burgess rosyjskim. Co tam się nie wyprawia! Mogła jeszcze być wątpliwym dowcipem *stschigreshnevaikache* (jak zapewnia: *in French transliteration!* też lipa) jak gdyby pochodna od kapuśniaku z kaszą gryczaną. Ale *choroszo* teraz wymawiane *khoroshcho* i nazwisko Struve źle odczytane jako *Strube*, zaimek *ich* z przymiotnikiem *smuglych* „transkrybowane” jako *ish smuglish* oraz *bolszoy ogoń* jako *balshiyiy agon* tudzież „objaśnienie” do wiersza, że w *wietrożogie* (czyli: ogorzałe od wiatru) znaczy: z twarzami w czarnych sadzach od ogniska, czy dufna i nie sprawdzająca pewność, że od nazwiska Szvernik można urobić formę żeńską *Marya Shvernika* i od wyrazu *gospoza* nie istniejący męski *gospoż*... wystarczy! oto pełna nieznamość nawet i rudymentów języka, od liter cyrylickich po gramatykę i słowotwórstwo.

W tych popisach ignorancji nie oszczędził również polszczyzny. Pojawia się na przykład i nie przypadkiem, bo kilkakrotnie, miejscowość (z naciskiem: że to po polsku) nazwana Żyto (czyli Roggen na wschód od Odry: chyba szło mu o Żytno) i także miejscowości Ziemiak i Kapusta.

Smacznego.

W artykule *Firetalk* Burgess opisał, jak to projektował na bazie ścisłej lingwistyki ów język jaskiniowców do filmu *Walka o ogień*. I dopiero tu się kompletnie demaskuje. Aby się nie wdawać w detale i pryncypia, na których absurdalność rykiem śmiechu może odpowiedzieć lingwista, lecz tylko znudziłby się laik, ograniczę się do księżycy. Jak tu jaskiniowcy mogli nazywać księżyc? Burgess fantazjuje na temat jego krągłości i szuka jej odbicia w nazwach zaczerpniętych na oślep z 26 języków, ignorując fakt, że wszystkie są prawie o 100 tysięcy lat późniejsze, a co trzeci nie wiąże się ani rusz z praindoeuropejskim, którego jakby zamierzchłą rekonstrukcję sobie założył. Tak czy siak wynika mu jaskiniowy odgłos: *huuun!* z malajskiego *bulan* i różnych europejskich *moon* itp. Ale niestety: wszelkie *moon*, *Mond*, *maan* jak też *miesiąc*, *mundus* i *monde* (w różnych znaczeniach) wywodzą się przecież opisowo z indoeuropejskiego pierwiastka *me*, który znaczył: mierzyć! bo mierzono nim czas. Względnie najdosłowniej zaś służył księżycowi pierwiastek *leuk*: coś jasnego, skąd i białość, i wszelkie światła na niebie, aż po łacińskie *luna* i słowiańskie *luna* (też w różnych znaczeniach). Burgess jednak zgarniał na oślep, jak i skąd (tylko nie z litewskiego! o którym lada student by wiedział: że jest głównym i najważniejszym źródłem dociekań praindoeuropejskich) i co tylko popadnie: z niewiarygodną wręcz ignorancją lingwistyczną włączając do swych rozważań nawet i polski *księżyc*, nie domyślając się, że to przezwisko: mały książe! w przeciwieństwie do wielkiego księcia: czyli słońca; zresztą zapożyczenie z tegoż wyrazu germańskiego co *king* i *ksiądz*. A skąd mu się ubrdało, że księżyc po czesku to *komar*? tego już nie sposób się domyślić.

Takie to i językoznawstwo.

W sukcesywnie poprawianych wydaniach cieszył się niejaką popularnością jego wstęp do językoznawstwa *Language Made Plain* (1964 i 1975, Język prosto wyłożony). Wydał go pod prawdziwym nazwiskiem jako John Burgess Wilson., Ale nikt ze specjalistów nie traktuje go serio: i nic dziwnego.

Zacznę od wspomnień.

Trzydzieści lat temu zapoczątkowałem w literaturze polskiej nowy styl tłumaczenia, wprowadzając do kryminału Petera Cheyneya *Kat czeka niecierpliwie* (Warszawa 1958 Iskry) w dialogach elementy mowy potocznej i substandardu jako odpowiednik angielskiego slangu i kolokwializmów. Eksperyment mój okazał się produktywny i zwrócił na siebie uwagę. Owszem: rozpętała się krótkotrwała walka na ostre w redakcji (była to bodajże czwarta moja książka i nie mogłem jeszcze narzucać swych warunków ani postawić ultimatum, a jeżeli, to ryzykując dalszym ciągiem swej kariery pisarskiej). Owszem: zakwękał w paru zdaniach jeden czy drugi (wtedy jak i dziś nikomu nie znany) recenzent. Owszem: rozmaici tłumacze (jako że sytuacja obiektywna domagała się tego) podchwycili z miejsca mój wynalazek i zaczęli go powszechnie stosować nie tylko w przekładach kryminałów, lecz i nowszej klasyki zwłaszcza amerykańskiej, nie kwitując niczym swego długu i nie powiedziawszy mi nawet dziękuję.

Ale najcenniejszym sygnałem powagi zagadnienia i tego, że ją doceniono, stało się obszerne i drobiazgowo studium, jakie memu przekładowi poświęcili docent Tadeusz Skulina w nrze 4/XXXVIII „Języka Polskiego” z 1958 roku. Badacz ten podkreślił wagę sprawy i nowatorstwo rozwiązania, dokonał szczegółowej analizy wprowadzonego przeze mnie języka i stwierdził, że nowatorstwo polega tu głównie na słownictwie, w niewielkim stopniu na idiomatyce i prawie nie tyka składni.

Niestety miał rację.

Był to jednak mój i w ogóle pierwszy krok do formuł translatorskich dotąd nieznanych i zabronionych.

Czy wygrałbym 30 lat temu walkę o druk tej książki, gdybym się był posunął o krok dalej? Wątpliwe. I tak musiałem wziąć ze sobą świadka (był to mój niezawodny przyjaciel Staszek Werner) i zagrozić wydawnictwu sądem, jeśli unicestwi w moim przekładzie to, co w nim odkrywcze i najcenniejsze. Złękli się. Po czym zmuszono mnie w tych samych Iskrach do rezygnacji z następnego przekładu z góry stawiając mi ultimatum: żadnych eksperymentów! A nastąpiło to już po ukazaniu się rozprawki docenta Skuliny i w momencie gdy racja moja w sprawie Cheyneya została triumfalnie i definitywnie udowodniona

Dla mnie te kłopoty należą do historii.

Ale rozglądam się wokół: ilu z takich dysponentów kultury ma do dzisiaj w ręku bat i tępy nóż, którymi wciąż pozwala im się w załączku niszczyć niepojęte dla nich wartości?

Więc jaki ma być ten język?

Leksyka jego, w znacznej mierze uporządkowana w słowniczku, mówi sama za siebie. Naturalnie ona się najbardziej rzuca w oczy. Mimo to nie jest najważniejsza.

A co jest?

Przede wszystkim składnia. Jej struktura ogólna i zespół szczegółowych konstrukcji są przecież decydujące w każdym języku, co zwykle niezbyt sobie uświadamia dyletant, belfer, krytyk, w ogóle ktoś nieporadnie mówiący albo piszący. Nie tyle w użyciu słów ile w ich łączeniu kryje się istota określonego języka, jego mistrzostwo, banał i przeciętność lub nieudolność. Tu również najdotkliwiej, bo najskryciej, odciskają się wpływy obce i zjawiska rozkładające język.

Następnie rekcja oraz idiomatyka (wprawdzie nieodłączne: rekcja od składni, idiomatyka od

leksyki) najdobitniej konkretyzują to, co dzieje się w języku na szczeblu pojedynczych zdań, wyrażen i połączeń wyrazowych.

Wreszcie semantyka z pragmatyką językową, słowotwórstwo i funkcjonalne zróżnicowanie języka według dialektów i stylów należą do tych elementów, którymi najtrudniej operować; które decydują o literackiej formie dzieła nawet i wówczas, gdy słownictwo jego prawie niczym się nie wyróżnia.

Oto na czym koncentruje się moja uwaga w tłumaczeniu *Mechanicznej pomarańczy*.

Więc o słownictwie nie ma co rozprawiać. Że odrębność jego prowokuje na pierwszy rzut oka? Dobrze: prócz ewidentnych rusycyzmów sięgam też po zapożyczenia ze środowiskowych gwar lub żargonów i wprowadzam obfitość naśladowanych je neologizmów i neosemantyzmów: to znaczy innowacji słowotwórczych i znaczeniowych. Trochę zapożyczeń pochodzi z innych języków, przede wszystkim z angielskiego i niemieckiego, tu i ówdzie czeskie, żydowskie lub ukraińskie. Ta formuła dotyczy nie tylko wersji R przekładu, ale *mutatis mutandis* również i wersji A.

Jest bowiem raczej pewne, że jakkolwiek potoczy się historia i tym samym ewolucja polszczyzny, będzie ona ulegać wpływom nie jednej kultury lub języka, lecz wielu, i tak czy owak przenikające do polszczyzny obce słownictwo musi wywodzić się przede wszystkim z dwóch źródeł: angielskiego z amerykańskim i rosyjskiego. Jeden wpływ drugiego nie wyeliminuje.

Co najwyżej trzecia jeszcze możliwość widnieje na horyzoncie: gdyby się okazało, że Polska wejdzie w orbitę zjednoczonych Niemiec i włączy się po dobrosąsiedzku w ich potężny zarówno ekonomicznie, jak i kulturalnie organizm, rozwój polszczyzny może pójść i w trzecim kierunku: tym łatwiej, że już od wieków nic tak bardzo nie kształtowało języka polskiego jak niemiecki. Ten proces najzupełniej spontaniczny, przebiegający poza świadomością narodową i wbrew tej świadomości, uległ na kilkadziesiąt lat zawieszeniu tylko czy spowolnieniu i gdyby się w nowych okolicznościach ożywił, nie musiałby stwarzać w języku nowych mechanizmów: po prostu nawiązałaby do gotowych. Mówiąc tylko pół żartem: a nuż czeka mnie jeszcze wersja N perypetii Alexa?

Jednak i niemiecki ulega potężnie kształującym wpływom angielskiego, z którymi zresztą (mimo tak znacznej bliskości obu języków) niezbyt się potrafi uporać.

Więc i dla polszczyzny byłby to zapewne łączny wpływ obu. Co i tak jest faktem.

A zmieniłyby się głównie proporcje. Tak i w początkowej alternatywie. Nie: który wpływ obcy wyeliminuje ten drugi? Tylko: czy angielszczyzna wywrze decydujący wpływ z dużo mniejszym, lecz i tak widocznym udziałem rosyjskiego, czy na odwrót.

Więc głównie składnia i rekcja (czyli zasady gramatycznego łączenia wyrazów) ulegną wyraźnej anglicyzacji lub rusyfikacji: z czasem, kto wie? może do tego stopnia, że język stanie się w swej decydującej strukturze angielskim albo rosyjskim. O to pierwsze trudniej, rzecz jasna, ze względu na fundamentalnie odmienną strukturę języków angielskiego i polskiego: ten proces musiałby trwać wiele pokoleń i przejść stadia częściowego analfabetyzmu lub ogromnej prymitywizacji stylu kolokwialnego, dochodzącej aż do zrywania kontaktu z językiem pisanym. Ale czy jest to nie do pomyślenia? Wszystkie trzy warunki:

1. prymitywizacja
2. rozległy półanalfabetyzm
3. separacja od mowy pisanej

już dziś rozwijają się w skali przerażającej.

O rusyfikację zaś bez porównania łatwiej: wystarczy niewielkie przesunięcie w nawykach i preferencjach językowych, ażeby składnia polska najpierw przemieszała się z dość bliską jej składnią rosyjską, a następnie pozbyła się konstrukcji mniej rosyjskich. Proces ten zachodzi już dziś,

tym łatwiej, że nie wymaga on separacji od form pisanych lub inaczej upowszechnianych: po prostu ludzie, wywodzący się z nizin społecznych (lub adaptujący się do nich) i awansujący życiowo bez awansu kulturalnego, używają coraz mniej poprawnego języka (który wypiera swoista mowa awansu) pisząc w gazetach i tygodnikach, wydając książki, redagując je lub zabierając głos w telewizji, przez radio i w życiu publicznym. Czynią to coraz bezkarniej i powszechniej... częstokroć nawet pod hasłem walki o kulturę języka! Niemale są w tej mierze (i kwitną w blasku doktoratów i profesur) zasługi nawet sfer akademickich, polonistów, językoznawców. Ten proces narasta lawinowo: i jeśli na tej drodze czeka nas rusyfikacja polszczyzny, dość na to jednego pokolenia czy dwóch.

Moja składnia w *Mechanicznej pomarańczy* wersji R pokazuje głównie strukturę języka mówionego, już silnie zrussyfikowaną, choć niekonsekwentnie, bo na etapie współistnienia i walki nie manifestowanej.

Lecz tym bardziej rozstrzygającej.

Uwarunkowane składniowo rytmem i kadencją zdań, chwiejna pozycja zaimka zwrotnego *się*, imiesłów uprzedni we frekwencji nasilającej się i funkcji przymiotnikowej, wahający się też na granicy nowych form złożonego czasu przeszłego, zwykły czas przeszły typu rosyjskiego w użyciu ekspresywnym, chwiejność w enklitycznych zaimkach osobowych: to niektóre z wielu przejawów rusyfikującej się składni.

Kto chce, niechaj poszuka innych.

Warto podkreślić, że choć ja urobiłem to w całość, elementy jej nie są bynajmniej fikcją. Już kilkadziesiąt lat temu wstrząsnął mną przekład *Baśni z 1001 nocy* Krzysztofa Radziwiłła i Janiny Zeltzer (Warszawa 1960 Nasza Księgarnia) z konsekwentnie rosyjskim umieszczeniem *się* po czasowniku! a dialogi w rodzaju: *Mi? Ci!* są już normalne wśród ludzi z maturą. Kiedy uświadomić to sobie, nawet nie sięgając do zjawisk takich jak typowy prezenter TV w audycjach kulturalnych, wolno postawić mi zarzut: czy nie nazbyt optymistycznie zaprojektowałem ten zwyrodniały język przyszłości? Bo nawet mój Alex czy inni rysztołkowcy pod pewnymi względami nie posuwają się w degeneracji swej fantastycznej polszczyzny do takich skrajności: już dziś przecież najzupełniej rzeczywistych.

I to nie w rysztołku. Ale na szczytach.

Wiedząc już, czego szukać, zainteresowany odbiorca sam znajdzie niezliczone przykłady rusycyzmów nie uwzględnionych w słowniczku. Może to być zwykły polski wyraz, ale przesunięty z lekka w znaczenie (choć i po polsku możliwe) bardziej typowe dla równobrzmiącego z nim wyrazu rosyjskiego. Kalka z idiomu rosyjskiego, łatwo (lub dzięki kontekstowi) zrozumiała, lecz po polsku obca lub niepoprawna. Ekwiwokacja znaczeń, które w polskim wyrazie (jeśli bez nacisku ideologicznego) nie mieszają się, lecz w odpowiedniku rosyjskim i owszem. Takich szczegółów znajdują się setki i setki, a może tysiące.

Czy mój projekt języka nie ma prekursorów?

Jednak posiada ich. Fragmentarycznie. Najważniejszy to Wiech. Zasadniczych różnic więcej tu wprawdzie niż podobieństw. Tam chodzi głównie o humor, tu prawie nieobecny. Tu koszmar i na ponuro! Wiech ściśle umiejscowił swe przedwojenne opowieści w dołach społecznych, w ich rzeczywistości językowej i drobnych tarapatach życiowych: wymiar i tło *Mechanicznej pomarańczy* są całkiem inne. Ale łączy je ignorowanie norm językowych i konsekwentne stosowanie norm własnych oraz fakt, że ta gwara warszawska, którą Wiech utrwala i przetwarza, jest reliktem oddalonej wówczas o jedno lub dwa pokolenia epoki, gdy zagrożenie polszczyzny przez wpływ języka rosyjskiego przybrało formy i rozmiary zbliżone do dzisiejszych i do tych konsekwencji na niedaleką przyszłość, które ja tu przedstawiam.

Więc ta fikcja językowa nie jest aż tak fikcyjna. Raz już potwierdziła się w laboratorium przeszłości i stąd jej odbicie u Wiecha. Więc jej model i wariant futurologiczny mają wysoki stopień prawdopodobieństwa.

Aż do szczegółów włącznie.

Zmierza to ku drażliwemu pytaniu, które z pewnością sto razy będzie mi zadane: czy ja popieram taką ewolucję polszczyzny? czy mój przekład ma ją lansować? czy nie obawiam się, że taki będzie jego praktyczny efekt?

Nie ten wywołuje chorobę, kto ją wykrył. Nie ma, jak wiadomo, skuteczniejszej metody na szerzenie chorób wenerycznych niż krycie się z nimi lub udawanie, że ich nie ma. Jeszcze się nie ukazał mój przekład, a już mi zwracano uwagę (przy lekturze jego próbek i fragmentów), że to nie fikcja: bo tak się już mówi! choć u mnie większość tej mowy naprawdę wynikała nie z podsłuchiwania i zapisu, tylko z dobrej znajomości polszczyzny i że wiem, co i jak się w jej wnętrznościach porusza. Nie jest mi sympatyczniejsza ta polszczyzna niż ten bydlaczek Alex! i jako tłumacz nie bardziej utożsamiam się z tym językiem niż z postacią Alexa. Mam nadzieję, że wydobyć ich obu na bezlitosne światło przyczyni się do tego, aby zmniejszyć oba te zagrożenia.

19

Dla specyfiki tego stylu mówionego charakterystyczne są m.in. zakłócenia sformalizowanej w pisanim języku składni, łatwo przechodzące w strumień mowy nie całkiem powiązanej, anakolut i wiele innych konstrukcji nie mieszczących się w paradygmatach. Gdy rozbicie takie pojawia się już na poziomie słowotwórczym, dochodzi nieraz do struktur podobnych jak w językach inkorporujących raczej niż fleksyjnych.

Zjawisko to, mimo że charakterystyczne dla języków nieindoeuropejskich i tak obcych nam jak indiańskie lub eskimoskie, pojawia się i we francuskim.

Toteż warto zauważyć jego (choć marginesową) obecność tak w mowie potocznej, jak i w momentach dezorganizacji języka i rozpadu jego prawidłowości. Dotyczy to m.in. okresu przemian strukturalnych, który aktualnie trwa w języku polskim. Zjawisko to musiałoby się szczególnie nasilić w razie przyśpieszenia zmian prowadzących do składniowej anglicyzacji polskiego, a więc jego przesuwania się od typu fleksyjnego ku analitycznemu i pozycyjnemu. Wydaje się to prawie niemożliwe: a przecież konstrukcje przyimkowe (charakterystyczne dla tego drugiego typu) szerzą się obok i zamiast deklinacyjnych nawet i w poprawnej polszczyźnie: w języku bułgarskim zaś i macedońskim dawno już przeważały nad fleksją. Czy tak będzie i w polskim?

Wszystkie te nieposłuszne odstępstwa od (zubożonej przecież) regularności językowej to z jednej strony przejawy zachodzącej lub szykującej się ewolucji, z drugiej strony zaś istotne elementy różniące język żywy i mówiony od pisanego.

Polonistyka uniwersytecka woli je tępić niż badać.

Szkoła i redaktor tym bardziej.

Za to jak najobficiej korzystają z nich twórcy i mistrzowie polszczyzny: od Norwida po Białoszewskiego i stu innych. Norwid usiłował ratować pełny język i stwarzać możliwości zapisywania go: edytorom do dziś trudno się z tym uporać. Białoszewski startował z linii bardzo wysuniętych i realizować mógł pełną swobodę w kształtowaniu samego języka i form jego zapisu. Z analogicznych swobód korzystać musi (nie dla fanaberii ani dla popisania się) każdy autentyczny twórca języka.

To samo dzieje się w tym przekładzie i w formach jego zapisu. Tak ma być.

W mojej wersji R przekładu *Mechanicznej pomarańczy* najważniejsze są efekty wydobywane ze składni i słowotwórstwa, ponieważ jest to mocna strona języków słowiańskich, jakby ich przyrodzone bogactwo. Ewolucja ku wersji R musi aktywizować język w tym kierunku wspólnym dla polskiego i rosyjskiego.

Za to w wersji A najważniejsze są formacje przejściowe zmierzające ku analityczności.

Chociaż i tu (śpieszę dodać) nie posuwam się w nich dalej niż do punktu, jaki to przeobrażenie, dla integralności języka mające wymiar kataklizmu, osiągnąć może na przestrzeni kilku pokoleń. Jak uprzednio już podkreśliłem, proces ten (przeciwnie niż w przypadku rusyfikacji) musiałby przebiegać bardzo powoli; albo drastycznie; albo jedno i drugie.

Co prawda w Anglii po normańskim podboju w 1066 roku przeobrażenie takie dokonało się błyskawicznie i w ciągu paru pokoleń język staroangielski, równie (albo i bardziej) fleksyjny jak polski, zginął wyparty przez średnioangielski o strukturze mało różniącej się od dzisiejszego. U nas jednak nie mogłoby się to dokonać tak szybko ze względu na powszechność pisma i druku, co utrwala istniejące formy języka i hamuje przeobrażenia. Dlatego (jak już podkreśliłem) nieodzownym warunkiem byłoby tu stadium daleko posuniętej niepiśmienności.

Jednak alienacja pewnych grup społecznych, na przykład młodzieżowych i przestępczych; właściwa im hermetyczność ekskluzywnego żargonu i język potoczny, mówiony, nie liczący się z regułami pisanego; a na gruncie zawodowym powszechność komputerów i uproszczonego systemu porozumiewania się z nimi; mogą ten proces zaskakująco przyspieszyć.

Nie posuwam się aż tak daleko.

Starając się zarówno w wersji A jak R uniknąć dowolności, zmyśleń i pełnej fantastyki, poprzestaję skromnie na języku tak zanglicyzowanym, jakiego możemy się jeszcze doczekać. I tu również nie brak już realnych pierwowzorów: od częściej ośmieszanej niż rejestrowanej i badanej gwary Polaków amerykańskich po samorzutną twórczość językową młodzieży w kraju, snobującej się na styl amerykański.

Znajomość języków rosyjskiego i angielskiego jest u nas, w skali społecznej, podobnie mizerna i prawie żadna. Rosyjskiego nie chcą znać, angielskiego zaś nie potrafią. Mimo to rosyjski dociera na co dzień i nasącza młodych Polaków nawet bez udziału ich świadomości; angielski zaś, choć tak łąpczywie wychwytywany, ze względu na swoją szczególną trudność i na przeważający prymityw jego amatorów oraz dostępnych im źródeł (głównie przez nagrania źle artykułowanych i mętnie, piąte przez dziesiąte, rozumianych piosenek) dla większości pozostaje niemal chińszczyzną. Z biegiem czasu jedno i drugie może się trochę zmienić: ale co jest istotne, to fakt, że w sumie to się z grubsza wyrównuje. Mimo całkiem różnej motywacji tak rosyjski, jak i angielski są u nas językami bliżej i szerzej nieznanymi, lecz wywierającymi ogromny wpływ na poziomie (przynajmniej obecnie) i w formach dość prymitywnych.

W subkulturze.

Tacy modlą się do angielszczyzny, lecz nie starcza im napędu i mózgu, żeby się jej nauczyć.

Zakładam jednak, że gdyby angielszczyzna miała się u Polaków naprawdę zakorzenić, to wzrosnie najpierw jej prawdziwa znajomość, a potem wpływ na formowanie języka.

Do typowych dla angielszczyzny formacji analitycznych, już załęgających się i z wolna szerzących w dzisiejszej polszczyźnie, należą nie od wczoraj choćby wykrzykniki ekspresywne, które Klemensiewicz nazywał *czasownikami wykrzyknikowymi*, a Jodłowski określał jako *czasowniki niefleksyjne osobowe*: na przykład *lu*, *hop* i *czmychu*, przy czym warto podkreślić, że choćby tu przytoczone są nie dźwiękonaśladowcze, tylko znaczące. Ciekawostka: w języku sundajskim (choć

nie w innych indonezyjskich) rozwinęły się one w osobną część mowy: to dla uświadomienia, że marginesowe zjawiska w języku nie muszą takimi pozostać.

W polskim ostatnio rozwinęły się tak samo nieodmienne przymiotniki, zwykle skrócone przez odrzucenie sufiksu i kończące się często na *o*: takie jak *bordo*, *porno* i *spoko*.

Wszystko to są wyrazy nieodmienne, łatwo dające się użyć (podobnie jak po angielsku) w funkcji różnych części mowy, od rozmaitych form czasownika po rzeczownik, przysłówki i przymiotnik; przede wszystkim zaś (wbrew powtarzanej dotąd regule) jak najbardziej łączliwe w związkach składniowych.

Na pozór są to marginesy języka.

Ale są: i to najważniejsze. A do myślenia daje fakt, że ich obfitość i udział rosną w języku ekspresywnym, potocznym i nie pisanym: czyli tam, gdzie koncentrują się zjawiska decydujące o zasadniczych przeobrażeniach języka.

Już dziś stało się możliwe coś w tym rodzaju: *No i Bibi chap za ten but lila róż i w Zizi, co z tego, że po pijaku i na oślepie, kiedy i tak w sam łeb, no i ta Zizi bach i lulu, jakby nigdy nic*. Opowiadanko to jest oczywiście nieco sztuczne, brzydkie i niekulturalne: nie sposób jednak uważać go za niezrozumiałe, nie polskie lub nie mieszczące się w regułach pewnego stylu. Jeśli to sobie uświadomić, czeka nas szok: bo składa się ono w całości z wyrazów prawie lub wcale nieodmiennych i ma strukturę tak analityczną, jakby to już w ogóle nie był język fleksyjny: lecz konstrukcja pełna rzeczowników, czasowników, przymiotników i nawet zwrotów idiomatycznych bez jakiegokolwiek morfemu, w praktyce nie różniąca się od angielskiej. To jako przykre memento dla wątpiących, czy język polski mógłby się pozbyć swej przeważającej do dziś struktury i całkowicie przeobrazić się w język formalnie zbliżony do angielskiego.

Nie twierdzą, że to nastąpi.

Ale gdyby się decydujące czynniki tak ułożyły: to polszczyzna może być już głęboko i bezpowrotnie zrusyfikowana za 30 lat albo zanglicyzowana za 50 lat, nie za dwieście! i to w stopniu daleko jaskrawszym niż jedna czy druga wersja tej mowy, którą ja tu zaprojektowałem dla rówieśników Alexa.

Omówione wyżej derywaty i konstrukcje analityczne wprowadzam obficie, niż istnieją, szczególnie w wersji A. Lecz podkreślam, że jest to nie fantazja, tylko projekcja zjawisk już dziś istniejących w naszym języku.

Zatrważająca realność tego przyszłościowego modelu potwierdzała się wielokrotnie już w trakcie wymyślania go. Nie tylko dlatego, że dobry neologizm odnajduje się często, już istniejący, w innym czasie lub dialekcie języka. Gdy sprawdzałem na ludziach, co wymaga umieszczenia w słowniczku, okazywało się raz po raz, że wymyślony przeze mnie barbarizm już funkcjonuje w gwarach któregoś regionu lub środowiska.

Także z autentycznymi wyrazami zdarzały się wątpliwości: czy wszyscy pamiętają, że *gablot* i *maraset* znaczą samochód i narkotyki? Co z nich wprowadzać do słowniczka, zdecydowałem wedle subiektywnego domysłu: co wie lub domyśli się każdy, a czego wielu nie zrozumie i nie będzie miało gdzie sprawdzić.

Taka jest i będzie rzeczywistość.

Ale nie zabraknie, rzecz jasna, głupców i ślepców, którzy widząc ten model bliskiej przyszłości

rzucą się na mnie z krzykiem, że to moja ohyda i moja wina. Tym bardziej nie zabraknie (jak zwykle) prywatnych lub z premedytacją sterowanych obelg i oszczerstw. Niektóre instytucje i nazwiska mógłbym z góry wymienić. Trudno! na wojnie jak na wojnie.

W późniejszych i ostatnich książkach Burgessa znać coraz większy rozrzut i jakby gorączkowe dążenie do wielkiej skali, jakoś tam analogiczne do wcześniejszego o ćwierćwiecze szykowania się na śmierć od raka mózgu. Napisał więc lub uzbierał sporo książek zwłaszcza erudycyjnych i beletrystyki o wielu wątkach, jakby gromadził, szlifował i układał w całość projekty i zasoby z całego życia.

Wśród nich wiele dotyczących muzyki.

A przede wszystkim swoje bodaj czy nie drugie arcydzieło. *Man of Nazareth* (1979, Człowiek z Nazaretu) to własny i nadzwyczaj przemyślny żywot Jezusa. Przymierzył się do niego już o dwa lata wcześniej, pisząc we współpracy z innymi autorami scenariusz telewizyjnego serialu *Jesus of Nazareth* i następnie filmu, który zrealizował Franco Zeffirelli. Te były piękne operatorsko i ortodoksyjne: czyli zdawkowe w treści. Ale Burgess nie byłby sobą, gdyby i tu nie wysunął pazurów. Jego powieść nie zawiera w istocie prowokacji ani bluźniersłwa czy choćby odstępstwa od chrześcijańskiej tradycji: dobry katolik może czytać ją bez poczucia, że naraża się na piekło lub na niezadowolenie proboszcza. Jednakże w tych granicach nie znam nic bardziej wyzywającego: gdyż w najzupełniej ortodoksyjnych sytuacjach Burgess ujawnia bez anachronizmu ich szczegółowe i ludzkie implikacje.

Ewangelia ma cały legion modernizacji.

Ale wśród nich ta jedna zaskakuje odkrywczą z pozycji powściągliwie sceptycznych bez prowokacji.

Niepotrzebnie zdublował jej tło i po części temat w historycznej powieści *The Kingdom of the Wicked* (1985, Królestwo złych) o rzymskiej Palestynie tych czasów.

Ponieważ w światku literackim już się nosi Burgessa, furorę zrobiło jego rozmiarami ogromne i zajadle reklamowane powieścisko *Earthly Powers* (1980, Ziemskie potęgi). Nie pomoże mu smutny fakt, że tworzył to rzekome dzieło swego życia przez 10 lat i uzbierał w nim całe setki conceptów, spraw, miejscowości, krajów i co widoczniejszych postaci tego stulecia oraz tysiące i tysiące bystrych, erudycyjnych, złośliwych, dowcipnych spostrzeżeń, uwag, powiedzonek, gier słownych itp. Nie pomoże śmiała i wyssana z palca koncepcja, że wielkość nie mdła i nie uznająca kompromisu automatycznie zmierza ku szczytom deprawacji lub uświęcenia. Nie pomoże efekciarskie założenie dwóch prawie nadludzkich protagonistów, gdzie 81-letni pedał literat Kenneth Marshal Toomey i papież Don Carlo Campanati to mają być (jak wiemy skądinąd) William Somerset Maugham i Jan XXII. Wciąż nic istotnego nie wynika z tego gigantycznego koronkarstwa i jest to jakby sytuacja Bobra i Bankiera w *Wyprawie na żmirlacza* Lewisa Carrolla. Ten rodzaj klęski.

Dalej podsumował swą publicystykę, której dla zarobku i z temperamentu zwykł poświęcać wiele czasu i wysiłku.

Jest to ogromny wybór artykułów i zwłaszcza recenzji, w tym z wielu słowników, zatytułowany *Homage to Qwert Yuiop* (1986, W hołdzie dla Qwert Yuiop). Chodzi tu o układ górnych czcionek w maszynie do pisania, po angielsku odrobinę inny niż po polsku. Lektura nierówna i rozkoszna, w setkach szczegółów demaskująca wiele spraw i ludzi, a również samego siebie.

W pierwszym tomisku swej ciekawej autobiografii *Little Wilson and Big God* (1987, Mały Wilson i duży Bóg) zapowiedział, że nastąpi jeszcze tylko jej druga część i to będzie koniec jego twórczości.

Czy wypnie się na te zapowiedzi?

Tak coś wygląda. Już po niej wypuścił *Any Old Iron* (1989, Byle stare żelastwo) i to chyba najgorsza z jego w końcu nie tak wielu kompromitacji. Czyżby własna i w podobny sposób nieudana *Ada* po Nabokowie mu zamajaczyła w ambicji? Nie wykluczone: już nieraz jakby pozazdrościł innym i próbował napisać to samo po swojemu! a korci go zwłaszcza Nabokov i kolejne okazje do replik na jego wynalazki formalne. Więc w tej niby rzeczywistości z klocków po części fantasmagorycznych kotłują się walijscy mieszańcy z krwią rosyjską i trójka z Manchesteru z żydowską. Przewijają się najśłynniejsze katastrofy naszych czasów, od „Titanica” przez kolejne wojny, a w tym płacze się niedordzewiały Excalibur, znaleziony przez hitlerowców w lochach Monte Cassino i kolejno wykradany od NRD po Ermitaż i z powrotem, w mieczu zaś arturiańskim symboliczny problem: czy pogaństwo zwycięży?

To już zwykła inflacja, marnotrawstwo i poniewieranie tematów. Wszystko na sprzedaż za fałszywy grosz.

22

To czy tamto, więcej czy mniej, a choćby i nic już Burgess nie zdążył wystrzelić ze swej eksplozywnej maszynerii twórczej, ogromny jego dorobek można już z dużym prawdopodobieństwem podsumować. Zarówno w osiągnięciach, do których analogie niełatwo znaleźć, jak i w tym, co wielu oburza i złości, jest kamieniem obrazy i częściej prowokuje do czepiania się niż skłania do sympatii: że kostycznej moralistyki jego dzieł nie humanizują nawet ciągle igraszki językowe i wszechobecny niby humor: a właściwie jadowite szyderstwo. Jego proza, nadzwyczaj pomysłowa i błyskotliwa w szczegółach, bez końca przeobrażająca się formalnie, wzbudza jednak mieszane uczucia od irytacji po niedosyt: i trafnie zwracano uwagę, że nie wychodzi poza chwyt epizodycznego montażu. Ale czyż to jednoznaczny feler? Ja bym powiedział: tylko wówczas, gdy autor zmierza do czegoś innego. Wydaje się, że pewien rodzaj głębi i uniwersalnych perspektyw tą metodą rzeczywiście trudniej osiągnąć.

Nie zaryzykowałbym jednak opinii, że to dlatego większa część jego prozy powieściowej nie daje pełnej satysfakcji. A co w takim razie? I dlaczego Anthony Burgess, tak błyskotliwy i fantastycznie pomysłowy (trzeba wciąż powtarzać te określenia) w swych nieustannych erupcjach twórczych, inteligentny jak brzytwa, mistrz języka i literackiego rzemiosła, jednak nie może przełamać tego kręgu ambiwalencji?

Otacza go podziw i respekt. Bez wyjątku. I tak samo wszystkim czegoś w nim brak.

Formuła o schorzeniu epizodycznym tego nie tłumaczy. Może to raczej nadmiar świadomości profesjonalnej bez tych szczelin, którymi by wtargnął instynkt i żywioł twórczy nie kontrolowany przez świadomość? Ta demoniczna siła, co sprawia, że geniuszem okazuje się Thomas Mann: pisarz tak często rozwlekły i pretensjonalny, bez gustu, obskurant i snob, niedouczone i bez matury? Burgess żadnego z tych grzechów nie popełni. Mimo to wolno już u schyłku jego drogi twórczej powiedzieć, że w dorobku jego nie ma i nie będzie powieści lepszej niż *A Clockwork Orange* i może jeszcze *Man of Nazareth*; może kilka innych nie okaże się efemerydami; a żadna nie wtargnie do wielkiej literatury z wyjątkiem tych co najwyżej dwóch, ale na pewno żadna z tych, które sam przeznaczył na

swe *chefs-d'oeuvre*. Czyżby jednak okaleczał Burgessa zbyt sterylizujący dystans ironicznego umysłu bez tego światłocienia, tej niepewności, co nie tylko zmiękcza ostrość konturów, lecz i zapewnia synaptyczne przejścia do struktur bardziej wieloznacznych?

Nie dotyczy to jego eseistyki.

Ta odcina się liczbą 20 książek na tle 30 powieści. W różnych kontekstach o większości już napomknąłem. Ale wartość jej, na ogół erudycyjna raczej niż głębsza, bywa nierówna i nie układa się w jakiś specyficznym ważny i odrębny sposób widzenia świata.

Nie stereotyp więc i nie reklama prowadzą ten przegląd z powrotem w kierunku *A Clockwork Orange*.

23

Osobny i dość upiorny akapit do dziejów *Mechanicznej pomarańczy* dorzuciły jej perypetie w Polsce.

Jest więcej niż oczywiste, że powieść ta nie zawiera żadnych treści godzących na którymkolwiek etapie historycznym w Polskę ani w jej ustrój, w socjalizm, w Rosję ani w Związek Radziecki, jak również w nikogo z ich sprzymierzeńców. Mimo to cenzura przez 15 lat prowadziła z nią wojnę obsesyjną w swej zajadłości. Pierwsze dwa rozdziały w moim przekładzie miały się ukazać w nrze 2(34) miesięcznika „Literatura na Świecie” z 1974 roku. Ukazał się jedynie mój towarzyszący im pamflet *Horrorshow! czyli bój się Pan jeża*, sam tekst natomiast zdjęto bez uzasadnienia. I tak samo w osiem lat później, gdy na pobojuwisku naszej ukatrupionej prasy literackiej wyręczający ją „Przegląd Techniczny” zaproponował mi druk. Fama głosi, że owa kruczata przeciwko *Mechanicznej pomarańczy* dotyczyła nie książki, lecz jej tytułu: podobno ktoś z Biura Politycznego, bodajże Zenon Kliszko, obejrzawszy na zamkniętym pokazie film Kubricka, wzdrygnął się z obrzydzenia i krzyknął, że *Mechanicznej pomarańczy* ma u nas nie być! i to wystarczyło. Ufff... co za szczęście, że to nie *Hamlet* wpadł przypadkiem pod topór tego Alexa z koleżkami, dopuszczonego do najwyższej władzy w Państwie, Rządzie i Partii.

Czy tak było? Nie wiem na pewno. Ale z rozmaitych absurdów ten wydaje się najbardziej prawdopodobny.

Jednak w momencie, gdy strażnik się zagapił, wydostałem z „Literatury na Świecie” już złamane odbitki i powieliłem je w kilkunastu egzemplarzach. Ta broszurka trafiła do niektórych bibliotek i również do bibliografii, sygnalizując na wpół iluzoryczny byt książki po polsku.

Znalazłszy się akurat w Kuala Lumpur wysłałem jeden egzemplarz Burgessowi. Ponieważ trudno go złapać między podróżami a którąś z rezydencji, przesyłka wróciła i już na polskiej poczcie została skonfiskowana jako druk nielegalny.

Nota bene z równocześnie wysłanej do samego siebie przesyłki z malajskimi książkami ta sama poczta, czujnie i zapobiegliwie, wyzarła mi notatki zawierające nazwiska i adresy malajskich przyjaciół, autorów i działaczy kulturalnych. Ucięło to skutecznie moją dalszą działalność na tym polu.

Legenda o książce i jej przekładzie nadal krążyła i mnożyły się propozycje, abym ją wydał w podziemiu.

Ale jeszcze w roku 1986 mogłoby to utracić wszelkie inne szanse publikacji utworu w jakiegokolwiek formie i tego nie chciałem, uważając, że sprawa jest za poważna, by ją pograć w zamian za ograniczony i tylko środowiskowy efekt publikacji w drugim obiegu. Kto mógł wtedy

przypuszczać, że czasy tak szybko złagodnieją? a potem staną na głowie? Ale i tak cenzurę wyřęcała dobra wola i cnota naszych wydawców. Beztrósko zlekceważył tę książkę Państwowy Instytut Wydawniczy. Guzdrał się rok ze wstępnymi formalnościami Czytelnik. Alfa przejęła sprawę i znów ją położyła. Dla prestiżu i zysku chciało swą działalność wydawniczą rozpocząć od tej książki Stowarzyszenie Tłumaczy Polskich: zgodziłem się i znów jego władze doprowadziły tylko do skandalu i kolejnej zwłoki. Wreszcie w 1989 roku opublikował *Mechaniczną pomarańczę* miesięcznik „Fantastyka” w postaci wkładki. Z niezliczonymi błędami. Po czym z tej wersji, zanim wyguzdrano się z prawdziwą książką, nieznanymi sprawcy przedrukowali jeszcze po złodziejsku dwa wydania pirackie.

Warto policzyć: ileż to niedołęstwa lub niszczyielskiej złośliwości musi w Polsce ominąć na swej drodze do czytelników atrakcyjna, odkrywcza, ważna i do tego niezwykle dochodowa książka.

Po drodze zaś napisałem jeszcze według *Mechanicznej pomarańczy* libretto musicalu i wygasły rozmowy z teatrem Studio, który chciał w roli śpiewających łotrzyków obsadzić znany z ekscesów zespół estradowy Lady Punk.

Czy doczekamy się tego spektaklu?

To się okaże. W międzyczasie sam Burgess napisał dramat muzyczny według swej powieści. Wystawiła go w Londynie na przełomie 1990 roku słynna Royal Shakespeare Company szukając wyjścia z nękaającego ją kryzysu tyleż artystycznego, co i finansowego: ale bez powodzenia. Krytyka i publiczność stwierdziły to samo: że sceniczna brutalność okazuje się umowna, mdła i nijaka wobec tej z życia i z filmu. Że muzyka, którą skomponowali Bono i The Edge obficie sięgając do Beethovena, nie nadrobiła braku formuły artystycznej i wynikł z tego ani naturalizm, ani balet muzyczny, tylko jakiś fałszywy zlepek obojga.

24

Do tych przygód *Mechanicznej pomarańczy* chętnie dodałbym sporo cytatów i cudzych refleksji. Niemiecki tygodnik „Stern” arcytrafnie podsumował problem Alexa i jemu podobnych w określeniu: *die Spie?bürger mit langem Haar*. Niezupełnie o to szło w *Mechanicznej pomarańczy* albo nie tylko. Jednak pojęcie *długowłosych filistrów* ukazuje rzecz chyba w najważniejszej perspektywie.

Nikt zaś nie trafił celniej w istotę problemu we wszystkich jego aspektach, moralnym, społecznym i politycznym, niż Gershon Legman w broszurze *The Fake Revolt* (1967, Lipna rewolta). Chciałoby się ją przytoczyć w całości. Ze względu na rozmiar 32 stron nie byłoby to nawet niemożliwe.

A na razie popatrzymy na sprawę z dalszej perspektywy. Niech nam pomoże ta scena z *Trylogii malajskiej*:

Upijają się we trzech, każdy z nich zna dwa języki i nie ma żadnego języka znanego wszystkim trzem. Co kto powie, to drugi tłumaczy trzeciemu. Wtem złajdaczonemu nauczycielowi odbija się T.S. Eliotem i cytuje z *Ziemi jałowej* sanskryckie: *Datta. Dayadhvam, Damyata, Shantih shanlih siiantih*. Nie rozumiejący kretyn poręcznik tłumaczy to na język urdu swemu Gurkhowi. Tamten kiwa obojętnie głową i mówi: *Wiem. To jest to, co powiedział grom*.

Robert Stiller

